

CZAS ZATRZYMANY 2

SUPLEMENT

*Wybór tekstów oraz
fotografie z terenów
Nowej Huty i okolic*

Redakcja

ADAM GRZYCHYŃSKI

2008

NOWOHUTSKIE CENTRUM KULTURY

CZAS ZATRZYMANY 2

SUPLEMENT

Wybór tekstów oraz fotografie
z terenów Nowej Huty i okolic

Redakcja
ADAM GRZYŃSKI

2008
NOWOHUTSKIE CENTRUM KULTURY

Świadkowie minionego czasu

Lokalizacja Nowej Huty w 1949 r. na urodzajnych ziemiach położonych zaledwie 10 km od centrum starego Krakowa do dziś budzi żywe emocje. Dla jednych nowe miasto i kombinat metalurgiczny na zawsze pozostanie przekleństwem systemu komunistycznego degradującego rolę Krakowa jako ośrodka kulturalnego i zabytkowego, dla innych zaś szansą na lepszy start życiowy i awans społeczny. Dwudzielnosci tych ocen prawdopodobnie nie uda się już uniknąć, czego dowodzi dyskurs, wywołany jubileuszem 60-lecia Nowej Huty i podjęta próba znalezienia formuły jego obchodów. Odpowiedzialność za przeoranie struktury społecznej Krakowa i katastrofę środowiska naturalnego słusznie została przypisana powojennym decyzjom politycznym, choć niektórzy wskazują także na ważne motywy gospodarcze i ekonomiczne wpisane w kontekst geopolityki. Padają różne argumenty, ścierają się poglądy i postawy. Jednak dziś, gdy od rozpoczęcia budowy Nowej Huty dzieli nas już odpowiedni dystans czasowy, można zobaczyć i ocenić z szerszej perspektywy spłot okoliczności, które tę decyzję spowodowały. Inny jest także klimat społeczny i polityczny Polski, która po półwieczu oddziaływań totalitaryzmu sowieckiego znalazła się obecnie w Unii Europejskiej. Inny był także imperatyw kierownictwa politycznego i pryzmat doświadczeń architektów, inżynierów i budowniczych oraz napływowych mieszkańców, których życiorysy spłotły się w nowohuckiej rzeczywistości. Nie można przy tym zapomnieć o pokoleniu pierwotnych mieszkańców kilkunastu wiosek wchłoniętych przez Nową Hutę. Oni wciąż żyją, a odkłamanie krzywdzących mitów i przybliżenie ich zapomnianego świata jest naszym narodowym obowiązkiem. Na wielostronne ukazywanie tematyki nowohuckiej istnieje duże zapotrzebowanie, z czego od lat stara się wywiązywać Nowohuckie Centrum Kultury oraz Krakowski Klub Fotograficzny – spadkobierca założonego przez Jerzego Suberlaka w 1955 r. Klubu Fotograficznego przy Zakładowym Domu Kultury Huty im. Lenina. Przybliżając tutejszą tradycję fotograficzną i wystawienniczą wypada sięgnąć do narodzin Nowej Huty, czyli 24 lutego 1949 roku, kiedy podjęto ostateczną decyzję o rozpoczęciu jej budowy, a generalnym projektantem został mianowany inż. Tadeusz Ptaszycki. Budowa pierwszych osiedli, której od samego początku towarzyszyli fotografowie, do dziś wyznacza zasadniczy kształt miasta i coraz częściej jest traktowana jako „wybitna kreacja urbanistyczna”. Zasiadliły je dziesiątki tysięcy młodych robotników przybyłych z całego kraju, a głównie z Małopolski. Ale pośród nich byli także repatrianci „zza Buga”, sybiry, żołnierze AK, górale, Ślązacy, Cyganie, Ukraińcy, Grecy, i przedstawiciele innych narodowości. Było też wielu radzieckich specjalistów zatrudnionych przy budowie miasta i kombinatu. Tak liczny napływ ludności o zróżnicowanych nawykach i standardach kulturowych stwarzał ogromne kontrasty, a w rezultacie trudności asymilacyjne, które ustępowały w miarę upływu lat i wzrastania nowych pokoleń. Początki społeczeństwa, które nagle znalazło się w wielokulturowym tyglu były z pewnością bardzo trudne tym bardziej, iż nałożyły się na żywą i bogatą tradycję tutejszych wiosek, posiadających kilkusetletni rodowód (Mogiła, Bieńczyce, Czyżyny, Grębałów, Lubocza, Pleszów i in.). Trzeba oddać sprawiedliwość tym wszystkim dzielnym ludziom, którzy w potwornie trudnych warunkach wygenerowali w krótkim czasie wielkie – i na miarę tamtych czasów – nowoczesne miasto. Przyjeżdżając tutaj najczęściej ze wsi, ze świętymi obrazami, często zawiniętymi w jakąś gazetę, dowiadywali się, że religia i wiara w Boga są już przeżytkiem, o którym najlepiej zapomnieć. Nie trzeba udowadniać, jak wielkie rodziło to rozterki, topione często w alkoholu, jako jednej z niewielu dostępnych „rozrywek” i „antidotum” na zaistniałą sytuację. Niektórzy po prostu uciekali wprost z budowy, lecz wielu zapuściło tutaj na dobre korzenie zakładając rodziny, podejmując pracę i korzystając z dobrodziejstw oferowanych przez system. Wielką budowę zaczynano pośród falujących łąnów cysterskiego zboża, na gołym terenie co ukazują zdjęcia Stanisława Senissona – pierwszego fotografa Nowej Huty. Odkrywając rzeczywistość sprzed lat możemy zobaczyć oprócz rozległych panoram także pracujących ludzi, amerykańskie namioty z demobilu, w których zamieszkali junacy z 60 Brygady Służby Polsce, drewniane baraki, prymitywne maszyny i narzędzia, kuchnie polowe, gumaki, watowane kufajki, kurz i błoto – bo takie właśnie były nowohuckie realia. Jego fotografie wykonane latem 1949 roku, obejrzało z zainteresowaniem (w Foto-Galerii NCK w 2005 roku) wiele tysięcy widzów. W tym samym roku pokazaliśmy wystawę „Nowa Huta. Lata 50.” związaną z postacią Wiktora Pentala, najstarszego, członka honorowego Krakowskiego Klubu Fotograficznego, który w 1951 roku zamieszkał on w Nowej Hucie na os. Wandy gdzie mieszka do dziś. Zawodowo pracował kolejno: w Zjednoczeniu Budownictwa Miejskiego, Lidze Obrony Kraju i Zespole Szkół Mechanicznych. Równocześnie powrócił do działalności fotograficznej, choć była ona początkowo mocno utrudniona „tajemnicą państwową”. Uzyskanie zaświadczenia korespondenta Centralnej Agencji Fotograficznej ułatwiło jego poruszanie się z aparatem po Nowej Hucie, i stąd istnieje tak wiele świetnych ujęć. Uczestniczył też w pracach Polskiego Towarzystwa Fotograficznego, brał udział jego w pierwszych wystawach, zdobywając nagrody i wyróżnienia, a gdy poznał fotoreportera Polskiej Kroniki Filmowej – Henryka Makarewicza, wykonywał

*„Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie nowe, doskonalsze wznieść.”*

Adam Asnyk

z nim wspólnie portrety przodowników pracy. W 1957 roku zaliczył 102-godzinny wyższy kurs fotografii, zorganizowany przez Delegaturę Krakowską Polskiego Związku Artystów Fotografików, gdzie jednym z wykładowców był klasyk fotografii polskiej, Henryk Hermanowicz. Tam również poznał Witolda Michalika – prezesa nowohuckiego klubu fotograficznego, który zaproponował mu wstąpienie do tego stowarzyszenia. Zdjęcia Wiktora Pentala przedstawiają nie tylko wielką budowę, lecz także życie codzienne mieszkańców Nowej Huty; miejsca pracy, sposoby spędzania czasu wolnego, przeprowadzki, urokliwe scenki uliczne, żłobki, przedszkola, szkoły, kino, domy kultury, wesołe miasteczka, spektakle i koncerty. Ewenementem są jego zdjęcia kolorowe Nowej Huty, wykonane w 1958 roku na 4 przypadkowo ofiarowanych mu filmach AGFA, które teraz są cennym dokumentem tamtych czasów. W latach 50. Nową Hutę uwieczniali oprócz fotografów zatrudnionych w tutejszych przedsiębiorstwach i przedstawicieli Centralnej Agencji Fotograficznej także fotografowie mieszkający w Krakowie i Nowej Hucie: Henryk Hermanowicz, Roman Wesołowski, Jerzy Suberlak, Witold Gajdziński, Tadeusz Kulig i in., a w późniejszych latach; Stanisław Gawliński, Robert Kosieradzki, Oktawian Hutnicki, Zbigniew Kot, Władysław Rospondek, Mieczysław Libront, Andrzej Wróbel, Czesław Odo Mostowski, Adam Bujak, Stanisław Markowski, Jan Zych i in. Wracając wrywkowo do przeszłości przypomnijmy także, że zdjęcia kilku autorów zarejestrowały dążenia znacznej części zdesperowanego społeczeństwa których wyrazem była słynna walka z władzą o krzyż nowohucki w kwietniu 1960 roku oraz o własny kościół, co 1977 roku zostało uwieńczone sukcesem za sprawą ówczesnego metropolity krakowskiego kardynała Karola Wojtyły. W latach 80. przetoczyła się przez Nową Hutę fala potężnych demonstracji i strajków, gdzie powstała prężna organizacja związkowa „Solidarność”, której zryw przyczynił się do zmian ustrojowych w 1989 roku, co zostało pokazane na wystawie Stanisława Markowskiego „Ojczyzna moja. Fotografie z lat 1980-89”, otwartej w Foto-Galerii Nowohuckiego Centrum Kultury przez kardynała Franciszka Macharskiego w listopadzie 1996 roku.

Dla szerokiego zainteresowania historią i teraźniejszością Nowej Huty przełomowy był jednak 1999 rok, kiedy obchodzono jubileusz 50-lecia Nowej Huty. Substrat naukowy do obchodów tego jubileuszu stworzyła nieco wcześniej sesja naukowa „Narodziny Nowej Huty” Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa (kwiecień 1998 r.). Szerokim echem odbiła się zbiorowa wystawa fotograficzna „50 lat Nowej Huty” zorganizowana w Nowohuckim Centrum Kultury (kwiecień-maj 1999 r.) na którą złożyło się ponad 1.000 zdjęć z lat 1949-1999. Prawdopodobnie dotarła wówczas do szerszej publiczności świadomość, że tamta siermiężna, choć nie pozbawiona propagandowego patosu realność zarejestrowana na starych, głównie amatorskich fotografiach, posiada dla współczesności ogromny ładunek prawdy. Okazało się, że autentyczność zarejestrowanych ludzi i miejsc może być wielowymiarowy i wizualnie atrakcyjny zarówno dla starszego pokolenia pamiętającego tamten okres z własnego doświadczenia, jak i młodzieży, która chce się dowiedzieć czegoś więcej o naszej przeszłości. Bardzo ważny dla popularyzacji Nowej Huty był także Festiwal Filmowy „Etap: Nowa Huta” zorganizowany w Ośrodku Kultury im. Cypriana K. Norwida (grudzień 1999 r.), gdyż pokazano tam dziesiątki filmów, kronik i innych dokumentów, odbyły się spotkania festiwalowe z twórcami oraz wystawa archiwalnych zdjęć.

Dziś, kiedy przywykliśmy już do różnorodnych propozycji kulturalnych dotyczących Nowej Huty, i gdy działania te nie wywołują już takich wzruszeń i zainteresowania jak wówczas, wypada przypomnieć tamte wydarzenia nie tylko z kronikarskiego obowiązku, ale dlatego, że ich „zaczyn” spowodował, że Nowa Huta stała się „trendy”, i oby to przyniosło jakiś trwały pożytek dla dobra jej mieszkańców.

Wbrew pozorom i obiegowej opinii w minionym półwieczu Nowa Huta nie była „pustynią” kulturalną.

Tu powstał Teatr Ludowy, kilka domów kultury, kina, Szkoła Muzyczna, Liceum Artystyczne, stowarzyszenia twórcze, kluby, liczne biblioteki, pracownie plastyczne i galerie. Była cała plejada znakomitych artystów: Kruczek, Trzebiatowski, Mucha, Makarewicz, Zanussi, Trzos-Rastawiecki, Skuszanka, Filipiński, Pieczka, Łuciuk, Michalik – i wielu, wielu innych.

Były też orkiestry, zespoły muzyczne, folklorystyczne, teatralne i baletowe. Przez całe lata świetnie prosperował Salon Wystawowy Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych przy Alei Róż oraz Klub Międzynarodowej Prasy i Książki przy Placu Centralnym, ale niestety przegrały one swą walkę o byt z komercją i duchem teraźniejszości, a tym samym upadły dwie ważne dla dzielnicy galerie. W 1955 powstał Oddział Polskiego Towarzystwa Fotograficznego, a jego założycielem i pierwszym prezesem był Jerzy Suberlak, dziennikarz i fotoreporter, który podjął pracę w zakładowej gazecie Kombinatoru HiL „Budujemy Socjalizm”. Pisał także opowiadania publikowane w czasopiśmie i audycjach radiowych. Na swoich fotografiach ukazywał ludzi w czasie pracy, zabawy i wypoczynku. Tworzył świetne serie portretów ludzi związanych z kulturą i sztuką, z którymi spotkania i wieczory autorskie odbywały się w Klubie MPiK i domach kultury. Tak o nim pisał Ignacy Trybowski: „W fotografii, nazwanej trafnie »czasem zatrzymanym«, Suberlak utrwala momenty i motywy z życia. W ich subiektywnym wyborze i kompozy-

cji zdjęć tkwi kształt jego artystycznej wypowiedzi. Cechuje go przy tym szczególnie zmysł reporterski, objawiający się w szerokim wachlarzu tematów czerpanych wprost ze zwykłej codzienności. Jako takie fotografie Suberlaka posiadają znaczenie dokumentu czasu i miejsca. Równocześnie mają w sobie ekspresję zdolną wywołać głębszą refleksję i przeżycie.” W 1957 r. nowohucki Oddział Polskiego Towarzystwa Fotograficznego zorganizował swoją pierwszą wystawę (w Klubie MPiK), a w czerwcu 1958 r. nowym prezesem został Witold Michalik, który kierował tym stowarzyszeniem aż do 1985 roku. Latem 1958 roku zorganizowano we własnym lokalu wystawę przeglądową prac członków PTF, a następnie szereg wystaw indywidualnych. PTF Oddział w Nowej Hucie w 1960 r. organizuje V Wystawę Amatorskiej Fotografii Artystycznej w sali Domu Kultury, prace z tej wystawy prezentowane są później w kraju i zagranicą m.in. we Francji. W tym samym roku lokalne władze nie wyraziły jednak zgody na zarejestrowanie Nowohuckiego Towarzystwa Fotograficznego pomimo tego, że PTF przekształciło się w Federację Amatorskich Stowarzyszeń Fotograficznych w Polsce, a podległe oddziały terenowe stały się regionalnymi Towarzystwami Fotograficznymi. To była sytuacja kuriozalna, ponieważ oddział nowohucki PTF był aktywnym członkiem i założycielem Federacji, miał całkiem spory jak na swój 5-letni okres istnienia dorobek, niezaprzeczalne osiągnięcia artystyczne i zaradnego, charyzmatycznego prezesa Witolda Michalika. Ale być może na przeszkodzie stanęły wówczas pewne obawy władzy o uzyskanie przez ten Oddział większej niezależności i konsekwencje dramatycznych wydarzeń z 27 kwietnia 1960 roku, związane z obroną nowohuckiego krzyża, który zresztą stał nieopodal ówczesnej siedziby Oddziału PTF w Dzielnicowej Radzie Narodowej.

Władza prawdopodobnie obawiała się niepokornego, bardziej niezależnego, mogącego otrzymać własną osobowość prawną Towarzystwa, którego członkowie posługiwali się na dodatek „niebezpiecznym” medium za jaki uznawano fotografię. Zakaz fotografowania niektórych obiektów użyteczności publicznej i legitymowanie fotoamatorów na ulicy pod byle pretekstem było wówczas nagminne, co znamy z relacji starszych członków Klubu np. Wiktora Pentala. Małą powtórkę atmosfery nieufności mogliśmy także zaobserwować w czasie stanu wojennego oraz wkrótce potem, kiedy to zarówno Klub Fotografików Amatorów jak i Amatorski Klub Filmowy „Nowa Huta” zostały przeniesione w 1983 r. do nowej siedziby, i gdy w nieskończoność spierano się o zasady ich funkcjonowania, a zwłaszcza kształt regulaminów, u których podłoża legła z jednej strony kwestia twórczej niezależności, a z drugiej – dyrektyw politycznych przesłaniających swe prawdziwe oblicze gąszczem statutowych paragrafów i przewrotnej argumentacji. Powracając do wątku chronologicznego odnotujmy, że w październiku 1961 roku uchwalono likwidację Oddziału Polskiego Towarzystwa Fotograficznego w Nowej Hucie i powołano w to miejsce stowarzyszenie pod nazwą Klub Fotograficzny Domu Kultury HiL, który w późniejszym okresie przybrał nazwę: Klub Fotografików Amatorów Zakładowego Domu Kultury HiL i tym samym przeszedł organizacyjne pod patronat działającej jednostki kultury znajdującej się na os. Młodości. W tamtym okresie wystawiali już swoje prace m.in.: Witold Michalik, Witold Gajdziński, Wiktor Pental, Stanisław Killar, Stanisław Kozioł, Franciszek Partyka, Zbigniew Kot, Robert Kosieradzki, Władysław Rospondek, Tadeusz Kulig. W późniejszym czasie Klub dysponował dobrze urządzoną pracownią, posiadał kadrę instruktorską (Witold Michalik, Czesław Odo Mostowski, Robert Kosieradzki, Zbigniew Kot, Andrzej Wróbel, Jerzy Ridan, Alicja Zawadzka, Krzysztof Szafraniec i in.), prowadził szkolenia i kursy dla swoich członków, a w pod koniec lat 70. także dla studentów Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie i Uniwersytetu Jagiellońskiego. Warto nadmienić, że w 1968 roku Witold Michalik pokazał pierwszą monotematyczną wystawę „Akt – od klasycznego do nowoczesnego” w siedzibie Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego (następne jego wystawy to: „Akt psychologiczny”, „Studium aktu”, „Człowiek rodzi się nagi”, „Wielki finał”), a KFA było współorganizatorem ogólnopolskiego konkursu fotograficznego z okazji XX-lecia Nowej Huty, którego owocem była wystawa obejmująca 154 prace 17 autorów, a wśród nich były takie postaci jak: Henryk Hermanowicz, Henryk Makarewicz, Wiktor Pental, Robert Kosieradzki i in. Fragment tej wystawy z autorsko opracowanymi zdjęciami jest przechowywany do dziś jako cenny depozyt. W 1974 r. Witold Michalik uzyskał Grand Prix „Venus 74” na wielce prestiżowym V Międzynarodowym Salonie Fotografii Artystycznej w Krakowie za cykl „Macierzyństwo”. Po przeniesieniu siedziby Klubu do Nowohuckiego Centrum Kultury i wkrótce po śmierci Witolda Michalika (w 1985 r.) nowym prezesem został Zbigniew Kot, który tę funkcję piastował do 1997 r., kiedy to walne zebranie uchwaliło nazwę: Krakowski Klub Fotograficzny, zaś na kolejnego prezesa wybrano Mieczysława Libronta. W 1986 r. Klub z okazji 30-lecia działalności wspólnie z NCK organizuje I Ogólnopolski Plener Fotograficzny „Nowa Huta – miasto i okolice”, w którym bierze udział 30 fotografów, a w następnym roku KFA otrzymuje Brązowy Medal Polskiej Federacji Stowarzyszeń Fotograficznych na XIV Forum Sztuki Fotografii „Uniejów 87” właśnie za zestaw prac z tego pleneru, co było ogromnym wyróżnieniem, bo w przeglądzie brało wtedy udział ponad 100 klubów i stowarzyszeń. Pomimo wielokrotnej zmiany siedziby i nazwy, Klub kontynuuje swe prace co przy wsparciu NCK owocuje wystawami (w tym prestiżową wystawą zbiorową w 2005 r. w Muzeum Historii

Fotografii w Krakowie), spotkaniami, plenerami, wydawaniem katalogów, folderów i obszernej monografii. Ale przede wszystkim o żywotności Klubu decyduje wciąż napływ nowych, wartościowych członków, którzy swoją twórczością potwierdzają wypracowaną przez ich poprzedników jego wysoką rangę. Aktualny skład Zarządu Krakowskiego Klubu Fotograficznego przedstawia się następująco:

Monika Stachnik-Czapla – Prezes

Janusz Skórski – Wiceprezes

Magda Langer – Skarbnik

Anna Bubula – Sekretarz

Beata Sulikowska – Członek Zarządu

Do jego najaktywniejszych członków (oprócz członków zarządu) należą: Barbara Czopek, Joanna Garlicka, Janusz Gajewski, Mirek Janowski, Daniel Myszkowski, Paweł Suder, Andrzej Skuciński, czy niedawno przyjęci Laura i Zdzisław Decowie.

Krakowski Klub Fotograficzny (spotkania odbywają się niezmiennie w każdy czwartek o godz. 18.00 w sali 117. w NCK – zapraszamy!), od początku swego istnienia wykazywał dużą aktywność, co przejawiało się w różnych formach. Była i jest to głównie praca indywidualna polegająca na wykonywaniu zdjęć krajobrazowych i przyrodniczych, fotografii architektury, zdjęć kreacyjnych, portretu i reportażu, ale również zajmowano się gromadzeniem fototece klubowej, w czym wielką zasługę położył prezes Witold Michalik i Andrzej Wróbel. Dzięki istniejącej fototece i przekazanym w depozyt setkom prac, mamy możliwość zobaczyć jak przed laty wyglądała Nowa Huta oraz jakie panowały wówczas trendy i konwencje w fotografii amatorskiej, począwszy od obowiązującej niegdyś stylistyki bułhakowskiej i „fotografii ojczyźnej”, poprzez rozmaite formalizmy, grafizacje aż po fotografię cyfrową i przetworzoną za pomocą programów komputerowych. Od 1983 r. zorganizowano ponad 30 plenerów: międzynarodowych, ogólnopolskich i klubowych, głównie o tematyce krajoznawczej: nowohuckiej, tatrzańskiej, pienińskiej, spiskiej i bieszczadzkiej, a kilka plenerów pod kierownictwem Grzegorza Boniowskiego odbyło się w Krakowie i w Norymberdze, we współpracy z tamtejszym domem kultury Gemeinschaftshaus Langwasser.

W ciągu przeszło półwiecza zorganizowano setki imprez: wystaw, konkursów, pokazów, spotkań autorskich, kursów, warsztatów, wykładów i prelekcji dla dziesiątków tysięcy uczestników i odbiorców. Przez Klub „przewinęło się” ponad 1000 członków, kandydatów i sympatyków. W okresie transformacji, gdy rozwiązano Federację Amatorskich Stowarzyszeń Fotograficznych w Polsce i w to miejsce powstał Fotoklub Rzeczypospolitej Polskiej, członkiem wspierającym rozwój fotografii z aktem przyjęcia nr. 14 został Krakowski Klub Fotograficzny. O jego twórczych osiągnięciach świadczą przyznane w różnych środowiskach odznaczenia, medale i tytuły: 7 złotych i srebrnych odznak Zarządu Głównego PTTK i tytułów Fotografa Krajoznawcy, 3 tytuły Artysty Międzynarodowej Federacji Fotografii (AFIAP), 5 medali z okazji 150 – lecia fotografii, 10 tytułów Artysty Fotografa RP, a 4 osoby (Robert Kosieradzki, Jan Zych, Robert Baś, Adam Gryczyński) zostały przyjęte do Związku Polskich Artystów Fotografików. Oprócz cennych fotografii przechowywanych w archiwum, ponadczasową wartość a zarazem świadectwo żywotności stanowią inne pamiątki o dziełach twórczych i organizacyjnych Klubu jak: dokumenty, dyplomy, wydawnictwa, afisze, plakaty i artykuły prasowe. Jakkolwiek początki naszego fotograficznego wystawiennictwa w Nowej Hucie sięgają 1957 r., to 17 marca 1988 r., wraz z otwarciem dużej wystawy poplenerowej „Tatry”, rozpoczęto działalność ekspozycyjną o charakterze ciągłym. Zachowana jest tradycja urządzania dorocznych wystaw przeglądowych oraz 2–3 indywidualnych wystaw członków rzeczywistych. Dużą popularnością od wielu lat cieszą się „Konkursy o najlepsze zdjęcie miesiąca”, których najciekawsze propozycje (wyłonione w drodze tajnego głosowania) są wystawiane w stałej galerii „konkursowej”. Choć trudno dokładnie określić ile w sumie wystaw zostało zorganizowanych (ponieważ nie zachowały się kompletne sprawozdania) – pokusimy się o ich bilans. Przypomnijmy, że Klub w okresie swego istnienia aż czterokrotnie zmieniał swoją siedzibę (Dzielnicowa Rada Narodowa, Zakładowy Dom Kultury Huty im. Lenina, Ośrodek Kultury w Nowej Hucie, Nowohuckie Centrum Kultury), a każda z tych przeprowadzek wiązała się z ryzykiem zagubienia w transporcie jakichś materiałów. Z ostrożnych rachub wynika, że naszych wystaw było w minionym półwieczu co najmniej 300, na co złożyły się wystawy stricte klubowe jak również zorganizowane oddzielnie przez Foto-Galerię NCK. Ich wykaz znajduje się w archiwum Nowohuckiego Centrum Kultury, a kilka z nich spowodowało duży oddźwięk społeczny.

Do takich należała wystawa „Nowa Huta – najmłodsza siostra Krakowa”, a to ze względu na jej wartości dokumentalne, ilość zwiedzających (ok. 100.000) czas trwania (lipiec – wrzesień 2007 r.), miejsce (Plac Centralny) i sposób prezentacji (ekspozycja plenerowa i porządnym katalog), na którą złożyło się ponad 200 zdjęć pocho-

dzących z różnych źródeł, które zostały poddane precyzyjnej obróbce komputerowej, a następnie powiększone do dużych rozmiarów, co pozwoliło wydobyć i zobaczyć na nowo wiele cennych szczegółów. Jednocześnie w galeriach Nowohuckiego Centrum Kultury pokazano szereg wystaw towarzyszących:

„Nowa Huta – archeologia, ludzie, epoka” – wystawą Nowohuckiego Oddziału Muzeum Archeologicznego w Krakowie

„Czas zatrzymany – fotografie z dawnych lat z terenów Nowej Huty i okolic”

„Z archiwum Krakowskiego Klubu Fotograficznego”

„Nowa Huta w latach 60.”, wystawa Roberta Kosieradzkiego

„Nowa Huta współczesna”, wystawa Grzegorza Ziemiańskiego

Obszerny temat wystaw koncentrował się wokół ludzi i osobliwości pejzażu wiejsko – miejskiego. Istotną ich częścią był fragment poświęcony nowohuckim zabytkom, zaznaczmy jednak, że nie szło tu o socrealistyczne budowle, których na wystawie zresztą nie zabrakło, ale o autentyczne zabytki sprzed wieków, na czele z opactwem oo. Cystersów w Mogile, kościółkami, dworami, młynami. Na wystawie znalazły się także zdjęcia starych chałup, kapliczek i przydrożnych krzyży przez całe lata wpisanych w ten krajobraz, jakby na przekór obowiązującym niegdyś trendom ideowym. Mniejszy natomiast akcent położono na ukazanie wielkich wydarzeń społecznych i politycznych towarzyszących dziejom tej dzielnicy, ponieważ zostawiając ich analizę, interpretację i ocenę kompetentnym i uczciwym historykom, a zwłaszcza następnym pokoleniom, chcieliśmy pokazać pewien symboliczny wycinek minionej rzeczywistości, w kontekście przemian jakie nastąpiły w tutejszej społeczności i krajobrazie. Na wystawie znalazły się także archiwalne zdjęcia skopiowane i wypożyczone od mieszkańców w ramach akcji „Czas zatrzymany”, a wyciągnięte najczęściej gdzieś z szuflady czy rodzinnych albumów, pośród których znalazło się sporo wartościowych prac dotyczących wiosek na terenie których zbudowano Nową Hutę: Mogiły, Bieńczy, Czyżyn, Pleszowa, Krzesławic, Grębałowa, Luboczy i in. Te zdjęcia przeznaczone były głównie dla tych, którzy żyli w tamtych czasach ale i dla młodszych pokoleń, które chcą się czegoś więcej dowiedzieć o swojej Ojczyźnie, a dziś szukają śladów zagubionej przeszłości świata ich dziadków i rodziców. Ale również dla tych, którzy doceniają walor dokumentalny i urok starej fotografii, wszelkich miłośników historii i tradycji. „Czas zatrzymany” został uznany za pionierską próbę przedstawienia społeczeństwa, które w wyniku wielkich migracji ludności po II Wojnie Światowej zostało rozproszone i za bezcen wywłaszczone z ojcowizn. Oglądanie tych zdjęć przez rzesze zwiedzających nasunęło uniwersalne refleksje o drogich każdemu człowiekowi korzeniach, które określają jego własne miejsce na ziemi, dają poczucie bezpieczeństwa i sens istnienia, pokazując jak ważna jest ludzka pamięć i zaduma nad własną tożsamością. Zdjęcia pochodziły głównie z archiwów: Nowohuckiego Centrum Kultury, Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego, Krakowskiego Klubu Fotograficznego, Muzeum Historycznego Miasta Krakowa – Oddział Dzieje Nowej Huty, Muzeum Lotnictwa Polskiego, Redakcji „Głosu-Tygodnika Nowohuckiego” oraz wielu autorów.

Omawiane ekspozycje stanowiły naturalną kontynuację szeregu wystaw pokazywanych wcześniej w Nowohuckim Centrum Kultury, które może warto tutaj przypomnieć:

1984 r. – „30 lat Kombinat Metalurgicznego HiL”, wystawa zbiorowa

1985 r. – „Nowa Huta w obiektywie”, wystawa zbiorowa

1987 r. – „Nowa Huta – miasto i okolice”, międzynarodowa wystawa poplenerowa

1989 r. – „Nowa Huta – miasto i ludzie”, międzynarodowa wystawa poplenerowa

1991 r. – „Wystawa retrospektywna Roberta Kosieradzkiego”

1992 r. – „Nowa Huta – Pieniny”, międzynarodowa wystawa poplenerowa

1994 r. – „Krajobrazy z Nowej Huty”, wystawa Adama Gryczyńskiego

1996 r. – „Ojczyzno moja. Fotografie z lat 1980 – 89”, wystawa Stanisława Markowskiego

1999 r. – „50 lat Nowej Huty”, duża wystawa zbiorowa (ponad 1000 zdjęć)

2001 r. – „Zielone metamorfozy”, wystawa Adama Gryczyńskiego

2004 r. – „Pejzaż miasta. 55 lat Nowej Huty”, wystawa zbiorowa

2004 r. – „Zabytki w Nowej Hucie”, wystawa Adama Gryczyńskiego

2005 r. – „Nowa Huta z lotu ptaka”, wystawa Adama Gryczyńskiego

2005 r. – „Narodziny Nowej Huty”, wystawa Stanisława Senissona

2005 r. – „Nowa Huta w latach 50.”, wystawa Wiktora Pentala

2006 r. – „Nowa Huta w latach 60. i 70.”, wystawa Roberta Kosieradzkiego

2007 r. – „Lwów – Kraków – Nowa Huta”, wystawa Romana Wesołowskiego

W planach Nowohuckiego Centrum Kultury jest jeszcze wiele wystaw o podobnej tematyce, gdyż one ciesząc się popularnością motywują do energicznego działania i poszukiwania nowych, ambitnych propozycji. Coraz liczniejsze kontakty, penetracja prywatnych archiwów w ramach projektu „Czas zatrzymany” oraz systematycznie powiększane i opracowywane zbiory zapewnią interesujące wystawy, katalogi i albumy. Są także gwarancją ciągłości historycznego już dzieła zapoczątkowanego w Nowej Hucie w 1955 r. przez Jerzego Suberlaka i Witolda Michalika oraz innych pionierów nowohuckiej fotografii.

Adam Gryczyński, ZPAF, AFRP, KTF, KKF etc.



Członkowie Krakowskiego Klubu Fotograficznego, NCK, 2005 r.



Uczestnicy ogólnopolskiego pleneru fotograficznego „Nowa Huta – miasto i ludzie”, Huta im. Lenina, 1986 r.



Stanisław Senisson (13.04.1917-23.10.1996)

Po ukończeniu Gimnazjum Jana III Sobieskiego w Krakowie przebywał w Chełmie w Korpusie Kadetów Nr 2, który ukończył w 1935 r. kontynuując później naukę w Szkole Podchorążych Wojsk Łączności w Zegrzu. Dwa lata później zaliczył kurs instruktorów sportu spadochronowego w Legionowie. 1.10.1937 r. został mianowany podporucznikiem służby stałej w 7 Wielkopolskim Batalionie Telegraficznym. W maju 1939 roku został przeniesiony do kompanii łączności 6 Dywizji Piechoty w Krakowie.

Wyruszył na wojnę z Armią Kraków, biorąc udział w bitwie pod Pszczyną, Aleksandrowem i Narolem, a w dniu 29.09.1939 r. dostał się do niewoli niemieckiej. Przeniesiony do Oflagu XI B w Braunschweigu już w październiku 1939 r. wspólnie z por. inż. Tadeuszem Ptaszyckim – późniejszym generalnym projektantem Nowej Huty – i innymi zorganizował teatr obozowy udzielając się w nim oraz w bibliotece. Zajęcia te kontynuował także po przeniesieniu do obozu II C w Woldenbergu. Negatywy jego zdjęć wykonane w czasie kampanii wrześniowej zostały przemycane z obozu jeńców do Krakowa i zostały po wojnie wykorzystane do zilustrowania książki Józefa Kuropieski „Wspomnienia oficera sztabu” i publikacji płk. Władysława Steblika.

Za kampanię wrześniową został odznaczony Krzyżem Walecznych. Po przeniesieniu do obozu w Murnau i po uwolnieniu przez wojska amerykańskie wstąpił do II Korpusu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie z przydziałem do plutonu łączności 3 Brygady Strzelców Karpackich. W czasie tej służby ukończył z wynikiem bardzo dobrym kurs oficerów łączności w Materze. Po przeniesieniu oddziałów II Korpusu do Anglii został mianowany dowódcą 3 kompanii w Batalionie Łączności 3 Dywizji Strzelców Karpackich, a po przeniesieniu do 98 P.R.C. Cumnock w Szkocji – dowódcą kompanii repatriacyjnej.

Do Polski powrócił dnia 9 czerwca 1947 r. gdzie pierwsze miesiące pracował w Krakowie w warsztacie swego ojca jako fotomechanik – długo nie mogąc znaleźć innej pracy – a od stycznia 1948 r. został zaangażowany do Instytutu Filmowego w Krakowie na asystenta operatora w ekipie Włodzimierza Puchalskiego, biorąc udział przy kręceniu wielu jego słynnych filmów przyrodniczych.

1 sierpnia 1948 r. został zatrudniony jako starszy referent d/s dokumentacji i organizacji w Społecznym Przedsiębiorstwie Budowlanym, będąc równocześnie korespondentem i współpracownikiem „Echa Krakowa” i „Gazety Krakowskiej” pisać reportaże i wykonując zdjęcia dokumentujące początki budowy Nowej Huty.

Jednocześnie studiował filologię polską na UJ, którą ukończył w 1952 r. W latach 1950-56 był asystentem w Instytucie Badań Literackich w Warszawie, prowadząc w Krakowie pracownię mikrofilmową. Był także stałym współpracownikiem Wydawnictwa Ossolineum, gdzie opracowywał szereg tomów Biblioteki Pisarzy Polskich oraz starodruki. W 1956 r. został starszym asystentem w Instytucie Ekspertyz Sądowych w dziale kryminalistyki, prowadząc równocześnie pracownię fotograficzną.

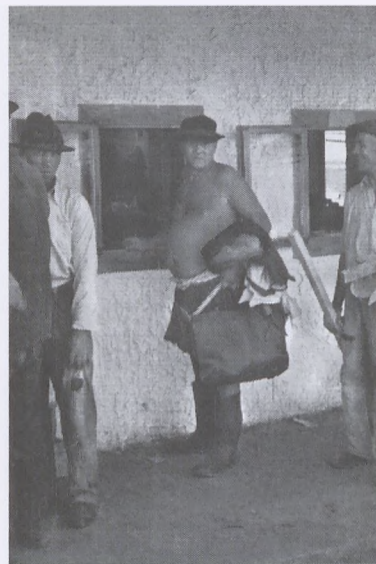
W latach 1960-1967 pracował w Muzeum Narodowym, oraz na Politechnice Krakowskiej w pracowni reprograficznej i offsetowej, a później także na Akademii Medycznej. Wykonywał również fotografie do wielu książek Wydawnictwa Literackiego. Był członkiem Polskiego Towarzystwa Fotograficznego i Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego.

Stanisław Senisson wraz z żoną Ireną i synem Pawłem przez całe lata aktywnie uprawiał turystykę pieszą, nie rozstając się przy tym z aparatem fotograficznym. Szczególnie lubił wędrowki tatrzańskie i spływy kajakowe po Mazurach i Dunajcu.

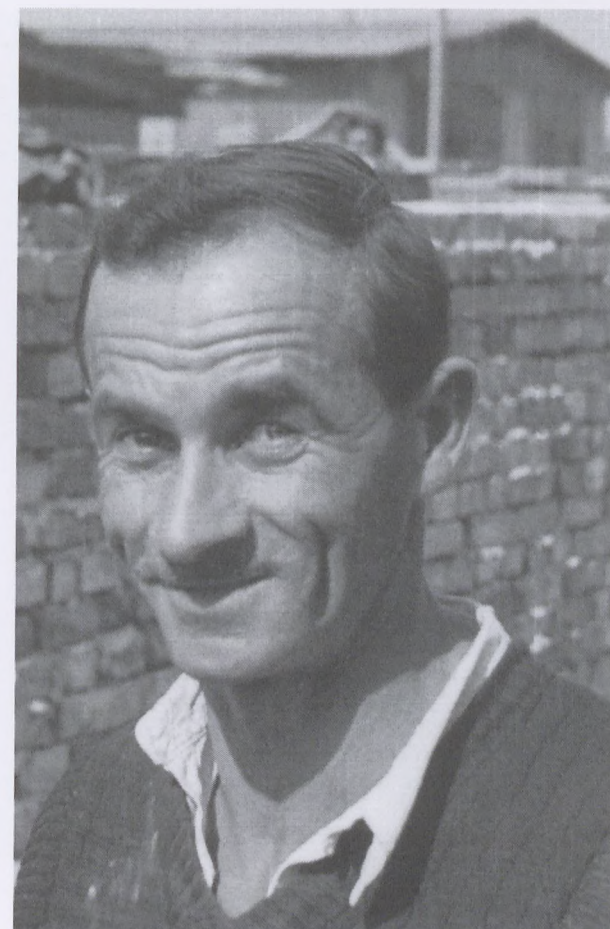
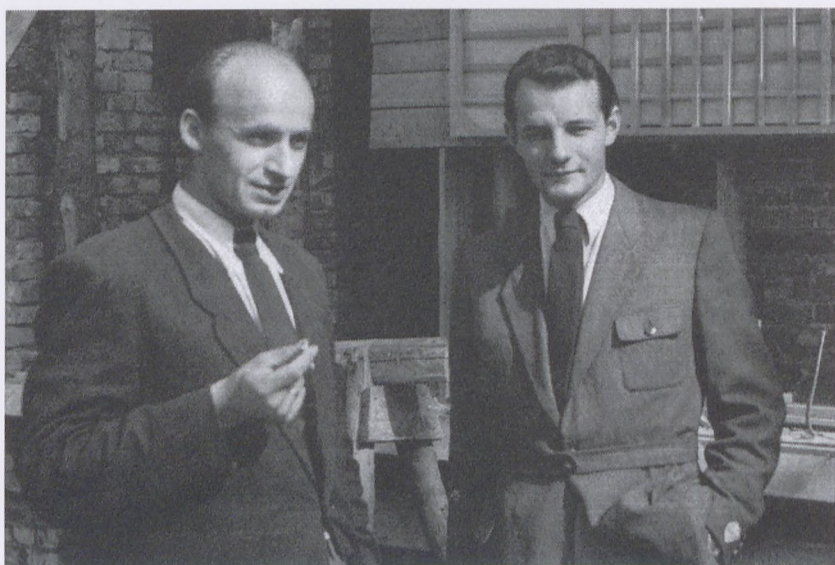
Był powszechnie lubianym i pogodnym człowiekiem. Zmarł w Krakowie.

Zdjęcia Stanisława Senissona pochodzą ze zbiorów MHF Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego. Zostały wykonane latem 1949 roku w podkrakowskiej wsi Mogiła, gdzie rozpoczęto budowę pierwszych osiedli mieszkaniowych Nowej Huty. Na uwagę zasługują rozległe panoramy z tamtego okresu – współcześnie opracowane przy pomocy techniki komputerowej, co pozwoliło wydobyć dodatkowe walory dokumentalne i estetyczne tych zdjęć. Są także wyraziste portrety pierwszych budowniczych Nowej Huty (przyjezdnych i miejscowych) ukazujące Stanisława Senissona nie tylko jako świetnego dokumentalistę, ale również jako fotoreportera żywo zainteresowanego losem zwykłych ludzi, którzy najczęściej przybyli wówczas z rozmaitych stron kraju, i spoza jego granic szukać swego miejsca w nowej rzeczywistości.

Adam Gryczyński

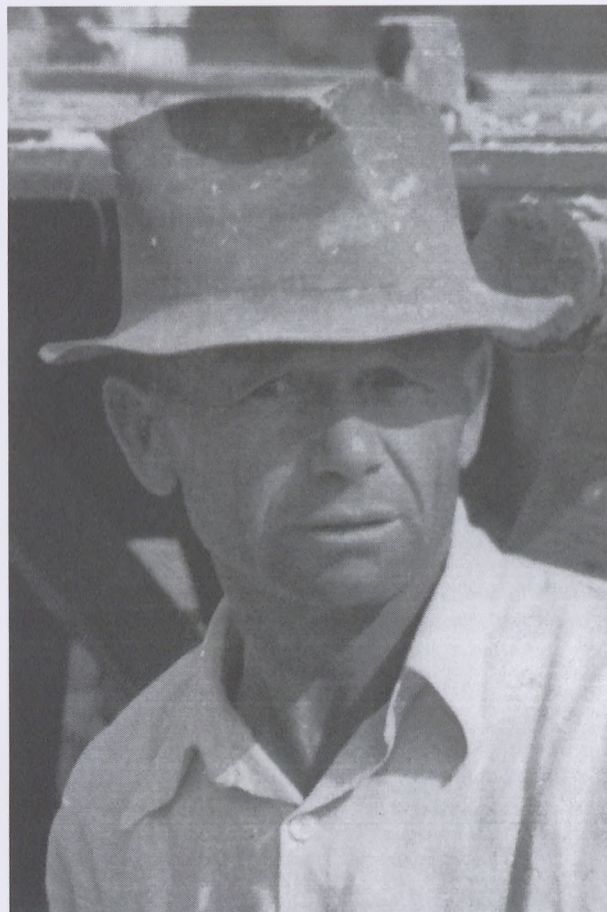


Rozpoczęcie budowy Nowej Huty, Mogiła, 1949 r.

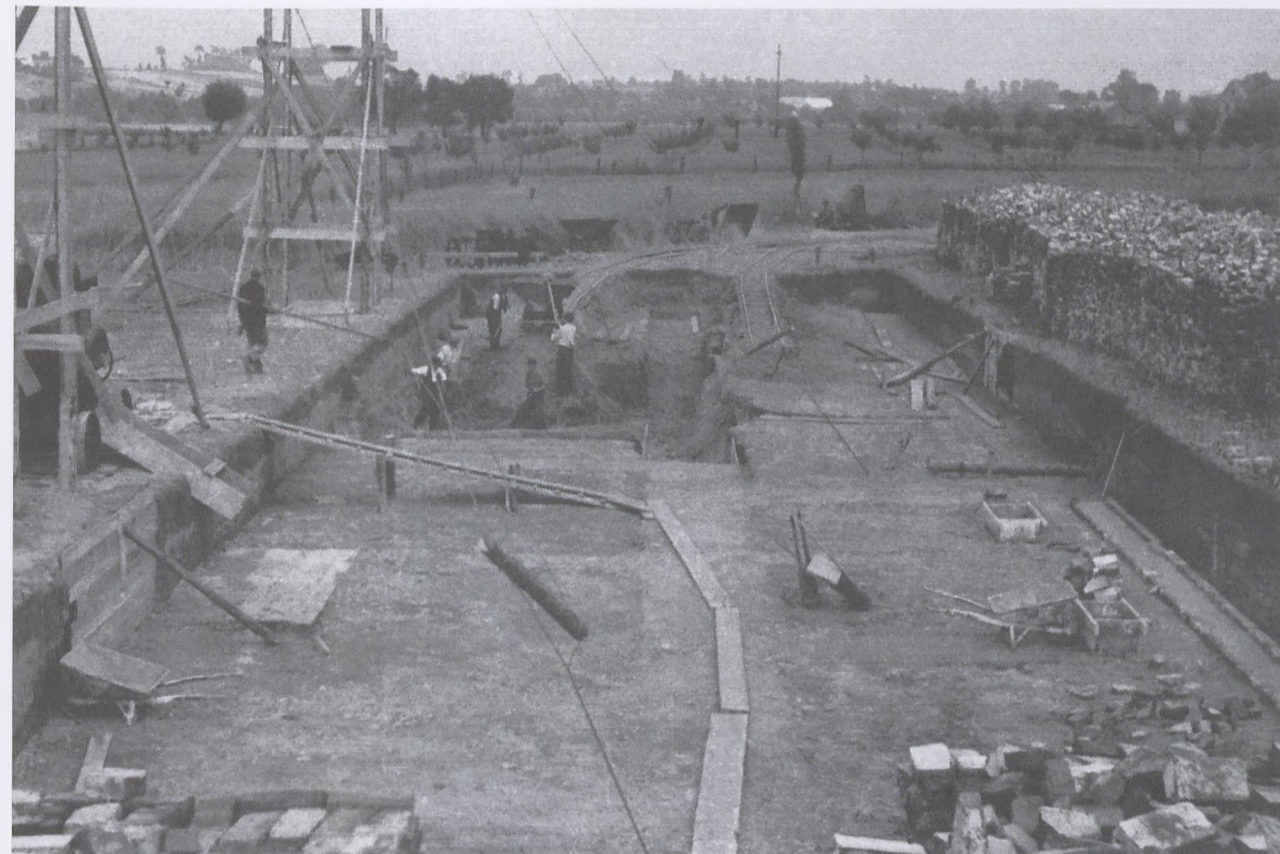
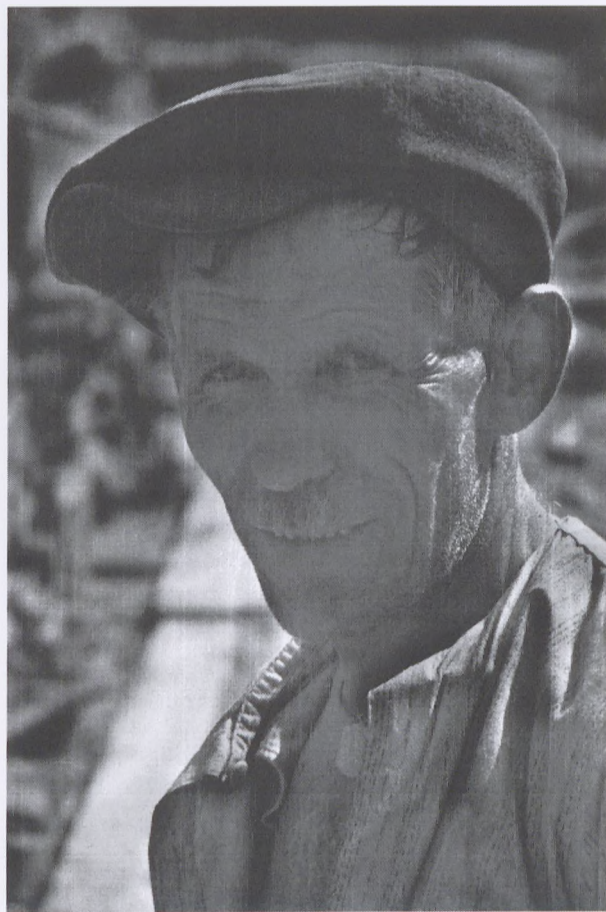


Portrety pierwszych budowniczych Nowej Huty, Mogiła, 1949 r.





Portrety pierwszych budowniczych Nowej Huty, Mogiła, 1949 r.



Pierwszy wykop i budynek w Nowej Hucie, Mogiła, 1949 r.



Jerzy Suberlak (13.04.1926-20.11.1977)

Studiował socjologię na Uniwersytecie Wrocławskim, którą ukończył w 1950 r. Od 1954 r. pracował jako dziennikarz i fotoreporter w Gazecie Opolskiej, będąc jednocześnie kierownikiem literackim Teatru Opolskiego. Po powrocie do Krakowa podjął pracę jako dziennikarz w zakładowej gazecie Kombinatu HiL „Budujemy socjalizm”, która później przekształciła się w „Głos Nowej Huty”. W latach 50. był aktywnym działaczem należącym do Związku Zawodowego Pracowników Kultury. Pisał opowiadania, które były w latach 60. drukowane w kilku czasopismach, oraz prezentowane w audycjach radiowych.

W 1979 roku ukazała się w Wydawnictwie Literackim w Krakowie jego powieść pt. „Matura”, której akcja toczy się w Gdańsku i obrazuje osobiste przeżycia autora, związane z ukończeniem w tym mieście szkoły średniej. Równocześnie z działalnością dziennikarską i literacką uprawiał fotografię, która z czasem stała się jego główną pasją życiową. Po powrocie z Opola w 1955 roku związał w Nowej Hucie Oddział Polskiego Towarzystwa Fotograficznego, i skupiając w nim grono pasjonatów fotografii – został jego pierwszym przewodniczącym.

Na swoich zdjęciach ukazywał ludzi w czasie pracy, zabawy i wypoczynku. Tworzył serie portretów osób związanych z kulturą i sztuką, z którymi spotkania i wieczory autorskie odbywały się w ówczesnym Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki przy Placu Centralnym w Nowej Hucie. Jego zdjęcia zamieszczane były w krakowskiej prasie, wydawnictwach o Krakowie i Nowej Hucie oraz prezentowane na wielu wystawach fotograficznych w Polsce.

Jesienią 1975 roku, w folderze wydany do wystawy Jerzego Suberlaka „Portrety fotograficzne” pokazywanej w salonie TPSP (Salon wystawowy w Nowej Hucie, Al. Róż 3), napisano:

(...) „Suberlak pozostaje artystą wszechstronnym, podejmuje szeroki wachlarz tematów, których dostarcza mu codzienne życie. Posiada szczególny dar dostrzegania i utrwalania tego, co rzeczywiście warte jest utrwalenia na kliszy, i w sposób trafny wybiera z mnóstwa motywów; przede wszystkim człowieka, ludzi, ich twarze w różnych sytuacjach życiowych najdobitniej rysujące uczucia i myśli. Tworzy w ten sposób jakby psychologiczny reportaż o ulotnych doznaniach, sprawach i problemach, które są powszechne, będąc w taki czy inny sposób udziałem wszystkich. (...) Osadzone w bieżącej współczesności fotografie Suberlaka nie starają się zmieniać, udziwniać, przekształcać rzeczywistości. Wybrany motyw rejestrują rzetelnie z dociekliwością właściwą ostrości widzenia soczewki. Taka umiejętność wydać się może nieco tradycyjna wobec nieustającego eksperymentowania, nie należy jednak wyciągać z tego wniosku, że Suberlakowi obce są dociekania warsztatowe i próby znalezienia środków osobistego wyrazu. Doświadczenia w tym zakresie nie stanowią jednak celu samego w sobie; doświadczenia te Suberlak wykorzystuje przy nadawaniu ostatecznego kształtu swoim fotografiom. Ten „czas zatrzymany” – jak Suberlak nazywa swoje fotografie – na niniejszej wystawie ograniczają się do portretów i aktów. Tak pomyślana wystawa pozwala głębiej wnikać w dorobek Suberlaka i ocenić go.”

Z kolei Ignacy Trybowski we wrześniu 1976 r. w katalogu do jego wystawy w Galerii Klubu MPiK pt. „Z podróży po Austrii”, pokazywanej niedługo przed śmiercią Jerzego Suberlaka tak m.in. o nim napisał:

(...) „Jest też ta wystawa dowodem konsekwentnych zainteresowań jej Autora, jako artysty, który dał się poznać jako realista. (...) W fotografii, nazywanej trafnie „czasem zatrzymanym”, Suberlak utrwała momenty i motywy z życia. W ich subiektywnym wyborze i kompozycji zdjęć tkwi kształt jego artystycznej wypowiedzi. Cechuje go przy tym szczególnie zmysł reporterski, objawiający się w szerokim wachlarzu tematów czerpanych wprost ze zwykłej codzienności. Jako takie fotografie Suberlaka posiadają znaczenia dokumentu czasu i miejsca. Równocześnie mają w sobie ekspresję zdolną wywołać głębszą refleksję i przeżycie.”

Natomiast w listopadzie 1976 r. w notce pośmiertnej zamieszczonej w „Głosie Nowej Huty” zespół redakcyjny tego lokalnego tygodnika donosił:

„Odszedł od nas niespodziewanie, w pełni sił twórczych i licznych – jak zawsze – zamierzeń. Widzieliśmy Go jeszcze kilka dni temu na otwarciu kolejnej wystawy plastycznej. Z aparatem fotograficznym w ręku pełnił swą fotoreporterską powinność. Dziś pożegnać musimy kolegę Jerzego Suberlaka na zawsze – fotoreporte-



ra, dziennikarza, działacza kulturalnego z terenu dzielnicy Nowa Huta. Jerzy Suberlak pracował w latach 50. W naszej redakcji. Robił zdjęcia, pisał, redagował kilka rubryk w pierwszym nowohuckim piśmie „Budujemy Socjalizm”. Lubiliśmy Go jako aktywnego, żarliwego dziennikarza i dobrego kolegę. Miał zawsze dziesiątki reporterskich pomysłów. Brał udział do ostatnich zresztą dni swego życia, w wystawach fotograficznego dorobku. M.in. w Klubie MPiK w Nowej Hucie wystawiał swój ciekawy zestaw prac z pobytu w Austrii, i świetlicy Drukarni Prasowej przy ul. Wielopole 1. Przygotowywał wystawę fotogramów ze Szwecji, gdzie ostatnio bawił. Nieubłagana śmierć przerwała te Jego plany”.

Opr. Adam Gryczyński



Kawiarnia „Stylowa”



Kawiarnia „Mozaika”



Salon Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych



Delikatesy



Sklep muzyczny

Witold Michalik

Urodzony w 1905 r. w Rudkach w województwie lwowskim, absolwent Państwowej Szkoły Budownictwa we Lwowie, którą ukończył przed 1939 r. Po wojnie, w 1950 r. uzyskał tytuł inżyniera komunikacji na Politechnice Krakowskiej.

Fotografował nieprofesjonalnie od 1955 r., był współzałożycielem Polskiego Towarzystwa Fotograficznego Oddział w Nowej Hucie. Jego przewodniczącym został w 1956 r. i funkcję tę, po przekształceniu się PTF w Klub Fotografików Amatorów, pełnił aż do końca swoich dni, to jest do 3 lipca 1985 r. W 1957 r. ukończył Wyższy Kurs Fotografiki prowadzony przez Delegaturę Krakowską Związku Polskich Artystów Fotografików, gdzie wykładowcą był m.in. klasyk polskiej fotografii – Henryk Hermanowicz. Był honorowym przewodniczącym Zarządu KFA oraz prezesem honorowym Klubu Instruktora Fotografii i Filmu przy Krakowskim Domu Kultury.

W 1978 r. otrzymał tytuł członka korespondenta Photographica de Arte Camera Club of America – Springfield Ohio.

Swoje prace prezentował na 124 wystawach i konkursach zagranicznych, na których uzyskał ogółem 45 nagród i wyróżnień, w tym trzy nagrody Grand Prix, oraz siedem złotych medali (Japonia, Nowa Zelandia, USA, Francja, Brazylia, Niemcy). W kraju przedstawił ogółem 175 wystaw indywidualnych, spośród których najważniejsze to: „Akt od klasycznego do nowoczesnego”, „Studium aktu”, „Człowiek rodzi się nagi”, „Akt psychologiczny”, „Wielki finał”. Oprócz tego brał udział w wielu wystawach i konkursach krajowych. Za całokształt swojej twórczości uzyskał w 1980 r. tytuł Artysty Międzynarodowej Federacji Sztuki Fotograficznej (Artiste FIAP).

Jego prace znajdują się w zbiorach Muzeum Narodowego we Wrocławiu, Ministerstwa Edukacji w Bangkoku (Tajlandia), Fox Talbot Museum Lacock (Anglia) i Polskiej Federacji Stowarzyszeń Fotograficznych.

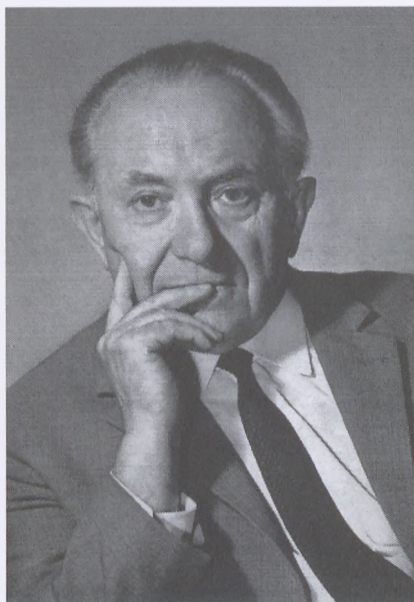
Witold Michalik był twórcą nieprzeciętnym, chociaż przez wielu nie rozumianym, co niekiedy rodziło konflikty. Jednak Jego osiągnięcia krajowe i zagraniczne są niepodważalne, podobnie jak wytężona praca w dziedzinie popularyzowania sztuki fotograficznej.

Zbigniew Kot tak o nim napisał: „A trzeba wiedzieć, że przez cały okres największej aktywności twórczej Michalik był człowiekiem chorym, bez przerwy pod opieką kardiologów. I tylko niezwyklej sile woli należy przypisać to, że był w stanie przetrzymać cztery zawały serca. Siłę tę czerpał, jak sam zawsze twierdził, z umiłowania fotografii, z chęci tworzenia, a także z satysfakcji jaką dawała Mu praca instruktora, dzięki której wzbogacał także swój własny warsztat. Do ostatniej bowiem chwili, będąc Honorowym Przewodniczącym Wojewódzkiego Klubu Instruktora Fotografii i Filmu przy WDK »Pałac pod Baranami« w Krakowie brał aktywny udział w organizowaniu imprez i spotkań instruktorskich. Z początkiem 1985 roku obchodziliśmy 80 rocznicę Jego urodzin i 25 lecie pracy twórczej. I wówczas Michalik zaskoczył wszystkich nowym zestawem przygotowanym na tę jubileuszową wystawę. Był to »Wielki Finał« – zestaw tematycznie całkowicie inny od dotychczasowych. Michalik odszedł w nim od aktu jako przedstawienia piękna ciała człowieka, a pokazał inny akt. Ostatni akt życia ludzkiego.”

Z kolei w recenzji z tej wystawy Czesław Odo Mostowski napisał: „...jest ta wystawa w zasadzie poświęcona granicy pomiędzy życiem a śmiercią, ale też sprawom żywych oraz wspomnieniom o tych, którzy odeszli. Odnoszę wrażenie, że w tym wielowątkowym przemówieniu do współczesnych może i do potomnych wykazuje autor wystawy pewien pośpiech...”

Tak, istotnie śpieszył się! Czuł jak wiele ma jeszcze do przekazania, mówił o tym, dzielił się swymi pomysłami i planami na przyszłość...

Witold Michalik był nie tylko świetnym artystą i instruktorem fotografii, ale też wspaniałym Przyjacielem i wychowawcą młodzieży. Miałem wielką przyjemność zaliczać się do Jego uczniów. Nigdy nie zapomnę pracy w latach 70. w ciemni w jego mieszkaniu na os. Szkolnym, ani setek przeglądanych tam (wraz z nim i Jego komentarzem) katalogów światowej fotografii, które były wtedy jedną z niewielu dostępnych okazji do zapoznania się z „poważną” sztuką fotograficzną. Wspominam też fantastyczne plenery z Jego udziałem np. w ramach



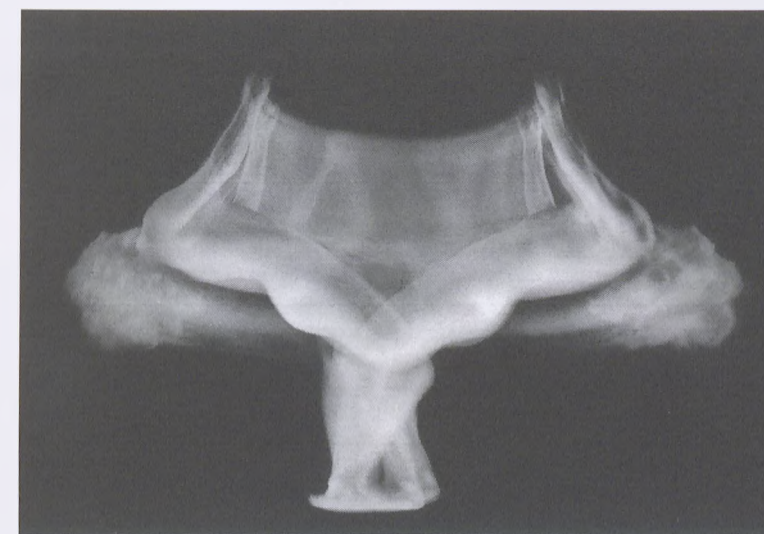
Akademickich Konfrontacji Twórczych w 1979 r. w Gorlicach, czy możliwość towarzyszenia mu podczas pracy, którą często rozpoczynał o 7.00 rano, a kończył późnym wieczorem. Bez Jego rad i nieocenionych wskazówek – nie tylko tych z dziedziny fotografii, lecz dotyczących życia w ogóle – z pewnością nie byłbym tym kim jestem. Często powtarzał, że ważne jest „Co” i „Jak” się fotografuje, ale najważniejsze to „Dlaczego?”

Kiedy zbliżała się uroczystość uroczystego otwarcia Nowohuckiego Centrum Kultury z udziałem premiera Mieczysława Rakowskiego w październiku 1983 roku, na spotkaniu z ówczesnym dyrektorem tej placówki – Leonem Lijowskim, gdy zlecono wykonanie na tę okoliczność błyskawicznego serwisu fotograficznego, Michalik autorytatywnie orzekł, iż... „bez spirytusu – nie da rady!”, czym wprowadził tam obecnych w spore zakłopotanie. Tymczasem miał on na myśli spirytus CzDA (Czysty Do Analiz), dzięki któremu (po zmieszaniu z wodą) zanurzony w nim, a wcześniej wywołany, utrwalony i wypłukany – film ze zdjęciami schnął znacznie szybciej...

Ogromną radość sprawiło mu urządzenie okolicznościowej wystawy w 1984 r. w nowohuckim Salonie TPSP z okazji spóźnionego (z uwagi na wprowadzony stan wojenny) 25-lecia Klubu Fotografików Amatorów, z którym związał się przez niemal 30 lat, a rok później swojej indywidualnej wystawy – „Wielki Finał”.

Jego własny „wielki finał” nadszedł zaledwie 4 miesiące później, gdy pokonał go piąty zawał...

Adam Gryczyński



Wemigrafia



„Macierzyństwo”, Grand Prix na Międzynarodowym Salonie Fotografii Artystycznej „Wenus”, 1974 r.



Roman Wesołowski

Urodził się 31 maja 1907 r. we Lwowie. Po ukończeniu gimnazjum, w 1928 r. rozpoczął pracę w Izbie Skarbowej studiując jednocześnie na Uniwersytecie Jana Kazimierza, który ukończył w roku 1934, uzyskując dyplom magistra prawa. Fotografiami, podobnie jak muzyką / grał na wielu instrumentach / zainteresował się już we wczesnym wieku i pozostał im wierny przez całe życie. W latach 30. XX w. brał udział w konkursach zdobywając liczne laury, a w 1938 r. jego prace przyjęło Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych we Lwowie na wystawę fotografii artystycznej w salonach Muzeum Lwowskiego. W czasie okupacji niemieckiej nadal wykonywał zdjęcia, pomimo trudności spowodowanych brakiem pracy. Od 1944 r. robił dokumentację fotograficzną dla wydziału urbanistyki magistratu lwowskiego. Roman Wesołowski w czerwcu 1945 r. wyjechał ze Lwowa jako repatriant wraz z żoną, dwójką dzieci i rodzicami. Zamieszkał w Krakowie gdzie znalazł na 7 lat pracę w przemyśle naftowym. W latach 1952-1968 był zatrudniony w Biurze Studiów i Projektów Hutnictwa „BIPROSTAL” dla którego wykonywał liczne prace fotograficzne

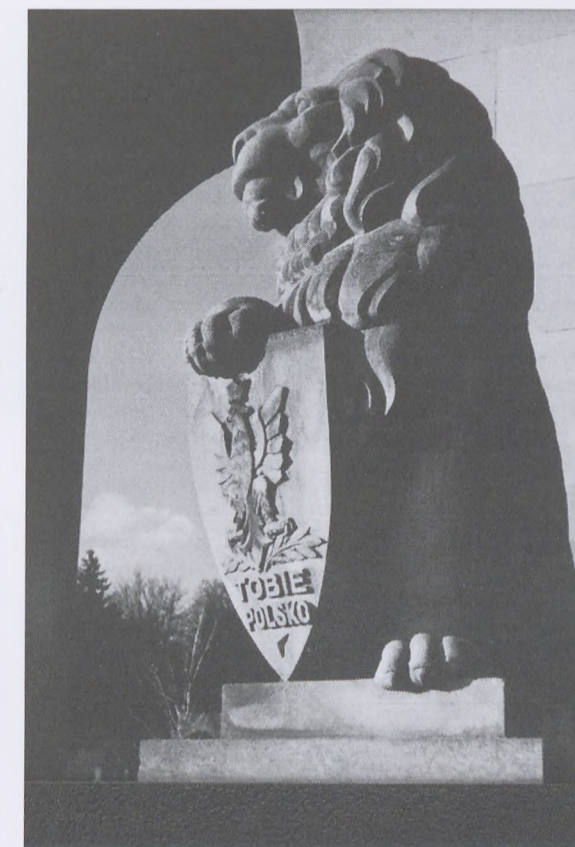
na terenie Nowej Huty i kombinatu metalurgicznego „Huta im. Lenina”, za co otrzymał m.in. Odznakę Budowniczego Nowej Huty. Dokumentował ponadto: Hutę Warszawa, zakłady przemysłowe w Oświęcimiu, Kędzierzynie i Alwernii. Wspominał, że była to ciężka i niebezpieczna praca w której podczas fotografowania wielokrotnie unikał upadku z wysokości i obrażeń od spadających żelaznych odłamków. W jego bogatej twórczości artystycznej, którą uprawiał równolegle do pracy zawodowej fotografa-projektanta szczególne miejsce zajmowała architektura, krajobraz i portrety. Od 1957 roku należał do Związku Polskich Artystów Fotografików. Był także członkiem rzeczywistym Polskiego Towarzystwa Fotograficznego i członkiem honorowym Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego w których wykazał się aktywnością. W 1967 r. otrzymał tytuł Artiste FIAP, w 1987 r. medal 40-lecia ZPAF, a w 1988 r. na 50-lecie swej pracy twórczej – medal honorowy ZPAF. W latach 1957 – 1974 brał udział w 20 międzynarodowych salonach fotograficznych oraz w wielu wystawach krajowych. Roman Wesołowski był także zapalonym turystą, a zwiedzając różne zakątki kraju – od Bałtyku po Tatry – nigdy nie rozstawał się z aparatem fotograficznym. Oprócz krajobrazu w jego twórczości dominowała nastrojowa tematyka lwowska i krakowska. Jako wytrawny artysta potrafił wspaniale oddać ducha i specyfikę miejsc nawet w detalach architektonicznych. W swych pracach często wykorzystywał mocny kontrast lub światłocien. Lubił też wykonywać zdjęcia pod światło przez co osiągał pożądane formy i kształty, a dla uchwycenia odpowiedniego nastroju umiejętnie rejestrował wszelkie zjawiska atmosferyczne.

„Urzekały mnie zawsze – mówił – takie motywy, z których można było wydobyć strukturę, fakturę czy trójwymiarowość, by odkryć ich wewnętrzne życie... Jestem za takim kierunkiem w sztuce, który skupia uwagę na środku wyrazu jakim jest forma”.

Stosował różne techniki fotograficzne: izohelię, relief, wtórnik i heliobrom, tworzył też interesujące fotomontaże powracając nawet po latach do starych negatywów. Jego zdjęcia ilustrują liczne albumy, były także wydawane w formie „widokówek”. Roman Wesołowski był autorem kilku wystaw, m. in.: pokazywanej w 1966 r. w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie oraz w 1989 r. w krakowskiej galerii Związku Polskich Artystów Fotografików przy ul. Św. Anny. Przyjaciele i współpracownicy wspominają szlachetne cechy jego bogatej osobowości oraz liczne zalety charakteru, a pośród nich – życzliwość i skromność. Oderwany od swych korzeni i ukochanego Lwowa nigdy potem nie użalał się nad swym losem i nie narzekał. Na długie lata znalazł przystań życiową i ukojenie w Krakowie, który także pokochał, poświęcając mu sporo miejsca w twórczości i gdzie zmarł 25 listopada 2000 r.

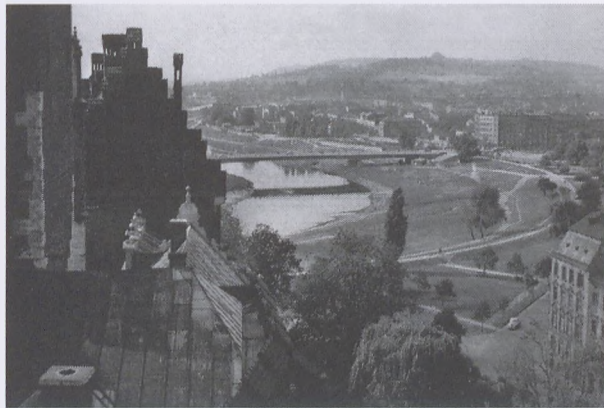
Wystawa w lutym 2007 r. w Foto-Galerii Nowohuckiego Centrum Kultury pt. „Lwów – Kraków – Nowa Huta” została przygotowana w oparciu o zbiory rodzinne artysty, archiwum Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego, Krakowskiego Klubu Fotograficznego i Biprostalu SA. Pokazano na niej zaledwie fragment twórczości odzwierciedlającej pasję fotograficzną artysty, którego życie poprzez miejsce urodzenia i młodość związane było ze Lwowem, a po wojnie – z Krakowem i Nową Hutą. Roman Wesołowski był obdarzony nieprzeciętną wrażliwością na piękno krajobrazu i architektury, które starał się w nich odnaleźć zapewne nie tylko dla siebie. Może dzięki temu jego postać i dzieła, zachowane do tej pory w pamięci nielicznych już osób – odżyją na nowo.

Adam Gryczyński



Lwów, lata 40. XX w.

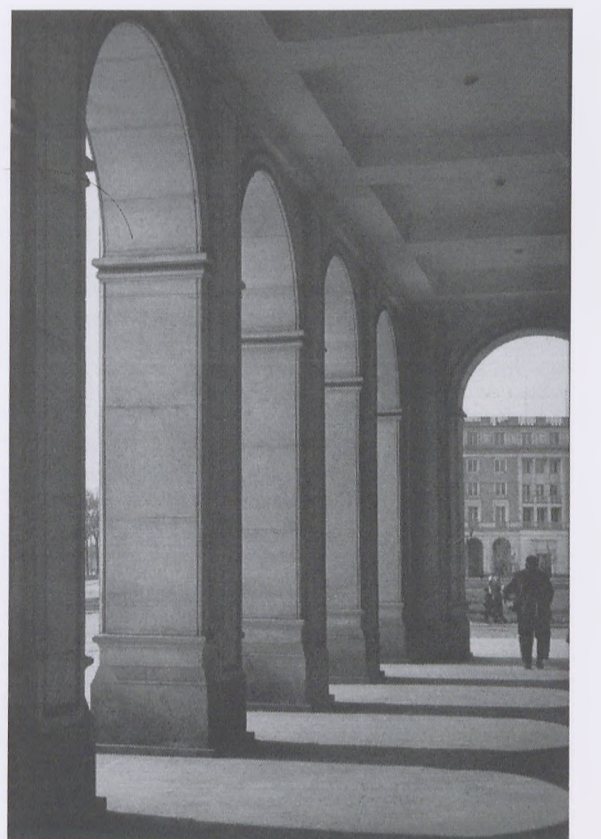




Kraków, lata 50. XX w.



Nowa Huta, lata 50. XX w.





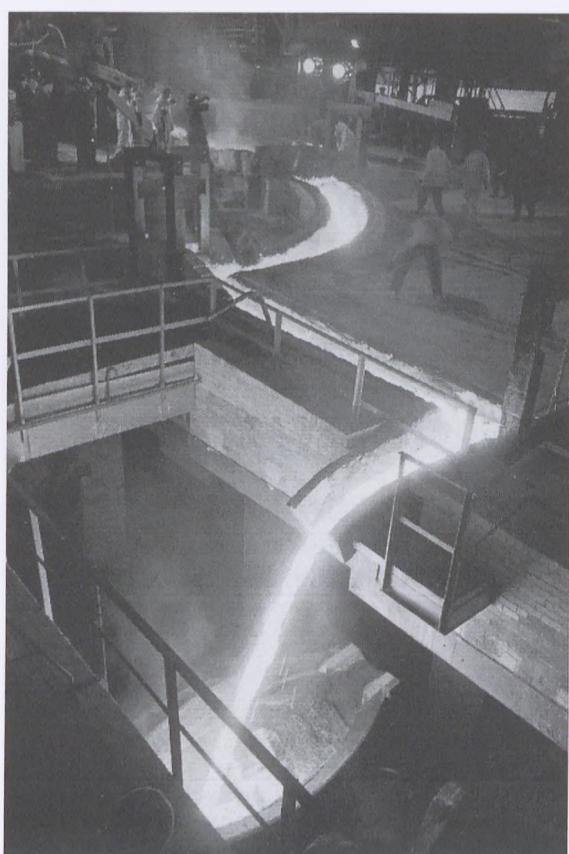
Uroczystość uruchomienia Wielkiego Pieca, 22 lipca 1954 r.



Portret młodego robotnika w technice izohelii

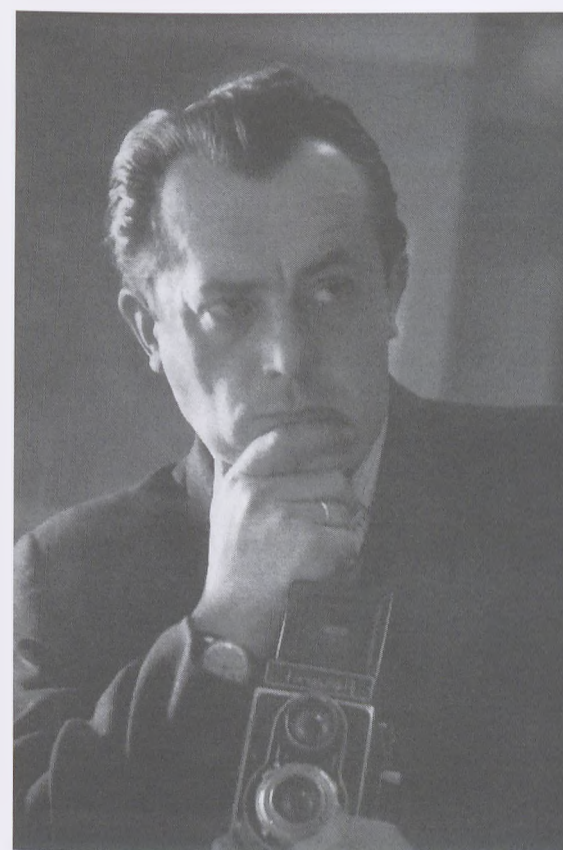


Pracownicy „Biprostalu”



Pierwszy spust surówki, 22 lipca 1954 r.

Witold Gajdziński (1925-1983)



Fotografia interesowała i fascynowała go od dzieciństwa. Zawodu uczył się w Krakowie w czasie II Wojny Światowej. Był uczniem w zakładzie fotograficznym Wacława Nowaka, który mieścił się na Rynku Głównym. Po wojnie otworzył zakład fotograficzny w Czyżynach, ale krótko cieszył się własnym zakładem, gdyż ustrój komunistyczny nie lubił rzemieślników. Krótko pracował w tzw. DZBM, ale cały czas marzył o powrocie do zawodu. W latach pięćdziesiątych prowadził zakład fotograficzny w Nowej Hucie na B1 (obecnie os. Stalowe). W 1958 roku otworzył własny zakład fotograficzny na os. Szkolnym bl. 14.

Przez wiele lat pracował dla Kurii Biskupiej w Krakowie, którą to działalność musiał ukrywać, bo nie była mile widziana przez ówczesne władze.

Prowadził zakład 25 lat, aż choroba i śmierć nie przerwała tego zajęcia. Pracował w zakładzie nad zdjęciami legitymacyjnymi, ślubnymi, okolicznościowymi z taką samą pasją jak fotografował plenery, ciekawe miejsca i zdarzenia.

Wielokrotnie nagradzany na konkursach fotograficznych.

Wiedział, że kiedyś nastąpi era fotografii cyfrowej, dzisiaj z fascynacją i niedowierzaniem patrzyłby na zdjęcia druko-

wane z komputera tuż po zrobieniu. Kiedy wychodził o trzeciej w nocy z ciemni fotograficznej zwykł mawiać „mam szczęście, że kocham swój zawód”

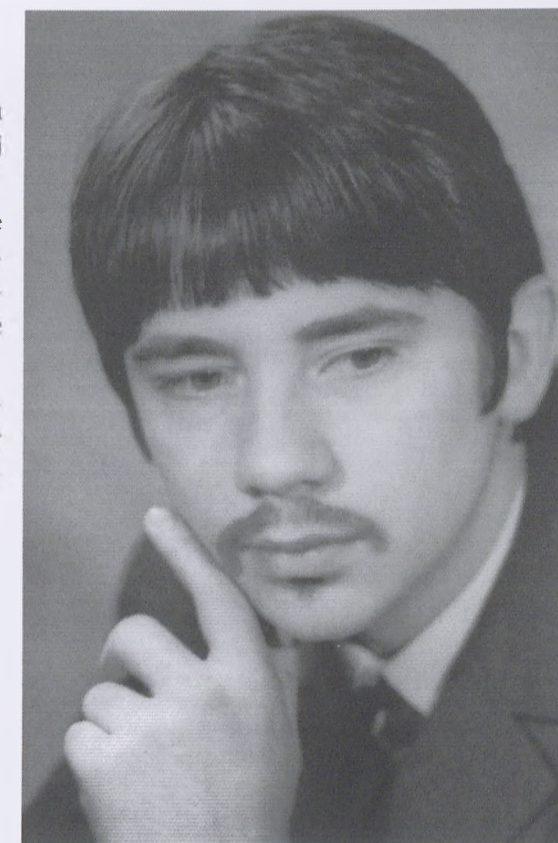
Jan Gajdziński (1951-2000)

Jako mały chłopiec towarzyszył ojcu w fotografowaniu okolic Krakowa, objeżdżał z nim okoliczne wsie, a później pomagał w obróbce zdjęć w ciemni fotograficznej.

Naukę w zawodzie fotograf rozpoczął bez przekonania, ale szybko okazało się, że naprawdę ma talent. Po szkole rozpoczął pracę w Pracowni Konserwacji Zabytków. Uwielbiał wyjeżdżać i dokumentować zabytki różnych miejsc Polski i nie tylko.

Ojciec przekazał mu pasję, o którą nie łatwo. Czasem tęsknił, za tym jego zachwytem nad udanymi zdjęciami. Gdyby żył, dziś pewnie dokumentował by Nową Hutę, bo i ona zaczyna być zabytkiem.

Ewa Gajdzińska





Widok na południe z okolic fortu w Grębalowie, ok. 1945 r.



Okolice Huty im. Lenina, lata 50. XX w.



Nowa Huta, lata 50. XX w.





Wnętrze „Cepelii”

Sztyl i gablota reklamowa zakładu fotograficznego Witolda Gajdzińskiego, Nowa Huta, os. Szkolne



Fragment kaplicy w Bieńczykach, lata 60. XX w.



W sklepie jubilera

Robert Kosieradzki

Urodził się dnia 7 czerwca 1937 roku w Częstochowie – Blachowni, gdzie w czasie wojny mieszkał z matką i babcią. Jego ojciec – kapitan Wojska Polskiego – przebywał w tym okresie z I Brygadą Spadochronową w Anglii. Po wojnie Robert Kosieradzki wyjechał wraz z matką do Opola, gdzie rozpoczął naukę. Po powrocie ojca z Anglii w 1946 roku rodzina przeprowadziła się do Łodzi, a w 1951 roku wróciła do Częstochowy, gdzie ukończył Technikum Górnictwa Rud. Od 1955 roku wraz z rodzicami (ojciec, inżynier mechanik objął stanowisko Kierownika Wydziału W-5 w Hucie im. Lenina) zamieszkał w Nowej Hucie. W tym czasie rozpoczął studia na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Jako młody chłopiec interesował się lekkoatletyką, uprawiał biegi, skoki itp. i odnosił nawet sukcesy w międzyszkolnych zawodach sportowych. Zafascynowany opowiadaniem ojca o wyczynach polskich lotników i desantu m. in. o walkach pod Arnhem chciał zostać lotnikiem, jednak swych marzeń o lotnictwie i sporcie nie mógł zrealizować ze względu na wrodzoną wadę wzroku. W czasach studenckich zaczął się interesować fotografią. Za pierwsze uskładane pieniądze kupił aparat fotograficzny, podręczniki-samouczki i urządził własną amatorską ciemnię.

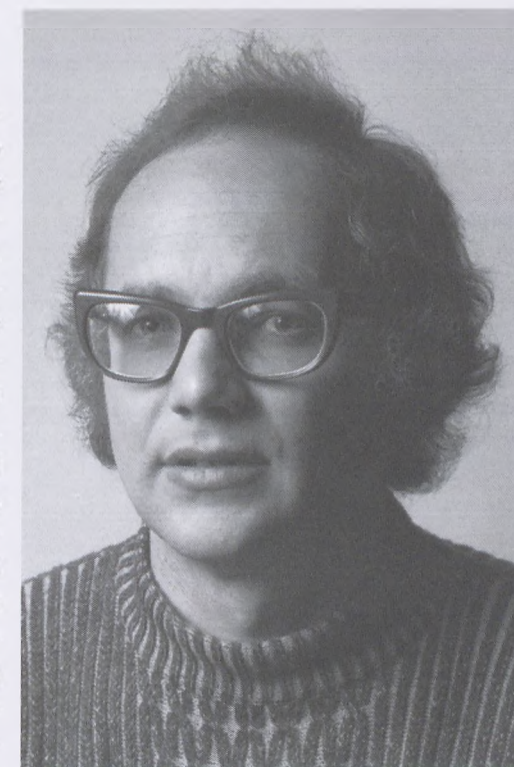
W 1958 roku wstąpił do Klubu Fotograficznego przy Zakładowym Domu Kultury HiL. Ponadto w grudniu 1960 roku ukończył 120 godzinny wyższy kurs fotograficzny zorganizowany przez Polskie Towarzystwo Fotograficzne, Oddział w Nowej Hucie, gdzie wykładowcami byli artyści fotograficy, członkowie ZPAF w Krakowie, m.in. Henryk Hermanowicz. Po ukończeniu studiów pracował w latach 1961–1972 na Wydziale Automatyzacji Huty im. Lenina jako inżynier elektryk, a w latach 1973–1977 zgodnie ze swoimi zainteresowaniami w Miejskim Biurze Projektów w Krakowie w charakterze fotografa. Wysyłał zdjęcia na różne konkursy i wystawy; w kraju i za granicą (NRD, Czechosłowacja, Bułgaria) gdzie w ponad trzydziestu konkursach otrzymał medale: złoty, srebrny i dwa brązowe oraz 12 pierwszych nagród, 3 drugie, 1 trzecią i 1 czwartą, a także nagrody pieniężne i liczne wyróżnienia, co potwierdzało jego umiejętności i osiągnięcia artystyczne.

30 lipca 1974 roku został przyjęty do Związku Polskich Artystów Fotografików, a jednocześnie wciąż był aktywnym członkiem Klubu Fotografików Amatorów Domu Kultury Hurty im. Lenina, gdzie za prezesury Witolda Michalika prowadził wykłady z techniki i technologii fotografii oraz stałe konsultacje z zakresu fotografii artystycznej.

W czerwcu 1981 roku został rzeczoznawcą w specjalności „ocena dzieł sztuki współczesnej w zakresie fotografii”, posiadał również uprawnienia instruktora fotografii kategorii pierwszej.

W 1985 roku otrzymał stypendium Miasta Krakowa za walory artystyczne i poznawcze jego zdjęć oraz nowe ujęcie spraw codziennych, a przez to trudnych do pokazania w sposób oryginalny. W latach 1985–1990 był instruktorem fotografii w Nowohuckim Centrum Kultury, gdzie oprócz zajęć i konsultacji artystycznych współtworzył – w pierwszych latach jej istnienia – oblicze tutejszej Foto-Galerii.

Jego dojrzałą twórczość cechuje wyjątkowa wrażliwość na różnorodne fenomeny egzystencjalne i zjawiska urbanistyczne. Rejestrował specyficzny krajobraz Nowej Huty, gdzie wielowiekowa przeszłość terenów na których powstawała gwałtownie splatała się z współczesnością. Uwzględniał następujące po sobie zmiany w krajobrazie, powracając po latach do tych samych, lecz już nie takich samych miejsc. Dokumentował kontrast „nowego ze starym” i dramat ludzi, których wygnano z ojcowizn, by na ich ziemiach wybudować „pierwsze socjalistyczne miasto”. Miał specyficzny sposób pokazywania tej dzielnicy a zwłaszcza Czyżyn, Bieńczyk, Wzgórz Krzesławickich i Grębałowa. Fotografując rzeczy i sprawy codzienne, potrafił uzyskać atmosferę pozornie pozbawioną humanizmu, niekiedy z porcją gorzkiej ironii. Z drugiej strony jednak zawsze interesował go człowiek, którego ukazywał przy pracy, w różnorodnych scenkach rodzinnych, podczas rozrywki i wypoczynku. Najczęściej szerokim kontekstem dla jego przedstawienia były nowohuckie blokowiska z lat 60. Robert Kosieradzki lubił tworzyć podteksty i charakterystyczne metafory. W jego zdjęciach można odnaleźć jakby „drugie dno” czyli przesłania i ukryte sensy, co zależało jednak od wiedzy, intuicji, wrażliwości i osobistego doświadczenia odbiorcy.



Niektóre bywały odczytywane jako kpina z ówczesnego systemu, co stanowiło w okresie gierkowskiej „propagandy sukcesu” zaporę nie do przebycia dla jego własnej kariery, której zresztą nie chciał robić za wszelką cenę, lecz pozostał wierny w subiektywnym przedstawianiu najbliższego otoczenia. Po latach, ten wykreowany przez inwencję autora zapis mijającego świata urósł do rangi wartościowego świadectwa społecznego – dokumentu, będącego dla starszej generacji znającej tamte realia – źródłem wspomnień, a dla młodszych porcją niezafałszowanej wiedzy i ładunkiem prawdy. Ukazywał bowiem nowohucian na tle swojego miasta bez pretensjonalności, koloryzowania i propagandowych przekłamań, na co stać wówczas było niewielu. W fotografii używał środków najprostszych przez co uzyskiwał zwięzłą i klarowną w formie wypowiedź nie rezygnując przy tym z atrakcyjnej warstwy wizualnej wykorzystującej zarówno klasyczne jak i nowatorskie środki wyrazu. Posiadał znakomite wyczucie kompozycji nawet przy wykonywaniu zdjęć chwytających życie na gorąco, w „decydujących momentach”. Czerpał inspirację z „ducha epoki” i jej codzienności: z ludzkich radości i smutków. Jego zapis jest czymś w rodzaju sprawozdania z dekady lat 60., a sposób w jaki fotografował wciąż pozostaje nowoczesny. Rejestracja nowohuckiej rzeczywistości lat 60. i 70. jest interesującą i aktualną propozycją zachęcającą do jej pogłębionego odbioru i odkrywania na nowo. Na zdjęciach widać ludzi pracy i zanikające zawody na tutejszym terenie: rolników, młynarzy, piekarzy, wozaków, ulicznych grajków, sprzedawców wody sodowej i in. W zestawie jego prac możemy też znaleźć zdjęcia robione dzieciom z „żyłką reporterską” w czasie zabawy na placach budowy i podwórkach, gdzie istniało realne niebezpieczeństwo zaważenia się rowów lub upadku z drzewa czy rusztowania, a rolę „rekwizytów” pełniły pozostałości po wykonywanych robotach. Rzeczywistości – w której przyszło mu spędzić życie przez ponad 30 lat, poświęcił sporo twórczej dociekliwości, pozostawiając cenne archiwum pełne negatywów i własnoręcznie wykonanych powiększeń. Był człowiekiem otwartym na innych, zwłaszcza na młodszych, którym w lekkiej, żartobliwej formie wypowiedzi służył w potrzebie mądrą radą i dobrym słowem. Jego przyjazny stosunek do ludzi i świata, pochwała rodziny, oraz niekłamany życiowy optymizm zjednywał mu wielu oddanych przyjaciół. W rozmowie dość często operował błyskotliwym skrótem myślowym. Miał zaskakujące poczucie humoru o którym wciąż krążą anegdoty; np. celowo myląc w rozmowie imiona dobrze znanych mu osób lub używając zaskakujących słów i zwrotów, doprowadzał do zabawnych nieporozumień towarzyskich i wielu niepowtarzalnych sytuacji. Bardzo lubił podróżować, uwielbiał zarówno wyprawy zagraniczne na Bliski Wschód, jak i wycieczki w rodzime rejony np. Tatry, które znał doskonale i bardzo ubolewał, gdy pod koniec życia stan zdrowia nie pozwalał mu uczestniczyć w plenerach tatrzańskich i pienińskich urządzanych wtedy co roku przez Nowohuckie Centrum Kultury. Z tym większym jednak zapałem udzielał się potem jako konsultant, poddając wnikliwej ocenie zgromadzony w trakcie plenerów plon: setki zdjęć, odbitek i slajdów, co zaowocowało w 1987 r. wielką, a zarazem pierwszą wystawą fotograficzną w Foto-Galerii NCK, a wcześniej wieloma innymi: „Nowa Huta – miasto i ludzie”, „Nowa Huta – miasto i okolice”. Te działania przynosiły wówczas Klubowi Fotografików Amatorów duży splendor, np. wyróżnienia i III miejsce i Brązowy Medal Polskiej Federacji Stowarzyszeń Fotograficznych na dorocznych prezentacjach i przeglądach w Uniejowie, a warto tu dodać, że były to czasy, gdy do Federacji należało ponad 100 klubów i towarzystw. Współpracował ponadto z „Tygodnikiem Powszechnym”, „Polityką”, „Panoramą” i „Głosem Nowej Huty”, w których zamieszczane były jego zdjęcia. Robert Kosieradzki nie wydał albumu, nie miał także nigdy indywidualnej wystawy swych prac. Zmarł nagle na atak serca 6 lipca 1990 r. w Krakowie. Miał 53 lata.

W pierwszą rocznicę jego śmierci Foto-Galeria Nowohuckiego Centrum Kultury przygotowała w oparciu o jego dorobek w 1991 r. „Wystawę retrospektywną”, zaś w 2006 r. wystawę „Nowa Huta – lata 60. i 70.” Kolejna wystawa Roberta Kosieradzkiego: „Nowa Huta – lata 60.” została zorganizowana w ramach cyklu prezentacji pn. „Nowa Huta – najmłodsza siostra Krakowa” zrealizowanego z okazji 750-lecia lokacji Krakowa pod patronatem Prezydenta Miasta Krakowa.

Adam Gryczyński

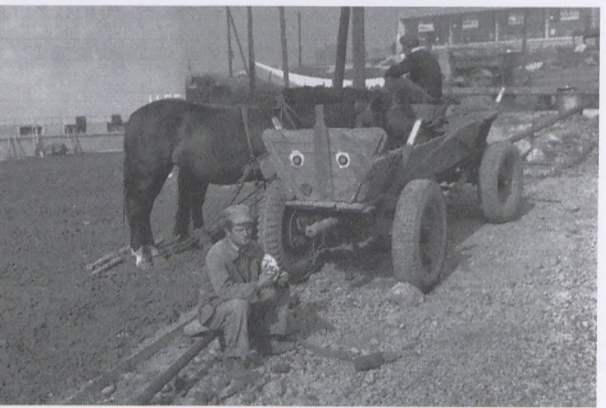


Migawki z Nowej Huty, lata 60-70. XX w.





Migawki z Nowej Huty, lata 60-70. XX w.

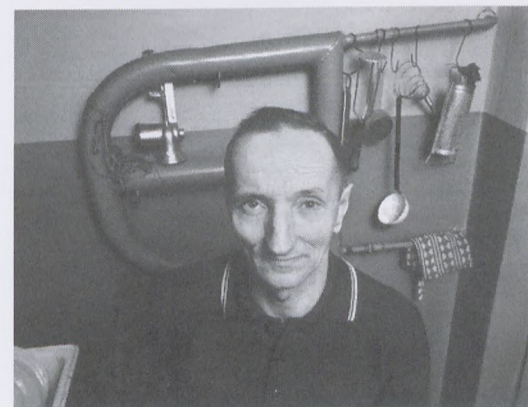
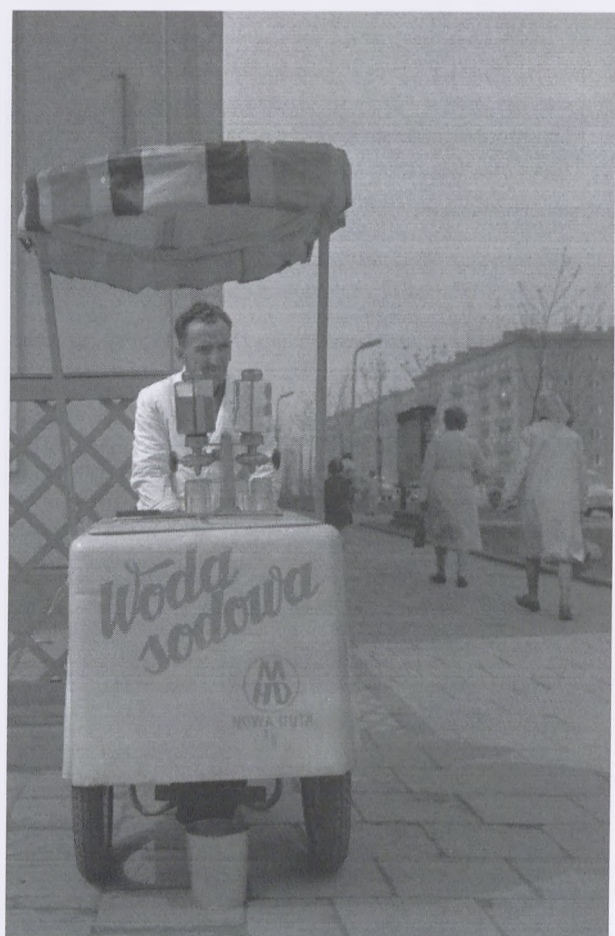


Migawki z Nowej Huty, lata 60-70. XX w.





Migawki z Nowej Huty, lata 60-70. XX w.



Ludzie z Nowej Huty, lata 60-70. XXw.



We młynie w Bieńczycach, ok. 1970 r.



W piekarni Motyki w Bieńczycach, ok. 1970 r.

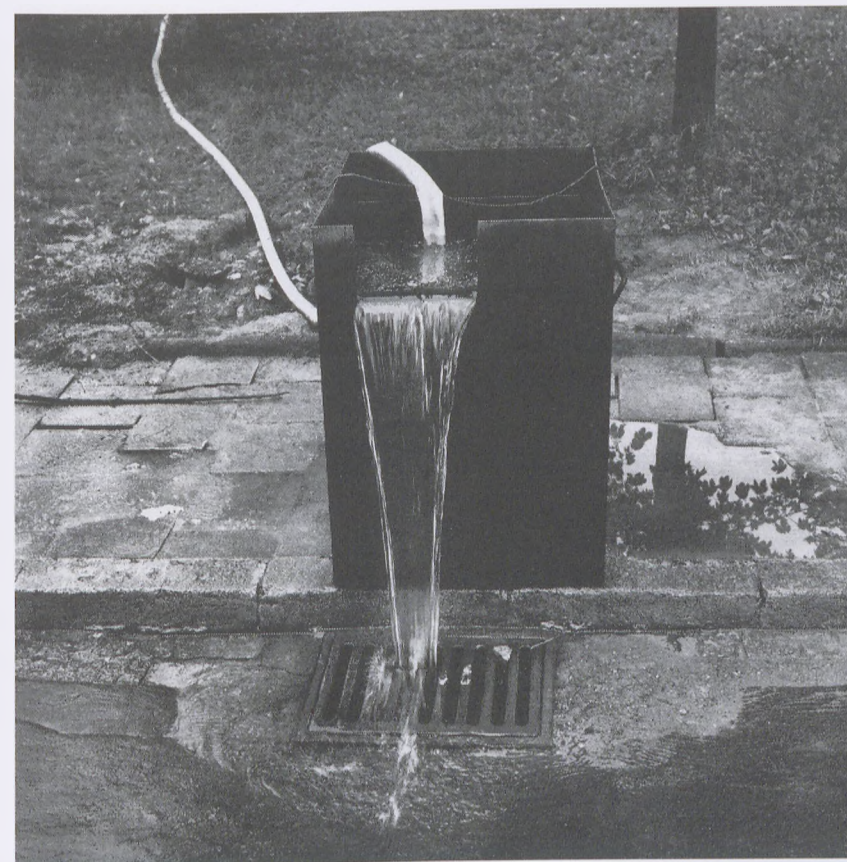




Z cyklu: „Metafory”, Nowa Huta, lata 70. XX w.



Z cyklu: „Metafory”, Nowa Huta, lata 70. XX.



Czesław Odo Mostowski

Był to artysta kilku epok. Pierwsza ekspozycja jego prac miała miejsce w 1934 roku, w zbiorowej wystawie uczniów VIII Gimnazjum im. A. Witkowskiego (dziś V Liceum), przy ul. Studenckiej, w Krakowie. W latach młodzieńczych fotografował pudełkowym KODAKIEM (uwieczniał nim m.in. zabytki Sztokholmu w 1934 r.) Po Tatrach zaś chodził z VOIGTLANDEREM formatu 9x12 cm, z podwójnym wyciągiem, Packfilmami i drewnianym statywem fotografując Morskie Oko, Kościelec, Świnicę czy „Murowańca”, w którym obchodził w 1926 r. swe pierwsze Boże Narodzenie w górach, ucząc się przy okazji od ojca sztuki fotografowania i jazdy na nartach. Czułość filmów mierzyło się wówczas w stopniach Scheinera...

We wczesnej młodości pomagał swojemu ojcu, dr Włodzimierzowi Mostowskiemu wywoływać i suszyć na specjalnych krzyżakowych suszarkach szklane klisze fotograficzne. Robił wówczas pierwsze stykowe odbitki z dość dużych negatywów na tzw. „papierze dziennym”, naświetlanym światłem słonecznym.

Od matury w 1937 r., kiedy otrzymał z tej okazji od matki LEICĘ – STANDARD, stał się Mostowski zamiłowanym fotografem, prawie nigdy nie rozstając się z aparatem. Przechowywał z pietyzmem LEICĘ III – zamienioną w czasie okupacji za tę naturalną („trójką” miała tę dodatkową zaletę, że posiadała wbudowany odległościomierz). Po wojnie przeszedł etap posługiwania się radzieckim „ZENITEM”, bo pojął, że jednak prawdziwy fotograf musi widzieć obraz na matówce, albo w celowniku. Potem przyszło kilkanaście lat z kilkoma kolejnymi „PRACTICAMI”, a kolorowe prace z negatywów „ORWO” na papierze FOTON COLOR często przyjmowane na konkursach międzynarodowych stały się podstawą przyznania Mostowskiemu w 1980 r. tytułu AFIAP (Artiste de la Federation Internationale de l'Art Photographique).

Głównym, ale przecież nie jedynym tematem jego fotografii był krajobraz; ten bardzo ogólny, a czasem świetny detal, dostrzeżony przez tego niezwykle bystrego, czujnego i wrażliwego obserwatora. Osiągnął on także bardzo dobre wyniki w artystycznym portrecie, czasem mocno przetworzonym, na konkursach fotografii w technikach specjalnych też zdobywał laury...

Od 1993 r. – jak mówił żartobliwie Mostowski – „kanonizował się”, tzn. zaczął fotografować CANONEM-EOSEM z dwoma ZOOMAMI. To znacznie powiększyło liczbę jego prac barwnych, nie zrezygnował jednak z monochromatycznej fotografii i stale podkreślał – co warto przypomnieć współczesnym, „cyfrowym” fotografom, że „czarno-białej fotografii nic nie zastąpi, a dobra fotografia barwna jest niezwykle trudna!”

Warto podkreślić, że Mostowski swych fotogramach czarno-białych wykazywał doskonały warsztat, zwłaszcza w low-key, jak i w silnych kontrastach i niezwykle ostrym ziarnie uzyskiwanym metodą naświetlania punkowego pod powiększalnikiem. Bardzo dobrze sobie radził w pełnych artystycznych emocji, pięknie komponowanych obrazach barwnych. Czesław Odo Mostowski twierdził, że są to po prostu dwa różne rodzaje twórczości plastycznej. Ta wybitna wrażliwość artysty na barwy i ich zestawienia, a także na wychwytywaną przez niego romantykę pejzażu była z pewnością związana z jego studiami malarskimi na ASP w Krakowie (w latach 1947-52), gdy bliski stał mu się postimpresjonizm. Mostowski miał ponad 20 wystaw indywidualnych, w tym trzy wystawy fotografii były połączone z równoczesną ekspozycją jego malarstwa.

Fotogramy artystyczne wystawiał na wszystkich kontynentach, na blisko 150 różnych wystawach międzynarodowych. Uczestniczył też w ok. 180 konkursach i wystawach w kraju, ilustrował fotografiami kilka książek. Bywał fotoreporterem krakowskich dzienników i przez pewien czas pracował w Centralnej Agencji Fotograficznej. Przez całe życie pozostał wierny tematyce krajobrazowej w której osiągnął liczące się wyniki na prestiżowych konkursach, np.: Biennale Krajobrazu Polskiego w Kielcach, Biennale „ZABYTKI” w Zamościu, czy Biennale Fotografii Górskiej w Jeleniej Górze. Na tych wszystkich i innych konkursach i wystawach zdobył liczne medale, nagrody, dyplomy, wyróżnienia...

Wysiedlenie przez władze PRL w 1951 r. całej rodziny Czesława Mostowskiego z Krakowa w ramach oczysz-



czania miasta z przedwojennej i patriotycznie nastawionej inteligencji choć było wielkim wstrząsem, tylko na krótko ograniczyło jego działalność fotograficzną. Jednak po latach tamte – jakże dramatyczne wspomnienia – znajdują swoje odbicie w niektórych jego fraszkach:

*„Ten cały socjalizm, komunizm i inne »izmy«,
ta trwająca przez dziesięciolecia nieszczęsna rewolucja,
to wszystko, to nic innego jak tylko zdewastowane,
rozdeptane butami intelektualne, ludzkie, życiowe środowisko...”*

*„Jak zawładnąć jakimś społecznym bytem?
Zabrać mu, zniszczyć, wykupić,
Stłamsić lub ukatrupić intelektualną elitę”*

*„Poczynania podprawione zbrodnią
nigdy zdrowo nie zapłodnią”*

i w słowie „Od autora”, w którym niejako uzasadniał swoje fraszkopisarstwo:

„W Polsce Ludowej każdy dzień przynosił spostrzeżenia i przeżycia godne lapidarnego podsumowania, bo życie Polaków w tej macoszej ojczyźnie, kierowanej przez kolejne ekipy niedouczonej »władcy«, posłusznie wypełniających zbrodnicze dyrektywy z zewnątrz, było i niełatwe i ogłupiające, a nieraz nieznosne... Uważam, że pisanie o tym fraszek stanowiło dla mnie przez wiele lat odtrutkę na stresy, serwowane co dzień przez warunki egzystencji w naszym kraju, (no i w Krakowie!). Nie mogłem nie próbować publikować rzeczy związanych z warunkami życia społecznego i politycznego w Polsce, a to zamykało drogę. Tu i tam (także za granicą) ukazało się w prasie codziennej i periodykach trochę mych fraszek w pierwszym i drugim obiegu. Szczęśliwie uniknąłem nie przynoszącego chwały (a wręcz przeciwnie) uznania, (...) pisałem raczej »do szuflady«. (...) Ciekawe... Niektóre polityczne fraszki z czasów PRL prawie wcale się nie dezaktualizowały...”

Z Olsztyna gdzie zamieszkał po wysiedleniu, a następnie po uzyskaniu absolutorium na Wydziale Malarstwa krakowskiej ASP, wysyłał wciąż zdjęcia na konkursy i zdobywał laury. Po powrocie „do domu” w 1959 r. Czesław Mostowski równolegle malował i fotografował. W 1964 r. nawiązał współpracę z Krakowskim Towarzystwem Fotograficznym intensywnie obsyłając pracami międzynarodowe konkursy fotograficzne, co zaowocowało jego członkostwem w Photographic Society of America.

Czesław Mostowski prowadził niezwykle intensywną działalność szkoleniową i popularyzatorską w zakresie fotografii, szkolił młodzież KTF-u wspólnie z innymi seniorami Towarzystwa, a w latach 70-tych wygłaszał dziesiątki wspaniałych prelekcji i pogadanek z pogranicza plastyki, fotografii i poezji (!), które szczególnie mocno zapisały się we wdzięcznej pamięci wielu ludzi.

W latach 80-tych był wykładowcą i egzaminatorem z dziedziny fotografii barwnej studentów Pedagogiki Uniwersytetu Jagiellońskiego i blisko współpracował z Klubem Fotografików Amatorów w Nowej Hucie, prowadzonym wówczas przez długoletniego prezesa, Witolda Michalika. W tym okresie Czesław Mostowski uczestniczył w licznych plenerach fotograficznych organizowanych przez PFSF (Uniejów, Krasiczyn, Beskid Niski, Bieszczady), a także KFA (kilkakrotnie w Tatrach, Pieninach, Nowej Hucie) nawiązując coraz bliższą współpracę z naszym Klubem. Nie zapomnę jego wypraw w góry (najczęściej w towarzystwie swego nieocenionego przyjaciela Jurka Baranowskiego), kiedy potrafił wraz z nim oczekiwać nieraz przez kilkadziesiąt minut w jednym upatrzonym miejscu tylko po to, aby „wałnąć na grani kozicę”, uchwycić pożądaną konfigurację chmur, skupiony na jakimś elemencie krajobrazu promień słońca lub inne zjawisko atmosferyczne. Często bywał też w Gródku nad Dunajcem, gdzie fotografował okolicę we wszystkich możliwych porach dnia i roku, i gdzie powstało tak wiele jego ulubionych prac – zwłaszcza jesienią, kiedy kolory są zróżnicowane i najżywsze.

W roku 1991 i 1996 zorganizowaliśmy w Foto-Galerii Nowohuckiego Centrum Kultury duże retrospektywne wystawy Czesława Odo Mostowskiego, na których prosił, by jego goście i zwiedzający oglądając prace pozwolili każdemu fotogramowi się wypowiedzieć. By podeszli do zdjęcia, odeszli i spojrzeli jeszcze raz... i bardzo liczył na to, że każdy dostrzeże coś co go zainteresuje, może poruszy albo sprawi odrobinę przyjemności.

Było bowiem cechą niezwykłą Czesława Odo Mostowskiego, że miał on w swym dorobku znaczną ilość bardzo dobrych, liczących się fotogramów, że nie zdobył sławy jednym, czy paroma świetnymi zdjęciami, posyłanymi na wiele konkursów i wystaw, lecz, że za każdym razem niejako od nowa podchodził do tematu i tworzył fascynujące prace. Jeżeli tematowi dał się porwać – powstawały fotogramy nadające się do ekspozycji wszędzie. Podziwiał też należało „pilność” Mostowskiego w poszukiwaniu motywów. Na plenerach fotograficznych był zawsze jednym z pierwszych „na nogach”, by nie przegapić gry porannej mgły (którą uwielbiał wprost fotogra-

fować), pierwszych promieni słońca, kropli rosy na trawie i pajęczynach... Nocą też często można było zobaczyć pana Czesława ze statywem, aparatem, a czasem z lampą błyskową, łowiącego ciekawe ujęcia gry cieni i światła np. na zamku w Niedzicy czy pałacu w Krasicy. Robił też zdjęcia spod parasola podczas ulewnego deszczu np. w Gorlicach, czym wprawiał przypadkowych przechodniów w osłupienie, podobnie jak uczestników sympozjów i spotkań fotograficznych np. w Uniejowie, kiedy jeszcze w latach 70. dla zilustrowania swojej fizycznej kondycji potrafił bez najmniejszego problemu wskoczyć z podłogi wprost na stół... Dodam, że w młodości z uwagi na Jego nieprzeciętną posturę otrzymał przydomek „Szafa”.

Od 1972 r. był sekretarzem Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego, był też Członkiem Honorowym Krakowskiego Klubu Fotograficznego a od 1992 r. (Nr leg. 2/92) Artystą Fotografem PFSF (Polskiej Federacji Stowarzyszeń Fotograficznych).

W 1979 r. został instruktorem „I” kategorii w dziedzinie fotografii.

Był dobrym, życzliwym kolegą wszystkich fotografujących, pogodnym człowiekiem łatwo nawiązującym kontakt, a w czasie pokazów swoich zdjęć z autoironią mawiał:

„To odbitki moje własne: raz za ciemne, raz za jasne.”

albo:

„Widziałem zdjęcie, zdjęcie-»zadęcie«, na którym Mostowski,
niezwykle skupiony, odczytuje swe androny...”

„Poznasz fotografa talent i gust
po tym, kiedy naciska spust”

W czasie rozmowy nieoczekiwanie zadawał też trudne pytania, a zarazem na nie odpowiadał rymówką:

„Dlaczego ten polski świat tak słabo się kręci?
Bo kiepski się zdeprawował, a dobry – zniechęcił.”

„Cóż zrobić!?
Fraszki mymi nie zmienię człowieka,
lecz staram się pełnić rolę małego pyłka pod powieką...”

Pisał przeważnie żartobliwe i dowcipne fraszki o tematyce damsko-męskiej, nawiązując niekiedy do twórczości Jana Izydora Sztaudyngera, którego fraszkom i wierszom Mariana Żałuckiego zawdzięczał, że „próbował swych sił na tej niwie”. Dobitnie kpił z bulgotania przemówień peerelowskich notabli i degrengolady naszego ojczystego języka. Niektóre wypowiedzi budował na przenośniach, obrazujących ludzkie słabości i przywary, pisał też znakomite aforyzmy.

Nawiązując do użytej przez niego jako motto fraszki Sztaudyngera:

„Fraszka jedynie wtedy spełnia swoją rolę,
kiedy pachnie jak róża i jak róża kole”

stwierdzał – mimo swego optymizmu – że życie nasze obejrzone z bliska (i z bliska powąchanie) nie było w Peere-lu, no i dziś nie jest zbyt pachnące. Nie zawsze więc udało mu się zebranych myślom zapewnić miły aromat...

Opublikował 3 wydania ciętych fraszek (czasem przez to wyrzucanych przez cenzurę), o gorzkiej refleksji nad światem, oraz społecznych i filozoficzno-politycznych podtekstach, które mimo upływu lat porażają wręcz swoją aktualnością.

A oto dla przykładu kilka Jego fraszek pochodzących ze zbioru „Fraszki o pannach i paniach, pocziwcach i draniach” wydanych w 1991 roku:

„Cóż z tego, że dzikie wrzaski
pasują do dzisiejszej maski?
Czy jednak wyciem i tupaniem
Zdolamy zdusić serca drganie...?”

„Niegdyś mędracy delectowali się ciszą.
Dziś ludzie niemal nawzajem się nie słyszą!”

„Honor..., to jeden z tych rzeczowników,
które wkrótce znikną ze słowników.”

„Pałka, kielbasa i więzienia,
ciągle niezbędne do rządzenia”

„Polityczny zwyczaj bardzo stary:
Nadużywanie ludzkiej wiary”

„Trzeba nam, pono, tak niewiele...
By kraj zamieszkiwali obywatele.
Niestety to droga dość daleka.
Do obywatela prowadzi przez... człowieka.”

„Czy ludzkość kiedyś pojąć będzie zdolną,
że nie może być takich, którym wszystko wolno!”

„Ta ludność naszej ziemi w wysiłkach się prześciga
ażeby sobie samej swą planetę zarzygać”

„Jak wprowadzić tę zgodę i spokój narodowy,
skoro wciąż jeszcze żyją ostaszkowskie i starobielskie sieroty
i kozielskie wdowy?”

„Uważam, że chlewnia dzisiejsza, ta nasza...
jest gorsza od stajni Augiasza”

„Wciąż jeszcze biesiady plebejskie...na Wiejskiej”

„Spozieramy na naszą »górgę«,
a tu afera! Same zera.”

„Ciągłe nam swój ogon rozkładają
czerwonooogonne pawie
i wciąż jako prawo przedstawiają
przez siebie stworzone bezprawie”

„Nowych władców zwyczaj stary:
Negować stare prawdy wiary”

„Ludzie! Słuchajcie. ZDRADA!
To nie postęp, to DEGRENGOLADA...”

„Niech łobuzom wreszcie odmówi koryta
NASZA RZECZPOSPOLITA”

„Tempora mutantur et nos mutamus in illis...
Pilnujmy jednak, byśmy się w o b c y c h nie zmienili”

Czesław Odo Mostowski niemal do końca swoich dni robił zdjęcia (najczęściej przez okno) i pisał fraszki.

Na kilka miesięcy przed śmiercią, kiedy był już mocno schorowany, a ja odwiedziwszy go w domu przy ulicy Lubicz w Krakowie mimo to zaproponowałem, że zorganizuję mu wystawę, odpowiedział z błyskiem w oku, że dzięki tej propozycji „poczuł się jak ułan, który dosiada swego rumaka na dźwięk trąbki...”

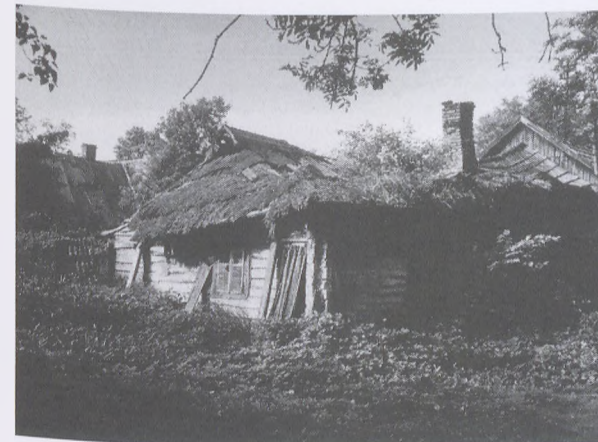
Wziął jeszcze udział w wernisażu, na który przybyło mnóstwo jego gości i publiczności, co niewątpliwie sprawiło mu ogromną radość...

Odszedł od nas na zawsze w 1997 roku.

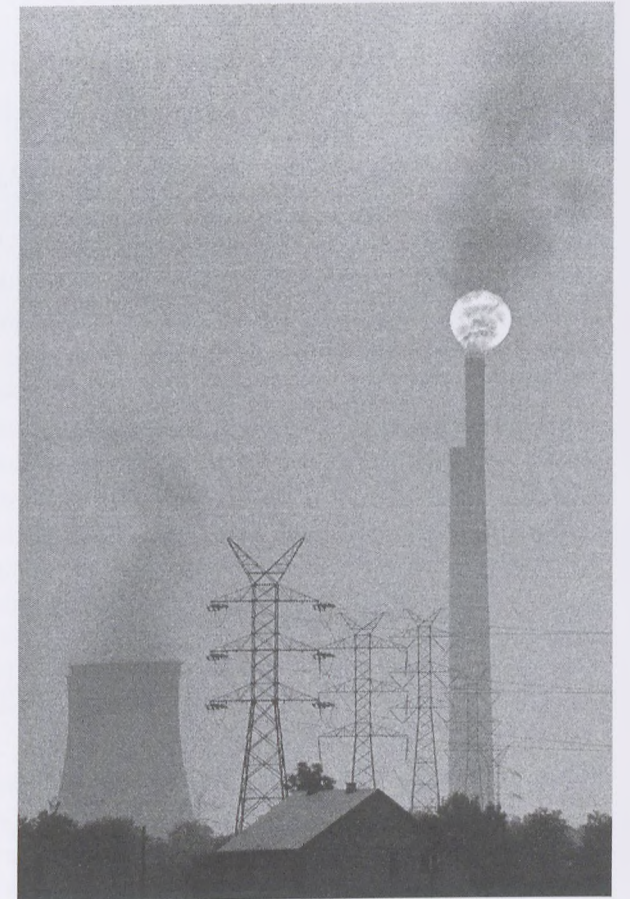
Adam Gryczyński



W Krzesławicach, 1986 r.



„Nowohuckie plenery”, 1986 r.



Jan Zych

To, że fotografika stała się odrębną dziedziną działalności artystycznej, wiedzą dziś wszyscy. Rzecz w tym, że z tego stwierdzenia korzystać zaczyna olbrzymia rzesza ludzi posługujących się aparatem fotograficznym, którzy pretendują do artystycznych awansów, po prostu fotografując otaczający ich świat. I często spotkałem się z ludźmi, którzy zakupiwszy drogi sprzęt zaczynali swą karierę „twórców”. Polegała ona na przyciśnięciu magicznego guzika w bardziej magicznym i automatycznym aparacie. Nie o takim fotografowaniu tu mowa. W przypadku Jana Zycha, równie utalentowanego, co pracowitego obserwatora świata i ludzi, każdy dostrzeże uczulonego na piękno artystę. Kiedyś wielki Lutosławski powiedział mi: „Wirtuozeria zaczyna się w muzyce wtedy, gdy instrument ginie, a pozostaje sama muzyka ze swą magią”.

Sądzę, że w przypadku Jana Zycha instrument, jakim jest aparat fotograficzny, też przestał znaczyć, pozostała jedynie magia obrazu. Dotyczy to kompozycji i nastroju, a może szerzej, artystycznych przeżyć twórcy. Przypominam jedną z wystaw Jana zorganizowaną na Politechnice Krakowskiej. Stałem przed czarno-białym fotogramem wyobrażającym fragment naszego polskiego krajobrazu. Były to po prostu dwa drzewa, ale coś szczególnego uderzyło mnie w tym dziele.

Oto przypominałem pobyt w Amsterdamie. W muzeum stanąłem bezradny przy jednej akwaforcie Rembrandta pytając: – Jak on na Boga uzyskiwał te efekty? Oto niektóre plany jasne zaczynają wręcz świecić i promieniować. Czy jest jakaś fluorescencja? A czerni ma swą konsystencję od zwykłej, uzyskanej farbą drukarską, aż po tę zagadkową, tajemniczą, niemal „piekielną” w swej głębi. Przypominałem to patrząc na fotogram Zycha. Dlaczego? Bo autor opanował jakiś niedostępny dla innych sposób operowania walorem. Niektóre liście drzew „ponad śnieg bielsze się stały”, a cienie nabrały głębi, z którą zetknąłem się jedynie raz w życiu, zaglądając owej pamiętnej majowej nocy 1973 r. do wnętrza grobu króla Kazimierza Jagiellończyka.

– Janie! Jak ty to robisz? Twoje drzewa świecą na tle białych obłoków. Odpowiedział zwyczajnie – Wykorzystałem podczerwień, a liście przecie promieniają.

I to jest też jedna z cech twórczości znakomitego artysty. Ciągłe poszukiwania, doskonalenie swego warsztatu. Stałe osiągnięcia i niezmienna skromność.

Gdy wyjeżdżał na krańce świata szukać kontaktu z Matką Przyrodą nieskalaną cywilizacją techniczną, to jakby wypełniał posłannictwo Światowej Organizacji Zdrowia. W jednym z jej raportów czytamy /.../ „Przy zagrożonej ludzkiej psychosferze, krajobraz nietknięty działalnością i brutalnością człowieka staje się stymulatorem zdrowia psychicznego”. Zych był w USA – w Arizonie, Nowym Meksyku, Utah i Colorado, by szukać nie nowoczesności, lecz powabów Matki Przyrody. Widoków, od których mieszkańiec Europy już odwykł. Zafascynowały one artystę, jak sam pisze: „skalą czerwieni i barwami od ciemnej czerwieni do głębokiego błękitu”. Zafascynowały skalą, czasem nieskalaną ciszą, kiedy indziej odwieczną pieśnią wodospadów i oceanów.

Kiedyś oglądałem fotografie Krakowa wykonane przez Jana. Wawel i jego budowle zostały uwiecznione przez różnych artystów tysiącokrotnie. Teraz zobaczyłem znane mi zabytki zupełnie inaczej. Znowu wspomnienia osobiste. Jestem w Toledo w domu El Greca. To z tego okna malował on swe miasto podczas burzy. Coś dławi mi gardło i gnie kolana. Mistrzu Domenico! Tyle razy podziwiałem Twe dzieła, a teraz stoję w miejscu, gdzie powstawały. Janie! Pytam: – Jak uzyskałeś to tajemnicze oświetlenie wieży zegarowej i baszty złodziejskiej? Kiedy podpatrzyłeś tę poezję nieba i chmur niosących grozę? Zych spojrzał jakby speszony szepnąwszy: „Bóg pozwolił to utrwalić”.

Zastanawiająca jest wszechstronność artysty, który w równej mierze potrafi wczuć się w skalę i nastrój pejzażu, wydobyć najgłębszą istotę dzieła architektonicznego, jego sylwetę, bryły, detalu. Równocześnie jest perfekcjonistą w portrecie i scenach rodzajowych, bo tak trzeba nazwać niektóre zdjęcia reporterskie. I jeszcze jedna cecha tego artysty. To nie stanowi ani przywary zawodu, ani nabytej rutyny, to cecha charakteru twórcy. Zych jest wszędzie, gdzie coś się dzieje, coś, co on uważa za ważne i godne zarejestrowania dla historii miasta i kraju. Jest od lat związany z Politechniką Krakowską. Można by go nazwać „nadwornym fotografikiem Uczelni”, ale równocześnie jest przyjacielem rektora, dziekanów, wielu generacji profesorów. On stał się po prostu częścią Uczelni. Tak jak po latach został częścią krakowskiego „Przekroju” a nawet – wyznam to skrycie – „moją częścią”. I dlatego



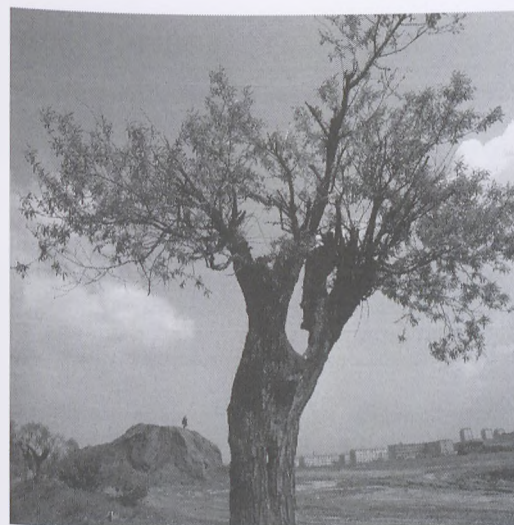
postanowiłem opracować monografię Jego pracowitego i – co ma w sztuce znaczenie – bezinteresownego życia.

Podziwiam człowieka, który posiada archiwum 500.000 negatywów, w tym kilka tysięcy unikalnych. Dotyczą one zmarłych już osób, zabytków i fragmentów krajobrazowych. Jan Zych jest wielkim polskim artystą, członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików, AFIAP, honorowym członkiem Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego oraz Austriackiego Towarzystwa Fotograficznego. A więc zataczamy kręgi ogólnoświatowe. Bo też gdzie Zych nie wystawiał i jakich nagród nie zbierał. Australia, Japonia, Brazylia, Indie, Singapur, Nowa Zelandia itd. Raczej napisać wypada, gdzie swych dzieł nie wystawiał i nie zbierał laurów.

Dla mnie każda rozmowa z Janem jest osobliwą przyjemnością. Znowu odwołam się do doznań subiektywnych. Gdyby za czasów Cennino Cenniniego znana była sztuka fotografowania, dopisałby on na pewno do swej książki „Rzecz o malarstwie” parę rozdziałów.

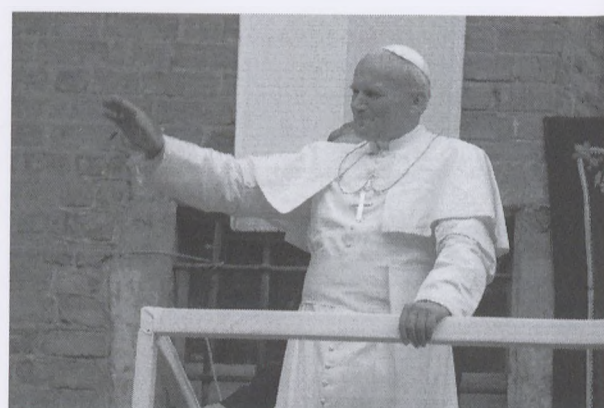
A zaczął by może tak: „...Ustaw tedy swoją kamerę w miejscu najdogodniejszym, przemyśl co chcesz uwiecznić i czekaj sposobnej chwili...”. Tak mi Zych zaczynał kiedyś tłumaczyć tajniki swego warsztatu. W jego przypadku jednak nie idzie jedynie o sfotografowanie tego, co chce uwiecznić. On pracuje w swym laboratorium. To tam rodzą się owe niepowtarzalne flautolety i tremola jego obrazów, barwnych i czarno-białych ujawniających wirtuozerię tej miary, że z widzem pozostaje tylko sztuka, a artysta skromnie staje z boku. Mógłby Zych z posiadanych materiałów wydać niejeden album. Mógłby stać się bardzo bogatym i sławnym. On te dwa przymiotniki zamienił na inne: skromny i pracowity. W tym też dopatruje się niepowtarzalnych cech Jego osobowości.

Prof. Wiktor Zin Kraków, czerwiec 2001 r.





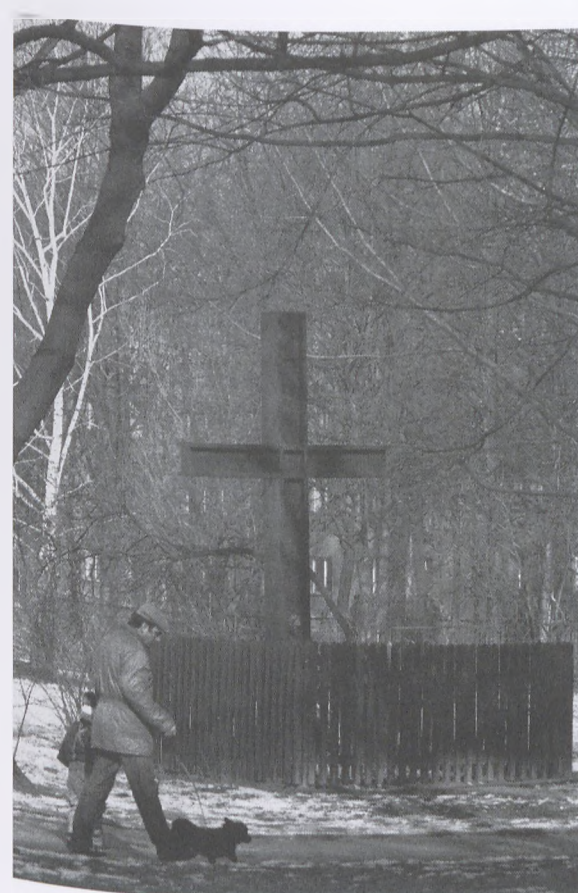
Wizyta Jana Pawła II w Mogile, 9 czerwca 1979 r.



Demontaż pomnika Lenina w Nowej Hucie, grudzień 1989 r.



Lech Wałęsa w Nowej Hucie, 1990 r.



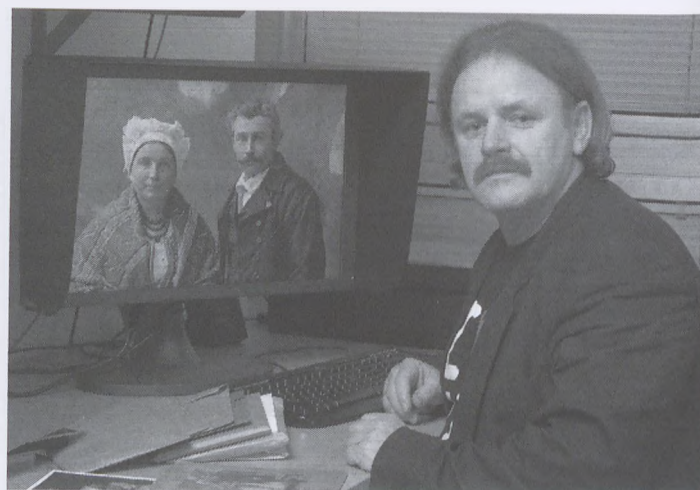
Nowohucki krzyż, os. Teatralne, lata 90. XX w.



Pomnik Solidarności na terenie HTS, lata 90. XX w.

Jestem stąd

Adam Gryczyński – ur. w 1957 r. w Krakowie, absolwent VIII L.O. im. Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie, ukończył w 1981 r. pedagogikę i wyższy kurs fotograficzny II st. na Uniwersytecie Jagiellońskim. W latach 1981-83 pracował jako przewodnik miejski w Pałacu Młodzieży im. H. Jordana w Krakowie i oprowadził po tym mieście ponad 3.000 dzieci i młodzieży. Fotografiją zajmuje się od 1976 roku, kiedy wstąpił do Krakowskiego Klubu Fotograficznego (wówczas: Klubu Fotografików Amatorów przy ZDK Huty im. Lenina) prowadzonego przez Witolda Michalika, a od 1983 roku jest szefem działu fotograficzno-filmowego w Nowohuckim Centrum Kultury. W Foto-Galerii NCK i poza nią zorganizował około 300 wystaw, w których łącznie brało udział ponad 500 autorów. Miał ponad 100 własnych wystaw indywidualnych pokazywanych w Polsce i za granicą: w USA, Niemczech, Brazylii, Rosji, Norwegii, Chorwacji, Słowacji, we Włoszech, na Litwie i Węgrzech. Brał udział w przeszło 200 wystawach zbiorowych i ok. 50 plenerach fotograficznych, z których wiele zorganizował w Krakowie, Nowej Hucie, Tatrach i Pieninach. Jest autorem wielokrotnie nagradzanych filmów dokumentalnych zrealizowanych w latach 80. w Amatorskim Klubie Filmowym „Nowa Huta”, a prezentowanych na ogólnopolskich i międzynarodowych festiwalach filmowych i w telewizji: „Remuh”, „Exodus”, „Apaga Satanas!”, „Nostalgia tatrzańska”. Jest także autorem kilkudziesięciu artykułów prasowych oraz wstępów do katalogów wystaw. Współpracuje ze stowarzyszeniami i ośrodkami wystawienniczymi w kraju i za granicą. Jego zdjęcia znajdują się w Almanachu Fotograficznym „Mistrzowie polskiego pejzażu” oraz albumach: „Aniołów krakowskich pieśń dla Jana Pawła II” (wydanym przez założone przez Jana Oberbeka Stowarzyszenie Sacro-Art do którego należy), „Nowa Huta – najmłodsza siostra Krakowa”, a ponadto w setkach innych publikacji: książek, czasopism, kalendarzy, katalogów i wydawnictw reklamowych. W obszarze szczególnych zainteresowań Gryczyńskiego znajduje się człowiek, krajobraz, ginąca architektura oraz fotografia kreacyjna (w tym również opracowania komputerowe) ukazująca poprzez metaforę fenomeny i zagrożenia współczesnej egzystencji.



Jego fotograficzna osobowość kształtowała się pod wpływem wielu znakomitych twórców: Witolda Michalika, Czesława Odo Mostowskiego, Pawła Pierscińskiego, Roberta Kosieradzkiego i Jerzego Ridana.

Głębsze zainteresowanie historią fotografii zawdzięcza natomiast Władysławowi Klimczakowi – wieloletniemu prezesowi Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego i dyrektorowi Muzeum Historii Fotografii KTF z którym wspólnie organizował kilka wystaw o tematyce patriotycznej; wileńskiej i lwowskiej, przybliżając jednocześnie społeczeństwu luminarzy polskiej fotografii: Jana Bułhaka czy Romana Wesołowskiego. Dawniej chętnie uprawiał technikę tradycyjną oraz wykonywał tzw. „sandwicze” pozwalające otrzymywać obrazy pozytywowe z połączonych ze sobą i jednocześnie skopiowanych pod powiększalnikiem negatywów czarno-białych i kolorowych. Obecnie najczęściej czasu spędza przy skanerze i komputerze opracowując archiwalne fotografie pozyskiwane w ramach akcji ogłoszonej w styczniu 2006 r. pn. „Czas Zatrzymany”, której celem jest utrwalenie w postaci cyfrowej zdjęć od schyłku XIX w. do lat 50. ubiegłego wieku, a pochodzących z terenów na których powstały później kombinat i miasto Nowa Huta.

Za swe szczególne osiągnięcia uważa zorganizowanie w Foto-Galerii Nowohuckiego Centrum Kultury kilkunastu wystaw o tematyce nowohuckiej oraz kilka edycji wystaw „Czas Zatrzymany” w 2006 i 2007 r., które w sumie obejrzało ponad 30.000 osób. Ponadto satysfakcję przyniosło mu zrobienie wystaw: Jana Bułhaka – „Wilno”, Romana Wesołowskiego – „Lwów, Kraków, Nowa Huta”, Walerego Eljasza Radzikowskiego – „Tatry” oraz latem 2007 r. wielkiej plenerowej ekspozycji „Nowa Huta – najmłodsza siostra Krakowa”, którą obejrzało kilkadziesiąt tysięcy widzów.

Adam Gryczyński jest członkiem: Związku Polskich Artystów Fotografików, leg. Nr. 842 (Okręg Świętokrzyski), Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (Asocjacja Malarzy), Fotoklubu Rzeczypospolitej – Stowarzyszenia Twórców, Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego, Krakowskiego Klubu Fotograficznego przy NCK, Fotoklubu „Galeria” przy MCK w Ostrowcu Świętokrzyskim i Stowarzyszenia „Sacro-Art”. W 2005 r. otrzymał na wniosek Fotoklubu RP odznakę: „Zasłużony Działacz Kultury”.

Początkowo, do 1967 r. mieszkał w Rynku Głównym w Krakowie, potem na Dąbiu, a od 1990 r. mieszka wraz z rodziną w Nowej Hucie na os. Piastów. Ma żonę Aleksandrę – pedagoga i bibliotekoznawcę po UJ, córkę Ewelinę, która ukończyła stosunki międzynarodowe również na UJ, a obecnie mieszka i pracuje w Warszawie oraz syna Kamila w wieku szkolnym, którego pasją są czasopisma, książki i komputer. Z Nową Hutą jest związany od dawna, najpierw poprzez kontakty rodzinne, a potem członkostwo w Klubie Fotograficznym ZDK HiL (od 1976 r.), i pracę w Nowohuckim Centrum Kultury (od czerwca 1983 r.).

Pierwsze wspomnienie związane z Nową Hutą?

Jest dosyć odległe, sięga bowiem samego początku lat 60., kiedy to przyjeżdżał ze swą babcią Apolonią lub rodzicami z Rynku Głównego w Krakowie do swojej cioci na os. Szklane Domy. Pamięta z tamtych czasów udział w odpustach w Mogile, zabawy w Indian na placu przed „szwedzkim blokiem”, w chowanego, wojnę, latem kąpiel w zalewie nowohuckiej, a zimą zjeżdżanie na sankach ze skarpy przy Placu Centralnym oraz wizyty w Wesołym Miasteczku, które często tam właśnie rozkładano, a także windę otwieraną kluczykiem i zamykaną na podwójne drzwi. Pamięta jeszcze las anten telewizyjnych gęsto pokrywających nowohuckie dachy.

Magiczne miejsca w Nowej Hucie?

Jest ich bardzo wiele. Oczywiście Kopiec Wandy (to poza wszelką dyskusją), opactwo O.O. Cystersów i kościółek św. Bartłomieja w Mogile, kościół w Raciborowicach fundowany przez Jana Długosza, Arka Pana, cmentarz w Mogile, cmentarz i kopiec ariański w Łuczanowicach, zespół dworski w Branicach, okolice dworu i stawu w Bieńczykach (ale bez blaszanych garaży, które dramatycznie szpecą piękny krajobraz jaki się wokół roztacza), gdzie przed wojną najchętniej spotykała się tutejsza młodzież, a potwierdził to artysta-krawiec pochodzący z Bieńczy, pan Józef Turbasa, więc „coś” w tym absolutnie jest! Dalej: dworek i park nad Dłubnią w Krzesławicach, Łąki Nowohuckie (niestety budowle, które ostatnio nieopodal nich powstały od strony zachodniej wołają o pomstę do nieba!), forty austriackie, najstarsze osiedle Nowej Huty, czyli os. Wandy. Całkiem niedawno takie magiczne miejsce Gryczyński odkrył też w „starych” Bieńczykach pod dorodnym orzechem, w pięknej ogrodowej altance, gdzie poznał uroczego starszego pana – Władysława Bochenka, który pochylony nad rodzinnymi dokumentami i albumami fotograficznymi barwnie opowiadał o przeszłości tej wsi i wspaniałych ludziach, którzy żyli tu przed nim. Takich miejsc i ludzi jest jeszcze znacznie więcej. Ma nadzieję, że będzie mógł to wszystko pokazać w kolejnych edycjach książki „Czas zatrzymany” – oczywiście jeżeli znajdą się sponsorzy tego autorskiego projektu, na co bardzo liczy, ufając w mądrość i hojność ludzi mogących pomóc mu w tym dziele dla dobra ogółu.

Nowa Huta nie byłaby sobą bez...

znamiennych słów Jana Pawła II jakie wypowiedział 9 czerwca 1979 roku podczas homilii w czasie Mszy św. odprawionej przed opactwem OO. Cystersów w Mogile: „Kiedy w pobliżu Krakowa powstawała Nowa Huta – olbrzymi kombinat przemysłowy – oraz nowe wielkie miasto: nowy Kraków – może nie uświadamiano sobie, że powstaje ono przy tym Krzyżu. Przy tej relikwii, którą wraz z prastarym opactwem cysterskim odziedziczyliśmy po czasach piastowskich.”

Ale Nowa Huta nie byłaby też sobą bez całej plejady znakomitych fotografów, którzy utrwalali jej oblicze w minionych dekadach: Stanisława Senissona, Henryka Hermanowicza, Romana Wesołowskiego, Witolda Michalika, Czesława Odo Mostowskiego, Roberta Kosieradzkiego, Wiktora Pentala, Adama Bujaka, Stanisława Markowskiego, Jana Zycha i wielu, wielu innych, których twórczość od samego początku swego istnienia (1955 r.) popularyzował Klub Fotografików Amatorów przy ZDK HiL, a potem Nowohuckie Centrum Kultury. Dzięki tym twórcom mogliśmy prześledzić proces wielkiej budowy od wbicia pierwszych łopat aż po współczesność, unaocznic ogrom tego procesu oraz uświadomić tzw. „ciągłość” oraz rolę człowieka w nowej rzeczywistości, jaka powstała w miejsce dawnego dziedzictwa.

Najbardziej absurdalny mit o Nowej Hucie?

Mit o tym, że Nowa Huta powstała na lichej ziemi, piaskach i ugorach. Mit o galicyjskiej biedzie, słomie wystającej z butów i straszliwym zacofaniu mieszkańców tutejszych wsi i nędzy panującej w miejscach, na których zbudowano Nową Hutę. To była złowroga i bałamutna propaganda uprawiana niemal przez pół wieku przez komunistów, i niestety do dziś niekiedy powtarzana na skutek długotrwałej indoktrynacji jakiej poddawane było społeczeństwo. Rachunek krzywd nigdy nie został wyrównany. Ludzi, którym odebrano ziemię płacąc im

za ojcowizny jak za garnitur czy zegarek na rękę skrzywdzono nieprawdopodobnie. Było wiele przypadków tragedii: samobójstw przez powieszenie, rzucanie się po maszyny, przedwczesnej śmierci, osiwienia ze zgryzoty w ciągu jednego dnia, uwięzienia w celi po kolana z wodą, bicia i hańby. Starano się bardzo przetrząść tym ludziom kręgosłup moralny, po to, by ich wiara w Boga, patriotyzm, tradycja narodowa i ludowa nie stanowiły więcej zapory dla systemu. Dziś, gdy Nowa Huta stała się „trendy”, trzeba tej kwestii przywrócić odpowiednie proporcje i ukazać właściwą perspektywę dziejową – bez fałszu, ale i bez koloryzowania. Pokazać zwierciadło lat minionych, czyli archiwalne fotografie z wiarygodnymi opisami i relacjami rodzinnymi. Temu ma służyć wieloletni projekt „Nowa Huta – Czas Zatrzymany”, który (pod patronatem Rady Miasta Krakowa i NCK) realizuje wraz z wieloma ludźmi oddanymi sprawie. Adam Gryczyński projekt „Czas zatrzymany” wymyślił i opublikował w styczniu 2006 r., ale jego pomysł dojrzewał przez wiele lat. Zdeteterminowało go „uczulenie” na historię i wartości kultury, które wszczepili mu w latach 70-tych podczas studiów pedagogicznych na wydziale filozoficzno-historycznym UJ prof. Kamila Mrozowska i prof. Tadeusz Gołaszewski (twórca unikatowej „Kroniki Nowej Huty”), oraz dr Czesław Rzońca. Motywów zaś dostarczyła obserwacja toczącego się życia, jak i sami ludzie, a zwłaszcza to pokolenie, które właśnie przemija. W sukurs przyszła cyfrowa technologia zapisu i obróbki obrazu, bez której w ogóle nie wyobraża sobie tej akcji. Teraz, gdy po wielu miesiącach ciężkiej pracy obdarzono go społecznym zaufaniem, otrzymuje archiwalne zdjęcia, pamiątki, relacje, wspomnienia i dokumenty pochodzące głównie od mieszkańców „starych” wsi: Mogiły, Bieńczy, Czyżyn, Pleszowa i in., również takie, o których do niedawna nikt (poza wąskim kręgiem rodzinnym) nawet nie wiedział, że przetrwały kataklizmy dziejowe i w ogóle istnieją. Adam Gryczyński dotarł w ten sposób do wielu fascynujących dokumentów, które raz na zawsze obalają ten piekielny mit.

Związki z Nową Hutą dziś?

Są bardzo ścisłe i ważne. To jego miejsce zamieszkania, pracy w Nowohuckim Centrum Kultury, a także wypoczynku (jest takie cudowne miejsce ciągnące się od Zalewu w Zesławicach wzdłuż Dłubni, aż po Michałowice, gdzie odreagowuje w wolnych chwilach natarczywe szumy i zachłanność tego świata) oraz pasja, której się oddaje pracując ostatnio przez wiele godzin na dobę w ramach projektu „Czas Zatrzymany”. Dzięki niemu poznaje wielu wspaniałych ludzi, a z niektórymi się zaprzyjaźnia i bardzo sobie to ceni, ma cichą nadzieję że z wzajemnością.

Za 30 lat widzi Nową Hutę jako...

Miejsce w miarę normalne, a w każdym razie takie, gdzie jesienią i wiosną nie będzie się paliło badyli w przydomowych ogródkach i na działkach tuż przed blokiem, używając przy tym argumentu, że... „huta bardziej kopci!”. Oczywiście o ile do tego czasu ludzkość nie wyleci z atomowym hukiem z niebezpiecznego wiru na jakim się znalazła.

Ankieta Nowohucka pierwotnie ukazała się w „Lodołamaczu” w 2007 r.



Branice

Zdjęcia z lotu ptaka, maj 1999 r., fot. Adam Gryczyński



Hałda w Pleszowie



Kombinat od strony Pleszowa



Pleszów (w prawym górnym rogu pałac Kirchmayerów, poniżej kościół i dawna szkoła)



Kombinat od strony Luboczy



Nowohucki Zalew od strony Krzesławic



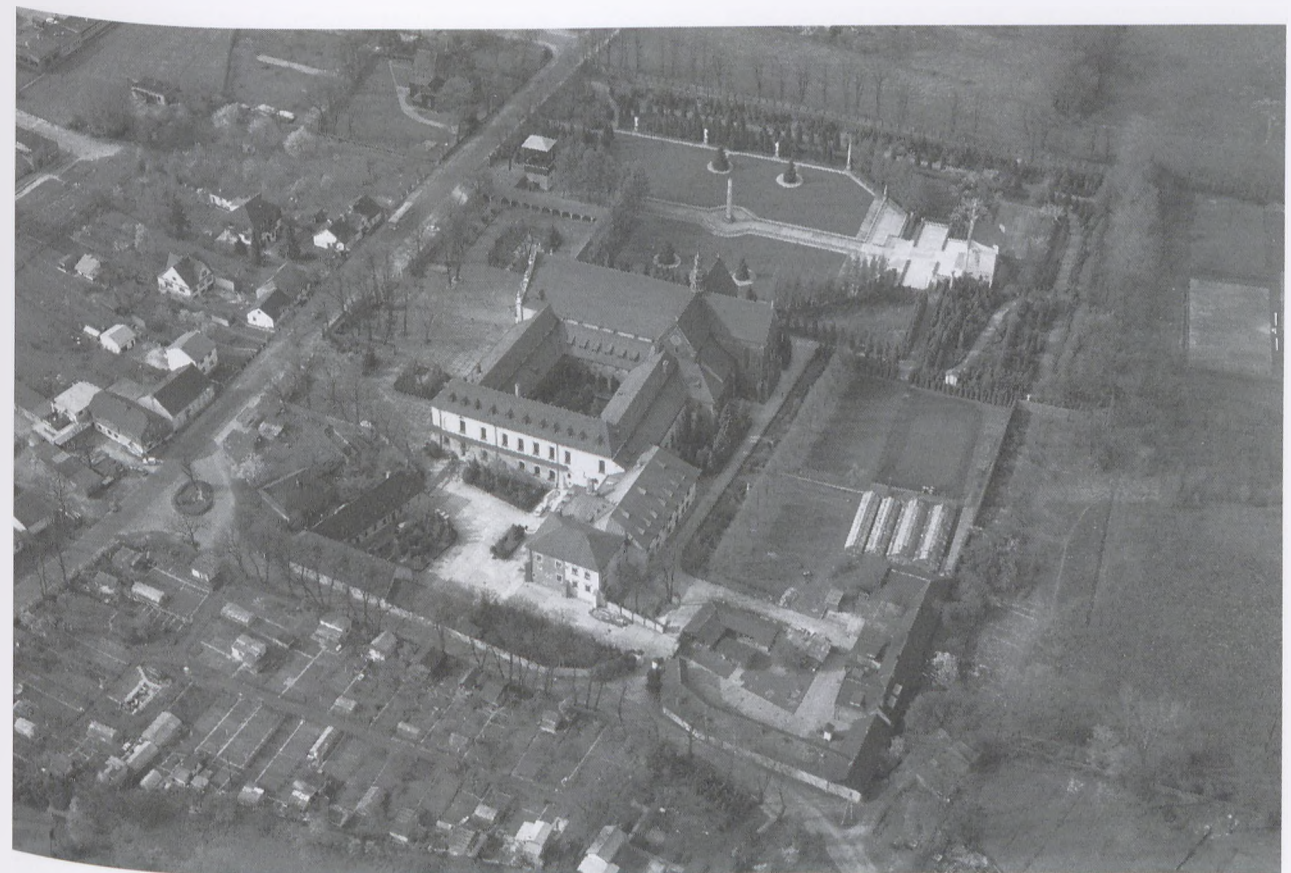
Mogiła, widok od południa



Mogiła, widok od północy



Nowa Huta, os. Młodości (Mogiła), u dołu kościół Św. Bartłomieja z XV w.



Mogiła, Opactwo OO. Cystersów z XIII w.



Widok od południowego zachodu na Plac Centralny i Al. Solidarności. Po prawej u dołu Nowohuckie Centrum Kultury



Nowa Huta, os. Szklane Domy i os. Szkolne, kościół pw. Matki Boskiej Częstochowskiej

Nowa Huta – kamienie węgielne

Jednym z pierwszych przejawów odwilży politycznej w Polsce po śmierci Stalina w marcu 1953 r. było opublikowanie w „Nowej Kulturze” (21 VIII 1955 r.) utworu Adama Ważyka „Poemat dla dorosłych”. Publikacja utworu stała się sensacją i wywołała krytykę władz partyjnych. 23 września 1955 r. w Pałacu Staszica w Warszawie podczas zjazdu aktywu partyjnego w którym uczestniczyli szarlatani tamtej epoki: Jakub Berman, Edward Ochab i Jerzy Morawski uznano utwór Ważyka za: „antypartyjny, szkodliwy, (...) obrażający uczucia klasy robotniczej i całego narodu”. Warto przypomnieć, że przyczyną tego oburzenia środowisk komunistycznych był fragment poematu, który odnosił się do budowy Nowej Huty.

Pod koniec 1946 r. Stalin wezwał do siebie Bieruta w sprawie budowy nowego kombinatu metalurgicznego w Polsce. Do członków delegacji polskiej należał również Kiejstut Żemajtis, ówczesny minister hutnictwa. Jeden ze świadków spotkania Bieruta ze Stalinem wspomina, że kiedy Stalin żegnając polską delegację trzymał dłoń Bieruta spytał się go, czy wie że budowa wielkiej huty będzie ogromnym obciążeniem dla narodu polskiego. Bierut przytaknął, ale Stalin wówczas odwrócił się do swoich doradców i powiedział: „On nie poniał”. Bierut jednak zrozumiał powagę sytuacji. Budowa huty była dla Bieruta zobowiązaniem nałożonym przez Stalina, którego musiał za wszelką cenę wypełnić. Miał powstać gigantyczny kombinat z własną koksownią, fabryką materiałów ogniotrwałych, wytwórnią maszyn i części zamiennych. Polscy specjaliści proponowali, aby ograniczyć pojemność pieców do 560 m³ według projektu prof. Krotkowskiego i brali za wzór piece Huty Kościuszkowskiej z końca lat 30-tych. Poza tym obawiano się, że nikt w Polsce nie będzie w stanie zarządzać tak wielkim kombinatem. Podczas II Wojny Światowej Polska poniosła ogromne straty ludzkie i materialne. Szczególnie odczuwalny był brak specjalistów z wielu gałęzi przemysłu. Dla wielu polskich specjalistów koncepcja budowy huty o wielkości dotąd niespotykanej w warunkach polskich wydawała się wówczas pomysłem irracjonalnym.

W 1947 r. w Biprohucie, biurze projektów hutnictwa w Zabrzu utworzono przy Centralnym Zarządzie Przemysłu Hutniczego, Komisję Budowy Nowej Huty, która miała ustalić lokalizację przyszłej inwestycji.

Opracowano specjalne ankiety z odpowiedziami za i przeciw lokalizacji huty w danym rejonie. Równolegle poszukiwania pod lokalizację inwestycji prowadzili Rosjanie. Powstało kilka projektów lokalizacji huty. Teren między Gliwicami a Pyskowicami na Śląsku odpadł, ponieważ jeszcze wówczas obawiano się, że Śląsk może wrócić do Niemiec. Proponowano lokalizację na Pomorzu, gdyż zamierzano oprzeć produkcję hutniczą na rudzie szwedzkiej. Ostatecznie wybrano rudę z ZSRR, dlatego szukano terenu położonego bliżej źródeł tego surowca, a jednocześnie nieodległego od Śląska ze względu na surowce energetyczne.

3 lutego 1949 r. dyrektor techniczny Jan Anioł i generalny projektant huty inż. Zybin weszli na kopiec Wandy i krótki przegląd otaczających kopiec pól uprawnych Mogiły oraz sąsiednich wiosek dał im gotową odpowiedź.

24 lutego 1949 r. minister przemysłu Hilary Minc zatwierdził lokalizację huty w rejonie wiosek Mogiła i Pleśzów. O wyborze tego miejsca zdecydowało położenie względem rud ukraińskich i źródeł energii na Śląsku, nośność gruntu oraz rezerwuariaty siły roboczej w przeludnionych okolicznych wioskach. Ponadto był jeszcze inny powód wyboru tej lokalizacji. Kraków uważany przez ówczesne władze jako ośrodek inteligencji i poglądów prawicowych miał być otoczony pierścieniem socjalistycznego budownictwa i Nowa Huta pełniłaby funkcję ognia w tym pierścieniu. Ważną rolę powierzono w tym planie osiedlu Grzegórzki, które już przed wojną były przemysłowym ośrodkiem miasta o silnych wpływach lewicowych. Grzegórzki miały być pomostem między Nową Hutą a Krakowem.

W 1950 r. pisano: „nie wolno zapominać, że Grzegórzki są zamieszkałe przede wszystkim przez pracowników Nowej Huty i stanowią jakby łącznik między starym, uniwersyteckim Krakowem a powstającym socjalistycznym miastem – Nową Hutą”.

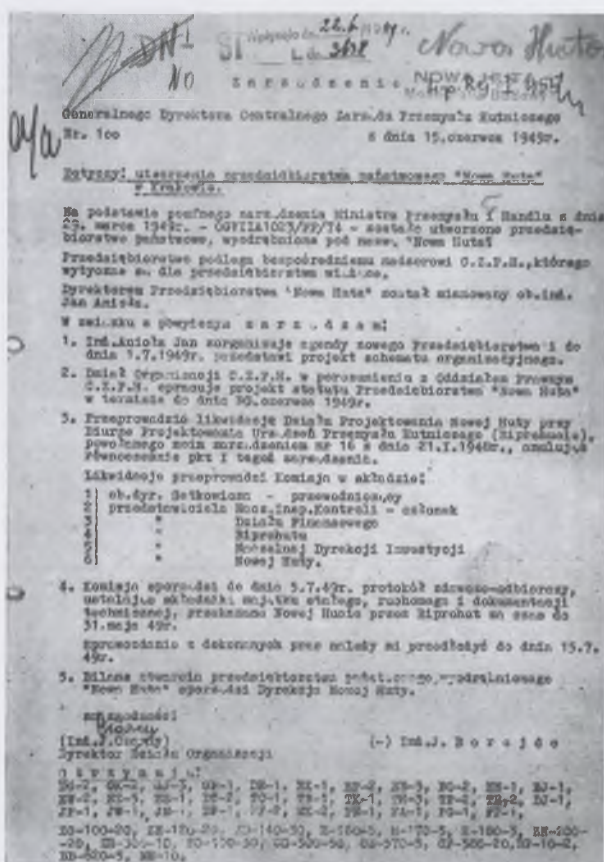
W styczniu 1948 zawarto umowę z ZSRR, który zobowiązał się dostarczyć materiały oraz specjalistów do budowy huty.

Powołano Państwowe Przedsiębiorstwo Wyodrębnione „Nowa Huta”, z zadaniem nadzorowania inwestycji. Początkowo PPW „Nowa Huta” zlecała wykonanie poszczególnych prac różnym firmom. I tak wykonanie prac badawczych dla ustalenia warstw wodonośnych zlecono Zjednoczeniu Przedsiębiorstw Wiertniczo-Górnictw w Sosnowcu; wykonanie drogi łączącej Mogiłę z Krakowem powierzono Krakowskiemu Przedsiębiorstwu Robot Kolejowych nr 2, a do budowy osiedla miejskiego Nowa Huta powołano Społeczne Przedsiębiorstwo Budowlane, Państwowe Przedsiębiorstwo Budowlane nr 10, Hydrotest nr 18, Przedsiębiorstwo Instalacji Sanitarnych i Elektrycznych oraz Gazobudowę. Główny punkt dowodzenia, magazyny i warsztaty służące do budowy

kombinatu umieszczono na tak zwanym Głównym Placu Budowy na terenie przyszłego kombinatu, a jego zabudowę powierzono przedsiębiorstwu Beton-Stal – Oddział VI Inżynieryjny w Krakowie. Pierwsze prace na tym placu rozpoczęto 26IV 1950 r. pod kierunkiem mgr inż. Tadeusza Zerebeckiego.

1 VIII 1950 r. do budowy kombinatu powołano „Zjednoczenie Budowy Nowej Huty”, które 23 lata później przyjmie nazwę: Zjednoczenie Budownictwa Przemysłu Ciężkiego „BUDOSTAL”.

Oprac. Krzysztof Rosolek



Zarządzenie dotyczące utworzenia Przedsiębiorstwa Państwowego „Nowa Huta” z dnia 15 czerwca 1949 r. Archiwum „Biprostalu”



Wbieganie pierwszych łopat na budowie Nowej Huty, 22 czerwca 1949 r. Archiwum „Głosu – Tygodnika Nowohuckiego”



Z prawej inż. Jan Aniela, dyrektor kombinatu HIL na placu budowy, 1952 r.



W Mogile, 1949 r. fot. Stanisław Senisson

W zwykłej rudzie życia

Jakkolwiek nie jestem hutnikiem ani kwalifikowanym robotnikiem, to jednak należę do grupy osób, które w czasie kładzenia fundamentów pod Nową Hutę spełniały bardzo ważną i trudną rolę. Wprawdzie zaczynałam jako fizyczna pracownica przy podawaniu cegieł na taśmę przy budowie pierwszych bloków to następnie, po odbyciu odpowiedniego kursu, awansowałam na pracownika kulturalno-oświatowego. Naszym przyszłym zadaniem miało być – wielkie rzesze ludności wiejskiej, z ich typową mentalnością zmienić w karne, zdyscyplinowane szeregi robotnicze, mające wybudować Nową Hutę. Tak więc odstaliśmy materiał „surowy”, obciążony nieufnością do wszystkiego co nowe, niesłuchanie przywiązany do ziemi i form życia tak bardzo różniących się od tych, jakie myślimy mieli narzucać. Drugą, poważną trudnością było to, że większość pochodziła ze wsi, które ogarnęły plany przyszłej budowy Nowej Huty. Tak więc oni sami, którzy tak niedawno potrafili się całymi latami „prawować” z sąsiadem o każdy skrawek ziemi lub miedzę, musieli teraz patrzeć, jak burzą ich chaty, wycinają sady, jak olbrzymie koparki, podobne do legendarnych potworów, przekopują rolę, niszcząc urodzajną warstwę i sięgając aż do podglebia. Po dawnych epokach archeolodzy znajdują po wielu wiekach ślady życia, chociażby w postaci skorup naczyń, kości, zagubionych kobiecych koralików, kamiennych narzędzi lub resztek zwęglonych belek z ogniska. Po nich nie zostanie nawet to. Zatrą się nawet w pamięci przyszłych pokoleń ich legendy, dzieje, przekazywane z ust do ust pieśni i zwyczaje, zbutwieją nie używane od dawna gorsety i sukmany, porabane skrzynie krakowskie i wyrzucone obrazy-prymitywy kupowane na odpustach od nieistniejących już koldrynariarzy.

Odnosiło się wrażenie, że wrzucono nas do ogromnego „kotła wydarzeń”, w którym wszystko wre i kipi. Wszystko, co stanowiło dotychczas nasze zasady, nawyki i przyzwyczajenia, a nawet cnoty i wady, jakby zostało unicestwione i przetasowane. Płynęło się z falą wydarzeń i to było wszystko. Jak już wspomniałam pracowałam początkowo jako fizyczna. We wspomnieniach widzę dziś samą siebie zabłąkaną wśród tego mnóstwa cegieł, dołów, rowów i maszyn. Nie mieściło nam się w głowie, że z tego wyrośnie takie miasto, jak nas zapewniano na licznych zebraniach, bo w tym czasie była moda na przeróżne masówki, odprawy, wiece, które w rezultacie niewiele dawały a pochłaniały mnóstwo czasu. Może był w tym zresztą pewien cel. Wielogodzinna praca, obowiązkowa operatywa a nawet powieszony nad głową megafon transmitujący długie przemówienia lub pieśni masowe nie pozwalały myśleć ani zastanawiać się nad sobą – tylko pracować i pracować. Później zatrudniona już byłam jako instruktor kulturalno – oświatowy. Pierwsze świetlice w barakach świeciły pustkami i ludzi po pracy ciągnęło się tu prawie siłą lub podstępem ogłaszając wypłatę zarobków po zebraniu. W dodatku mało który z prelegentów umiał zainteresować a jeszcze rzadziej porwać, chociaż byli i tacy, na przykład Adam Polewka. Pamiętam, że wtedy nawet najbardziej oporni i zmęczeni zamieniali się w słuch. Często jednak chodziło tylko o zainkasowanie należności za wygłoszony odczyt. Wiele błędów popełnialiśmy i my sami, czemu zresztą trudno się dziwić. Spodziewano się, że świetlice będą jakimś uniwersalnym miejscem wychowującym i dostarczającym przeżyć i wrażeń oraz uzupełniającym wolny czas. Poza tym mieliśmy tym ludziom pochodzącym z różnych środowisk tłumaczyć i wciągać ich w zbiorowy wysiłek, uczynić z nich zwartą, jednolitą masę.

Mógłby ktoś zapytać, skąd tak nagle nie przygotowana „wskoczyłam” w te obce mi dotychczas zagadnienia. Przyczyn było kilka. Po pierwsze – pochodziłam z terenów wysiedlonych pod Nową Hutę i to zmusiło mnie do podjęcia pracy. Po drugie – tkwiło we mnie powołanie do pracy społecznej. Moje nowe zajęcie, jakkolwiek trudne, wydawało mi się niesłuchanie interesujące. Poza tym zdawałam sobie sprawę, że stanęłam na zakręcie historii i jestem świadkiem narodzin nowej epoki. To wszystko skłoniło mnie do zapisania się na kurs oświatowy, a potem na wyrażenie zgody na wysłanie mnie do ośrodka szkoleniowego do Otwocka. Przyszłych kierowników świetlic dla Nowej Huty kształcono forsownie. Już pierwszego wieczoru po przyjeździe, śpiąc i zmęczoną, postawiono mnie na zaimprovizowanej estradzie i kazano odegrać krótką scenkę własnego pomysłu (na wypadek, gdyby np. nie przyszedł prelegent, a ludzi trzeba tymczasem czymś zająć). Istotnie odegrałam coś w rodzaju skeczu z dwoma przygodnymi kolegami, będąc jednocześnie autorem, aktorem, reżyserem, suflerem i scenografem. Widocznie w myśl przysłowia „na bezrybiu i rak ryba” jakoś moich egzaminatorów zadowolili, bo nawet otrzymałam niezłą ocenę. Pamiętam, że miały tam miejsce różne zabawne sytuacje, które może nawet powinno się uwiecznić dla zobrazowania klimatu czasów. Jakiś bardzo onieśmielony kandydat stracił przed egzaminem kompletnie odwagę i stał jak kołek na scenie, nie wiedząc absolutnie co zrobić z rękoma, nogami a przede wszystkim językiem w ustach. Dopiero gdy kierownik naszej grupy w sposób niesłuchanie łagodny i przekonywający wytłumaczył mu, aby zechciał zainscenizować jakąkolwiek scenę wziętą z własnego życia i przemówił zupełnie swobodnym językiem, jakiego używa na co dzień – zgodził się. Ten młody człowiek

postanowił sięgnąć do swoich wojennych przeżyć. Okazało się, że był to naprawdę bohaterski chłopiec z lasu. Ułożył na podłodze kilka książek, mających imitować polana przy ognisku, rozłożył swój własny płaszcz, wyciągnął się na nim i z tej pozycji zaczął snuć leśne wspomnienia, będące całą treścią jego młodego życia. Niestety, monolog ten był przeplatany tak niecenzuralnymi słowami, przeważnie pod adresem wroga, że cała komisja egzaminacyjna jak jeden mąż, złapała się za głowę i przerwała tę scenę, jako zbyt realistyczną.

Cel i zadania jakie stawiano przed nami pociągały i porywały, ale jakże daleka i żmudna była droga do zrealizowania ich na terenie przyszłej Nowej Huty. Czekaliśmy na nas zimne baraki, obojętni, spracowani ludzie, którzy absolutnie i zdecydowanie nie chcieli nic wiedzieć o Mickiewiczu czy Puszkynie. Czekaliśmy nas mętne instruktaże, źle opracowane plany i własne zahamowania wrośnięte głęboko w naszą psychikę. Trzeba było walczyć nie tylko z otoczeniem, ale przede wszystkim z samym sobą. Ta nasza powstająca huta, która niby okrutny moloch zabrała naszą ziemię, wymagała jeszcze ofiary z naszych przekonań i serc. My sami, jeszcze wątpliwi i nieprzygotowani, mieliśmy dokonać wielkiej ofensywy kulturalnej i zapoczątkować dzieło przeorania świadomości, jak ów legendarny mnich z Mogiły, o którym opowiadały nasze baśnie – jak to poprowadził pierwszą skibę – „rus” – na nowinach, aby oznaczyć ziemię przydzieloną klasztorowi, aż po dzisiejszą Ruszczę, która stąd otrzymała swą nazwę.

Dawniej, jeszcze przed wojną, gdyby ktoś na naszej wsi dał mi taką władzę i takie środki, byłabym wprost olśniona. Teraz jednak wszystko wydało mi się niesłychanie trudne i zbyt nagłe. Bo i rzeczywistość wiedza w ten sposób skondensowana i podawana trudną była do przełknięcia, przetrawienia i przyswojenia sobie. Nie mieliśmy przeważnie dobrze przygotowanych tematów ani książek, a jeśli – to o wiele za trudne. Stały sobie szeregiem na półce w bibliotece, nietknięte, podczas gdy nieliczne „szmiry” zatłuszczone i podarte krążyły z rąk do rąk. Mieliśmy mówić o sztuce, i literaturze, cytować wiersze Wieszców i Majakowskiego ludziom, którzy do tychczas poznawali sztukę i postacie dramatu w osobach Heroda z szopki, czy diabła z jasełek. Tłumaczyliśmy znaczenie prac Staszica czy Kołłątaja osobnikom marzącym o podwójnej porcji mięsa w stołówce. Mówiliśmy o historii, która patrzy na nich i którą oni wykuwają każdym uderzeniem kilofa czy łopaty. Ciągnęliśmy ich gwałtem na wysoki piedestał bohaterstwa, podczas gdy oni naprawdę byli bohaterami, tylko że my wyobrażaliśmy sobie bohaterstwo jako inaczej, wznioślej, jak w jakiejś szkolnej czytance, a oni byli nimi znacznie prościej i bez żadnego patosu. Oczywiście bronili się jak mogli przeciw tym zbyt mocnym dawkom kultury. Robili to często niezbyt wytwornie, zwłaszcza gdy przeszkadzało im to w grze w karty, picu i innych rozrywkach. I tak zaprowadzili raz jednego młodziutkiego prelegenta do ciasnego, źle oświetlonego pomieszczenia i poinformowali go, że tu ma przemawiać, a stąd jego prelekcja-odczyt będzie transmitowany do wszystkich sal hotelu robotniczego. Chłopiec wygłosił naprawdę piękne przemówienie „o wpływie literatury na kształtowanie psychiki ludzkiej”. Pamiętam nawet jak starannie modulował głos. Dwóch młodych ludzi ze straży pilnowało drzwi, aby nikt nie przeszkodził w prelekcji. Dopiero później okazało się, że komórka ta nie miała nic wspólnego z radiofonizacją, a służyła całkiem innym celom.

A jednak trzeba było tym śmiertelnie zmęczonym ludziom dać najskromniejszy bodaj zastrzyk kultury. Ileż było radości i zadowolenia z udanej imprezy, przyjmowanej huraganem oklasków, żądaniem bisów. Bywały i występy nieudane, gdyż prelegent wygłaszał swe przemówienie wśród grobowej ciszy do publiczności zupełnie nie reagującej lub nawet zasypiającej.

Pewnego razu polecono mi wyszukać w terenie ludzi, którzy już dawniej okazywali zainteresowanie kulturą i czytelnictwem. Wskazano takiego, który podobno zbierał druki i papiery. Mieszkał w dość odległej wsi. Odnalazłam wreszcie ten dom i sprowadziłam z pola mocno opierającego się rolnika, aby przekonać się, że istotnie biedak zbierał różne afisze, zwłaszcza dużego formatu, aby nimi dla zabezpieczenia przed zimnem wylepić ściany swej chaty. Na naczelnym miejscu wisiał stary afisz znanej cukrowni, przedstawiający na błękitnym tle białą kostkę cukru z napisem „cukier krzepi”. Żadnych innych śladów czytelnictwa nie znalazłam i jeszcze długo musiałam rolnika uspokajać, że nie jestem żadną „kontrolą”...

Jeszcze innym razem zapowiadałam wykład profesora Kordylewskiego. Podjeżdżamy naszym „willisem”, a przed drzwiami świetlicy nieprawdopodobny tłok. Wita nas szmer zadowolenia publiczności, a kierownik świetlicy prowadzi człowieka do sali pytając, gdzie mamy potrzebne akcesoria? Widzi nasze zdziwienie i pokazuje na duży afisz, który zapowiada przybycie mistrza sztuk tajemnych. W programie występu: połykanie ognia, wyciąganie królika z cylindra i stąpanie po szkle, nie mówiąc już o wyciąganiu portmonetki i przepowiadaniu losu. Okazało się, że przez pomyłkę na jeden i ten sam dzień zamówiono aż dwóch prelegentów. Oczywiście zainteresowanie czarnoksiężnikiem przeważało, a profesor Kordylewski musiał się zadowolić trzema słuchaczami.

Pamiętam doraźne sądy. Na miejscu ferowano wyroki i kary. Te ostatnie przyjmowane były przez delikwentów z nieklamana radością, gdyż zapewniały 2 lub 3 dni wypoczynku w hotelu robotniczym i to w doborowym towarzystwie. Sceneria sądu była uroczysta, a nawet groźna. Sztandary, portrety, stół przykryty czerwonym sukniem. A jednak nieraz wysoki sąd z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Najczęstsze wykroczenia to pijaństwo, używanie słów wulgarnych i sprowadzanie dziewcząt do hotelu. Sądzone naiwnie, że wypienimy te przywary u naszych podopiecznych. Obrona samych oskarżonych pełna była szczerego i bezgranicznego zdziwienia. Jeden z nich, u którego pod pryczą znaleziono stosy flaszek po wódce, nie mógł długo zrozumieć, o co nam chodzi – „Jakże to, przecież wysoki sąd wie, że mamy zimne baraki, pracujemy po kolana w wodzie i błocie, jakby wysoki sąd tam był, to też by się napił”. Drugi, który wyrzucił z autobusu konduktorkę, obrażając ją przy tym „wiązańką” słów uważanych za obraźliwe, zwłaszcza w stosunku do kobiety, zapytany dlaczego to uczynił, odpowiedział z głębokim zdziwieniem: „Wysoki sędzie, przecież ja dwa razy mówiłem, że nie mam na bilet, spieszę się do pracy, a wczoraj wypilem tylko jedną ćwiartkę. Nie chciała mnie słuchać, tylko ciągle powtarzała swoje, jak to baba: płac albo wysiadaj – to jak w końcu miałem do niej przemawiać, aby mnie zrozumiała? Przecież nie mówiłem do niej po francusku”.

Były i inne wydarzenia, poważniejsze, ocierające się o prawo i ludzki dramat. Ale znając ich „bohaterów” trzeba było sądzić miarą odpowiednią dla ludzi prostych, topornych, zahartowanych biedą i obciążonych przywarami, które ona ze sobą niesie. Znałam ich dobrze od lat i dlatego podchodziłam do tych zagadnień z dużą dozą realizmu. Przecież na wsi nawet zwykłe wesela kończyły się bójką i pijaństwem, jakże więc tu w nowych, trudnych warunkach mogli nagle za naszą przyczyną nauczyć się dobrych manier w myśl jakiegoś instruktażu. Zresztą te instruktaże (i instruktorzy) też bywały bardzo różne. Oczywiście nie uogólniam, ale prawdę mówiąc nie ułatwiał nam życia. Pamiętam instruktorkę, kobietę w gruncie rzeczy niezłą i pełną dobrych chęci, ale nie rozróżniającą słuszności, dobra, zła. Jakkolwiek linia postępowania słuszna czy fałszywa rozmyślała się u niej w jakiejś mgliste kształty. Poza tym miała manie zapisywania wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach. Zapisywała całe bruliony i arkusze sprawozdań, grube notesy i pojedyncze świstki papieru. Było to dość nieprzyjemne i budzące podejrzenia zwłaszcza wśród zabierających głos w dyskusji. Może zbyt wiele słów poświęciłam jej pamięci, ale w czasach uczenia się na błędach warto na przyszłość wystrzegać się podobnych osób. Nie można dawać władzy ludziom o ciasnych poglądach, pozbawionych wyobraźni i odrobiny fantazji. Pamiętam takie wypadki, kiedy nerwy moje zawiodły, a siły wyczerpały się zupełnie, mimo, że na pozór nie stało się wówczas nic nadzwyczajnego. Dziś – rzecz prosta – wspominam to z rozbawieniem i humorem. Otóż pewnego dnia w barakach, stojących w szczerym polu niedaleko wsi Wyciąż – organizowaliśmy występy artystyczne, które na ogół miały duże powodzenie. Była to wypróbowana i zawsze niezawodna „Pani Twardowska” i „Spacer po WZ” – dość banalna piosenka, ale zawsze życzliwie przyjmowana. Pierwszą doskonale inscenizowała śliczna Ewcia Stolcman, drugą Zuzia Jurek, obszarnicze dzieci, znajdujące się w ciężkich warunkach materialnych. Robiły to z młodzieńczą werwą i takim humorem, że zawsze zbierały brawa... Dopiero po tych występach miała się odbyć poważniejsza część imprezy. Kierownik małej salki zakrzętnął się na przyjęcie gości. Napalił do czerwoności w żelaznym piecyku stojącym na środku izby. Idąc od pieca do komina długa rura również była mocno rozgrzana. Następnie zamiótł podłogę wzniecając kłęby kurzu i najuprzejmiej poprosił mnie, organizatora imprezy na honorowe miejsce tzn. Na przewróconą skrzynkę tuż koło piecyka. Powoli zaczęli się schodzić słuchacze. Szli wolno, niosąc w rękach kilofy, łopaty, siadali również na skrzynkach, lub po prostu pod ścianą na podłodze. Nastrój był senny, zwłaszcza, że mała lampka naftowa zaledwie rozpraszała półmrok. Ludziom przychodzącym z roboty zaczęły tajać buty, tworząc małe kałuże na podłodze. Jeden bardzo przedsiębiorczy, zdjął buty, a mokre onuce powiesił na cieplej rurze. Wkrótce za jego przykładem uczynił to drugi i trzeci. Kto zna woń przepocowanych, nie umytych nóg, unoszącą się na wysokości własnego nosa, ten nie będzie się dziwił, że byłam bliska torsji. Poczulałam, że nie wytrzymam tego wszystkiego, uduszę się, jeśli jeszcze przez chwilę oddychać będę musiała tym gęstym powietrzem, przesyconym wonią cuchnących szmat, lykać wirujący w powietrzu kurz i kłęby dymu z bardzo kiepskiego tytoniu, zakłócać spokój tym ciężkim ludzkim „bryłom” śpiącym nieruchomo pod ścianami, słuchać jak błada, długonoga Zuzia wyśpiewuje słabym głosikiem chwałę betonowych miast i patrzeć, jak wielkie krople potu występują na czoło małej, czarnowłosej Ewci, przemycającej z trudem pod postacią biesa piękno rodzimej literatury. I ja, która wytrzymałam już tyle, która wszystko starałam się wytłumaczyć sobie na dobre – wybiegłam wtedy jak szalona z baraku w ciemną noc. Nigdy nie czułam się tak bezsilna, taka bezbronna. Bezwiednie powtarzałam głośno i bez sensu jak małe dziecko, że chcę wrócić do domu, do mojego cichego domu... Wbrew temu, że ten upragniony dom nie istniał już wówczas. (...) Tłumaczyłam wyższej Sile, że naprawdę nie mogę, nie chcę, nie potrafię, że przecież beze mnie będą dalej wozic piasek dla naszej Nowej Huty, i że naprawdę najlepiej będzie, gdy po prostu umrę, bo epoka w której żyję za trudna jest dla mnie i za surowa,

a jeśli się to nie stanie, to i tak rzucę się pod pierwszy przejeżdżający pociąg, chociażby dlatego, aby nie czuć nareszcie zmęczenia. To przecież tylko moment bólu i lęku, a potem wieczna cisza i spokój. Nie jestem pewna, czy gdyby w tym czasie przejeżdżał pociąg, nie uczyniłabym tego.(...)

Powoli nasza działalność, polegająca na przeorywaniu ludzkiej świadomości, dawała rezultaty, chociaż niejednemu wysłuchawszy przemówień o wspaniałościach przyszłego miasta i związanych z tym własnych korzyściach, godził się w duchu z obecnym stanem rzeczy, ale wystarczyła jedna rozmowa z sąsiadem z innej przyczyny, że właśnie przyszedł czas siewów lub czas koszenia siana, aby zbudziły się na nowo wątpliwości. Jeszcze długo utrzymywał się ogromny lęk przed nieznanym, lęk człowieka wyzutego z ziemi, a jeszcze nie okrzepłego w nowych warunkach życia, którego styl był mu najzupełniej obcy. Dobrze, że nie mieli czasu, aby o tym myśleć.

Czas płynął. Nasze hasła, ustawicznie powtarzane przez megafony, „masówki”, zebrania, odczyty, żywe słowo, wreszcie doraźne korzyści materialne – robiły swoje. Zresztą zwolna zimne baraki zamieniały się w mieszkania, błotniste wykopki w ulice, chleb wyciągany z brudnego papieru w posiłek ze stołówki, uciążliwe marsze do pracy – w jazdę wygodnymi autobusami. I tak powoli utrwalała się świadomość, że można inaczej, lepiej i wygodniej żyć, a czas – ten wielki lekarz na wszystkie ludzkie bóle i niedole – przesłonił obraz dawnej egzystencji.

Huta pochłaniała jedną wieś za drugą. Nawet nie wiem, czy zostały zachowane wszystkie nazwy tych wsi. Na naszych oczach, oczach jednego pokolenia zmieniały się w miasto.

Miejmy nadzieję, że my, dawni mieszkańcy tych terenów zobaczymy, że to miasto budowane przez nas z takim trudem, mozołem, poświęceniem i wyrzeczeniem – nie zapomni z jakich wyrosło korzeni, a my odchodzący, będziemy spokojni, że nasz wysiłek i pracę przejmą młodsze ręce, obywatele odpowiedzialni za przyszły los naszej Ojczyzny.

Zofia Kulinowska

Tytuł „W zwykłej rudzie życia” pochodzi od redakcji „Gazety Krakowskiej”, w której pierwotnie ukazał się ten tekst, nadesłany w 1981 roku w ramach konkursu na wspomnienia o budowie Nowej Huty. Praca Zofii Kulinowskiej została uhonorowana wyróżnieniem ufundowanym przez Nowohuckie Centrum Kultury. Autorka była ostatnią dziedziczką pałacu w Wadowie



Zofia Kulinowska (w II rzędzie stoi 5 po prawej) w czasie zebrania załogi na Hucie im. Lenina, lat 50. XX w.

Krótkie refleksje na temat Nowej Huty

Nie można rozpatrywać przeszłości Nowej Huty tylko w aspekcie przykrych doznań i krzywd poniesionych przez mieszkańców okolicznych wsi, bez uwzględnienia trudów, a często i cierpień, jakie ponieśli przy jej budowie pracownicy.

Budowa Nowej Huty i Kombinatoru Metalurgicznego była nastawiona na szybki efekt i spektakularny sukces nowego socjalistycznego miasta bez uprzedniego przygotowania infrastruktury i zabezpieczenia hotelowego przydatnego do przyjęcia tak dużej ilości pracowników. Zwożono do pracy prawie z całej Polski, głównie ze wsi, osoby bez kwalifikacji, których na początku zakwaterowano w „hotelu w Czyżynach” tj. w zaadaptowanych pomieszczeniach magazynowych Zakładów Tytoniowych, w hotelu urządzonym w pomieszczeniach austriackiego fortu (który wkrótce zamknięto po inspekcji sanitarnej) i w kwaterach prywatnych. Pierwsze hotele robotnicze – baraki – bez dróg dojazdowych, wybudowali sobie robotnicy na polach Mogiły. Zaopatrzono ich w ubranie robocze: w lecie w gumaki bez których nie można się było poruszać w terenie „wszechobecnego” błota i drelichowe ubrania, a w zimie w filcowe buty „filcaki” i watowane ubrania „kufajki” ze spodniami. Na rozkopane pola upraw rolnych, gdzie prowadzono budowy, nie można było wjechać ciężkim transportem ze względu na nieutwardzoną ziemię i błoto – z tego też powodu do transportu materiałów budowlanych używano wozów konnych prowadzonych przez tzw. wozaków, których nie wystarczyło z okolicznych wsi i musiano ich sprowadzić jeszcze z Lubelszczyzny. Zorganizowane stołówki pracownicze zabezpieczały żywienie, które, też nie było najlepsze.

Ze względu na złe warunki sanitarno – higieniczne szybko rozprzestrzeniły się różne insekty – wszy, pchły, pluskwy. Władze w obawie przed wybuchem epidemii, głównie durów, powołały Kolumnę Sanitarną w Nowej Hucie z kierownikiem Dr Zdzisławem Olszewskim, który skarżył się na „skandaliczne warunki sanitarne i sposób zarządzania budową” – co dokładnie opisał w swojej książce p.t. Dwa lata w Nowej Hucie tj. w 1950 – 1952 r. wydanej w 1972 r. nakładem Krakowskiego Wydawnictwa Literackiego.

Po pewnym czasie zorganizowano łaźnie przy hotelu w Czyżynach i ruchome kąpieliska w innych miejscach. W hotelach prowadzono akcje dezynfekcji pomieszczeń, ubrań i odswadzania osób – przy pomocy DDT. Przeprowadzono szczepienia przeciw durowi brzuszemu, czerwonce i cholerze. Dzięki tym działaniom nie doszło do epidemii, której się obawiano.

Nie było to łatwe życie, a praca fizycznie ciężka o dużym zagrożeniu wypadkowym, na otwartej przestrzeni, w zmiennych warunkach atmosferycznych, a bez zapewnionego w tym początkowym okresie odpoczynku w godziwych warunkach.

Dodatkowym obciążeniem dla pracowników, głównie niewykwalifikowanych, była konieczność douczanie się do nowych zawodów. Początkowo przede wszystkim w budownictwie, a z czasem rozszerzonym na inne zawody; instalatorów, elektryków, ślusarzy, spawaczy na które było duże zapotrzebowanie przy budowie hal produkcyjnych Kombinatoru – co dla wielu sprawiało trudności.

Tych mieszkańców hoteli robotniczych, budowniczych socjalistycznego miasta widać było w niedzielę jak tłumnie uczęszczali do okolicznych kościołów w Mogiły, Czyżynach i kaplicy w Bieńczycach. Jeden ze starszych pacjentów, były mieszkaniec hotelu w Czyżynach, opowiadał mi, że dla urozmaicenia zabierano ich czasem samochodami do kina do Krakowa.

Po uporaniu się z budową zaplecza mieszkaniowego i rozpoczęciu produkcji w Kombinacie metalurgicznym pracownicy stanęli przed nowym problemem przyuczenia się do pracy na określone stanowiska pracy, na wydziałach produkcyjnych, w warunkach zagrożenia różnymi czynnikami szkodliwymi. Do tej pracy były wysokie wymagania zdrowotne łącznie z badaniem psychotechnicznym. W początkowym okresie nie było jeszcze wystarczającej ilości absolwentów szkoły przyzakładowej przygotowującej do pracy na określone stanowiska pracy w hutnictwie jak: garowych, stalowników, walcowników... Zapotrzebowanie na wykwalifikowanych pracowników wzrastało wraz z postępem technologii procesów produkcyjnych, dlatego wielu pracowników uczęszczało do wieczorowych szkół średnich i wyższych uzyskując tytuły techników i inżynierów, a zarazem kwalifikacje do pracy w nowoczesnym zakładzie metalurgicznym. Nie wszyscy wytrzymywali łatwo ten stres obciążenia nauką, pracą, obowiązkami rodzinnymi i często opłacali to zdrowiem. Lekarze służby zdrowia Kombinatoru byli dla nich wsparciem i odczuwali ich wdzięczność i zaufanie co zaowocowało wiele lat później w okresie Solidarności i strajków.

Dzisiaj warto nie zapominać o trudach, a często nawet cierpieniu, przodków obecnych mieszkańców Nowej Huty, którzy przybyli tutaj często z odległych miejsc naszego Kraju, do pracy organizowanej według sowieckich

wzorów „wielkich budowli socjalizmu”. Nie ma dokładnych statystyk ofiar, których można było uniknąć. Powinni o tym pamiętać zwłaszcza ci, którzy wychowywali się już w lepszych warunkach.

Dr med. Barbara Salwińska – Ciećkiewicz

była mieszkanka Czyżyn, długoletni lekarz Służby Zdrowia Kombinatu i Kliniki Chorób Zawodowych AM, potem CM UJ – mieszczącej się w Centralnej Przychodni Huty



Stanisława i Zygmunt Czalkowie z dziećmi: Elżbietą, Bogumiłą i Zbigniewem, z lewej Miron Zakrzewski, Pleszów, baraki 1958 r.



Zofia i Miron Zakrzewscy z dziećmi: Barbarą i Tadeuszem oraz Stanisławą i Zygmunt Czalkowie z dziećmi, w głębi siedzi przy baraku Konrad Barczyk, Pleszów, 1958 r.



Józef i Feliksa Zawiszowie z synem Krzysztofem (w wózku) i in. W tym baraku mieszkało pięć rodzin: Zawiszowie, Solarzowie, Wojniakowie i Carugowie oraz pani Grąbowa z dziećmi: Bogusią i Stasiem. Baraki te stały na os. Na Skarpie za szkołą podstawową obok rampy, 1954 lub 55 r.

Wspomnienia Marii Kościelniak

Patrząc na moje zdjęcie sprzed lat, wśród kwiatów na tle kombinatu, przypominam sobie czas młodości, ale też wczesnej huty. Dziś, gdy tak wiele pisze się i mówi o Nowej Hucie – ja wciąż pamiętam jej specyficzny zapach. Trudno zresztą mówić o zapachu – to był swąd nieznosny! Zdjęcie przedstawia niemal sielankową aurę, lecz gdy tylko mocniej powiało od strony koksochemii, to czasem nie było widać świata zza śmierdzących dymów, które opadały na tu-tejszą ziemię: urodzajne pola, sady i ogrody. Po zmianie kierunku wiatr z południa przynosił za to od pobliskich Czyżyn woń fermentowanego tytoniu i papierosów. Było wówczas wiadomo, że to „halniak” i wkrótce spadnie deszcz. Koksochemia także niszczyła nieodwracalnie mury Krakowa, a razem z nią przemysł Skawiny przyczyniał się do podtruwania ludzi i przyrody. Masowo ginęły też ryby, żaby, świerszcze, chrabąszcze...

Zewsząd ogarniało nas błoto. Błoto – żywioł, w którym bez porządnego gumniaka nie sposób było się poruszać. Często nie tylko obuwie zostawało w błocie, bo zdarzało się, że nawet spychacz – „staliniec” w nim zatonał. Jeździłam wtedy do Liceum Ogólnokształcącego do Krakowa pociągiem z ulicy Kocmyrzowskiej. Przystanek znajdował się tam, gdzie dziś jest sklep żelazny. Potem był tramwaj do Ronda Mogińskiego, wokół którego stały przeróżne budki. Wszyscy w Krakowie wyśmiewali się z naszych gumniaków. Kraków gardził Nową Hutą. Gardzili nią także mieszkańcy Mogiły, Bieńczyca, Czyżyn, Pleszowa i ci wszyscy, którym zabrano ojcowizny. Uprawianą od wieków ziemię, bezlitośnie zdzierali teraz „stalińce”, ryły z jękiem koparki, a z każdej niemal strony dobiegały odgłosy pracujących kilofami i łopatami junaków. W latach 50. nikt jeszcze o ekologach nie słyszał, wciąż uprawiano tu rolę: orano ziemię, siano zboże, zbierano plony, a na pozostawionych skrawkach rozległych niegdyś pól, nadal sadzono jarzyny i warzywa, by potem sprzedać je na targu w Bieńczycach i Mogi-le. Ale wszędzie tam, gdzie tylko rozpoczynano prace i robiono wykopy pod kombinat i budownictwo, zjawiał się natychmiast dr. Stanisław Buratyński – archeolog, a zarazem człowiek – pasjonat. Był kierownikiem oddziału nowohuckiego Muzeum Archeologicznego w Krakowie i wykładowcą archeologii i historii na Uniwersytecie Jagiellońskim i uczelni w Katowicach. W tamtych czasach ktoś na takim stanowisku z reguły musiał należeć do PZPR-u., dr Stanisław Buratyński jednak nie należał. Nie krył także swojej głębokiej wiary, nie pił, nie palił. Z natury był społecznikiem, propagował archeologię na szeroką skalę: od wykładów i ćwiczeń w salach uniwersyteckich dla studentów poprzez odczyty i pogadanki dla pracowników huty, poborowych, junaków na wykopaliskach oraz dla uczniów w szkołach, a nawet przypadkowych słuchaczy. Potrafił w Dyrekcji Kombinatu Huta im. Lenina zdobyć liczne fundusze na wykopaliska aby ratować – niejednokrotnie sprzed samych spychaczy – bezcenne zabytki archeologiczne. Przemierzał nieraz codziennie dziesiątki kilometrów w terenie, wydając polecenia i uważnie śledząc postępy prac. Wypatrywał z intuicją popartą ogromną wiedzą śladów prehistorii, załatwiając w razie potrzeby pozwolenie na wejście – często w ostatniej chwili – na plac budowy, choć plan wiecznie był napięty. Miał wspaniały dar przekonywania i zjednywał ludzi wokół idei, którą ofiarne podejmował dla całego społeczeństwa. Swoje życie i pracę traktował jak ważną misję. Nigdy też nie uskarżał się ani nie epatował przypominaniem tragicznych losów własnej rodziny i zbrodni dokonanych na polskich Kresach Wschodnich, których był naocznym świadkiem. To głównie dzięki niemu dziś wiemy, że na obecnych ziemiach nowohuckich istniało osadnictwo już od tysięcy lat. Mały oddział nowohucki, którym kierował, wydał cenną publikację „Pradzieje Nowej Huty” i inne materiały. Historia niezwyklej postaci dra Stanisława Buratyńskiego w pełni zasługuje na opracowanie poświęcone mu publikacji oraz nadania jego imieniem nazwy ulicy w Nowej Hucie. To miasto powstało przecież na ziemiach pamiętających łowców mamutów sprzed 20.000 lat, dymarki sprzed stuleci, a nawet Celtów i inne plemiona osadników, których ślady bytności dr Stanisław Buratyński z takim poświęceniem odsłaniał dla współczesnych. Niestety w Nowej Hucie swojej ulicy nie posiada do dziś...

Moje zdjęcie wśród kwiatów wykonał podczas przerwy w pracy pan Roman Zajac – archeolog i fotograf zajmujący się dokumentowaniem naszych wykopalisk i zbiorów. W pomieszczeniu wielkości szafy wywoływał



Maria Kościelniak – rysownik z Muzeum Archeologicznego w Krakowie (Oddział w Nowej Hucie), pośród margerytek na tle kombinatu, 1963 r., fot. Roman Zajac

filmy, suszył je, robił odbitki i reprodukcje. Pamiętam, że z mamą i koleżanką szyłyśmy z kalki „tunele”, które pocięte na odpowiedniej długości odcinki służyły mu potem jako „koszulki” na filmy. Pan Romek jeździł do pracy z Wieliczki motocyklem-składakiem, dla pewności w wielu słabszych miejscach powiązany sznurkiem! Zaproszeni na przejażdżkę z pośpiechem odmawiali, czemu pan Romek bardzo się dziwił. To były dobre czasy dla użytkowników dróg, bo po ulicach jeździły zarówno rowery jak i koparki i spychacze. Stanem dróg nikt się specjalnie nie interesował, a zamieszczone tu zdjęcia mówią same za siebie w jakich warunkach pracowano. Na fotografiach z lat 60. widać bardzo bogate stanowiska archeologiczne tuż obok kombinatu, nieopodal Kopca Wandy. Rysowałam wówczas w terenie świeżo odkryte obiekty i zabytki, a moja mama Helena Jakubiec pracowała przy kompletowaniu i układaniu fragmentów wykopanych z ziemi zabytków. Pracą archeologów interesowali się inżynierowie, okoliczni mieszkańcy i ludzie przyjeżdżający zobaczyć kopiec i zwiedzić jego okolice. To, co wówczas udało się uratować jest przedmiotem badań naukowych do dziś, a pewnie wystarczy tych odkryć i dla następnych pokoleń. Obecnie o wiele bardziej przemawia do mnie – w kontekście głębszego spojrzenia na Nową Hutę – właśnie archeologia i historia rdzennych mieszkańców wsi wchłoniętych przez kombinat i to miasto, niż gloryfikacja i robienie z Nowej Huty „ósmego cudu świata”. Szacunek, podziw i gratulacje za odwagę należą się przede wszystkim tym, którzy oparli się obowiązującej doktrynie i zniewoleniu. Tym, którzy potrafili upomnieć się o swoją godność i walczyć o prawdę, wolność i wiarę – bo to byli prawdziwi, najczęściej bezimienni bohaterowie. A potem przysłała „Solidarność”...

Maria Kościelniak



Helena Jakubiec, 1958 r.



Roman Zajac, fotograf



Dr Stanisław Buratyński, archeolog



W Pleszowie nad „jamą” od lewej: Maria Kościelniak, dr Stanisław Buratyński, p. Nowakowa, Krystyna Król z Chałupek, 1958 r.



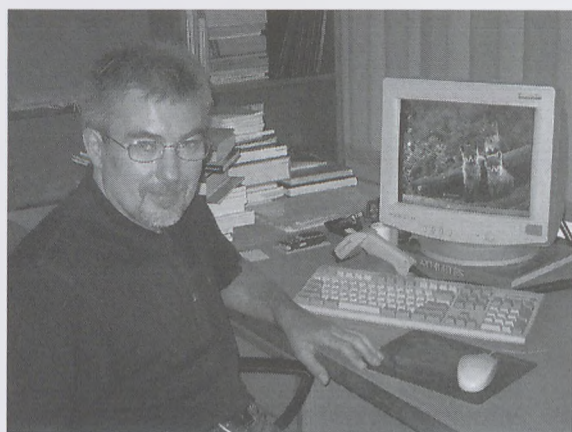
Wykopiska w Pleszowie, w tle baraki tzw. „Meksyk”. ok. 1958 r.



Wykopiska, 1966 r.



Stanowisko archeologiczne pod kopcem Wandy, 1961 r.



W cieniu kominów

Bardzo chciałbym Panu pomóc i mieć jakiś swój udział w tworzeniu dalszego ciągu książki „Czas zatrzymany”, ale obawiam się, że urodziłem się za późno, bo w roku 1953 i o swoich przodkach, zamieszkujących z dziada pradziada tereny, które znalazły się w sferze oddziaływania Nowej Huty, wiem mniej więcej tyle, ile moja Ciozia Emilia Cuber, która udostępniła Panu fotografie naszych wspólnych krewnych. Ja mógłbym opowiedzieć tylko o tym, jak wyglądało moje dzieciństwo i dorastanie w cieniu dymiących kominów Nowej Huty i jakie ten fakt odcisnął piętno na mojej

osobowości całym życiem. Nie wiem tylko, czy leży to w sferze Pana zainteresowań.

Wspomnienia są czymś, przed czym chce się czasami uciec, ale przecież to one pomagają nam kształtować naszą tożsamość...

Książka „Czas zatrzymany” wydobyła i pozwoliła mi zwerbalizować wszystkie traumatyczne doświadczenia, których się bałem, których nie akceptowałem i które w ciągu historii mojego życia zepchnąłem w najgłębsze zakamarki podświadomości, ponieważ sprawiały ból, przypominały o zranionej i skradzionej młodości, o odrzuceniach, braku miłości, i generowały uczucia wrogości i niechęci do siebie, do innych i do świata.

Poprzednie moje wspomnienia i wyidealizowany nieco obraz domu rodzinnego, z czerwoną dachówką, koronkowymi firankami w oknach, haftowanymi serwetkami na komodzie, latem z ogrodem pełnym kwiatów, domu pełnego tajemnic na strychu..., który noszę w sercu, dotyczą okresu beztróskiego dzieciństwa, w którym świat zawężył się do najbliższego krajobrazu i kojarzy z zapachem świeżo skoszonej trawy i grą świerszczy w letnie wieczory. Ten świat wspomina się z nostalgią i kocha za to, że był taki bliski, nasz, kojący serce...

To do wspomnień wracam gdy jest mi smutno, kiedy codzienność mnie przytłacza, gdy wydaje się, że wszystko traci sens. Wystarczy wtedy odtworzyć w pamięci pewien obraz, jakąś przyjemną chwilę i od razu człowiek lepiej się wtedy czuje.

Na zawsze w pamięci pozostaje obraz mamy, zapracowanej i modlącej się, kochającej kwiaty, spoczywającej od niedawna na cmentarzu w Ruszcy..

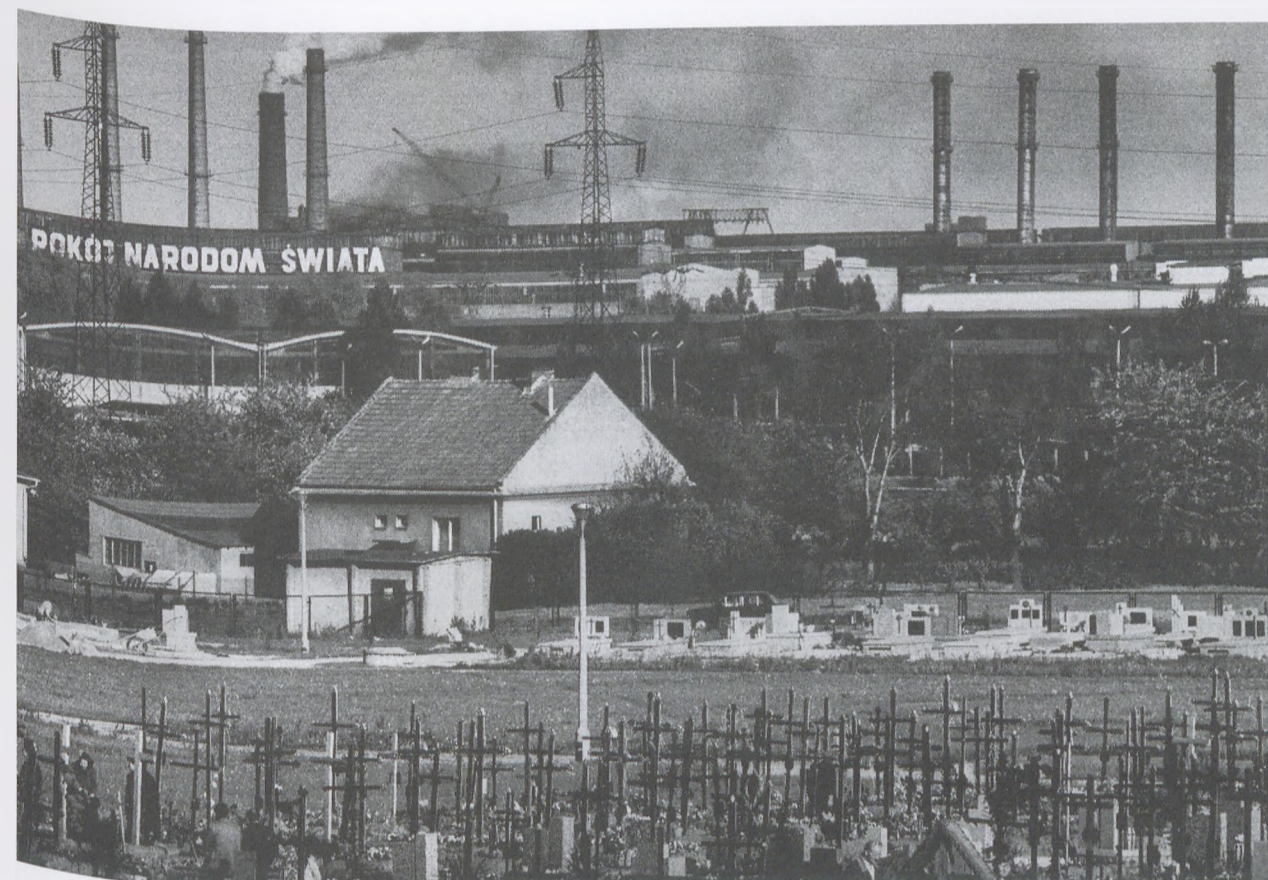
O późniejszym życiu, w którym wielokrotnie jednym słowem, jednym gestem obracano w popiół krainy dzieciństwa, gdzie zagubiona dusza szukała schronienia, trudno pisać wierszem, czy nawet prozą poetycką. Należę do tego pokolenia o którym mówią słowa piosenki zespołu „Turbo”:

*„Dorosłe dzieci mają żal
Za kiepski przepis na ten świat!
Dorosłe dzieci mają żal
Że ktoś im tyle życia skradł”*

Niestety już w dzieciństwie byłem rozdarty między domem, w którym panował przeciwny teraźniejszości duch, a szkołą, która podlegała komunistycznej indoktrynacji, która prowadziła prymitywną kampanię propagandową skierowaną przeciwko kościołowi, przeciw kardynałowi Wyszyńskiemu, która przedstawiała nam wierzących rodziców jako zacofanych, a szkołę jako postępową siłę ludu pracującego. Szkoła podstawowa i harcerstwo, stosując metodę „prania mózgu” na apelach, akademiach i zbiórkach, które dziwnym zbiegiem okoliczności wypadały wtedy, kiedy miały być lekcje religii, chciały wpoić nam miłość do marksizmu, leninizmu, internacjonalistycznego komunizmu i zakodowały w umysłach dzieci z mojego pokolenia strach przed Związkiem Radzieckim, niechęć do Kościoła i religii i do przedstawicieli wszelkiego rodzaju władzy. W tym kontekście od wczesnej młodości narastały w mojej podświadomości kompleksy, zahamowania, wypaczenia nie pozwalające na przyznawanie się do wiary moich przodków, wywołujące nerwowe reakcje na takie słowa, jak lewica, prawica, socjalizm, kapitalizm, Zachód, Nowa Huta, ksiądz prymas..., z którymi nie mogłem sobie poradzić. Byłem dzieckiem wrażliwym i nieśmiałym, wycofanym w świat swoich fantazji, książek, marzeń, oderwanym od rzeczywistości, mającym trudności z nawiązywaniem kontaktów z rówieśnikami i okazywaniem uczuć. To wszystko przekładało się na moje relacje z dziewczynami; gorączkowo szukałem prawdziwej miłości uzasadniającej moje istnienie, ale wszystkie dziewczyny mnie odtrącały, ponieważ byłem niepoprawnym romantykiem, miałem niską samoocenę i brakowało mi poczucia własnej wartości. Brało się to stąd, że

kiedy chodziłem do XI Liceum Ogólnokształcącego w Nowej Hucie, byłem jedynym uczniem w klasie, który nie mieszkał w „nowoczesnym” bloku z wielkiej płyty, tylko dojeżdżał z marginesu, z jakiegoś podejrzanego Dojazdowa. Kiedyś jedna z koleżanek podarowała mi na Mikołaja książkę pt. „Jaśnie oświeceni i ciemniacy”. Nie muszę chyba dodawać, w której kategorii miałem się uplasować... Tylko jeden z kolegów mnie dowartościowywał, mówiąc, że „jestem bardziej krakowski, niż pozostali”, ale on mieszkał na Wieczystej. W trzeciej klasie lody nieco puściły, ponieważ kilku kolegów odważyło się zapuścić kilka kilometrów poza granice Nowej Huty i odwiedzić mnie w domu. Byli mile zaskoczeni, ponieważ rzeczywistość odbiegała od obrazu wsi, jaki w sobie nosili. Jednemu z nich podarowałem moje zeszyty z języka polskiego, chodziło o to, by z moich słynnych wypracowań mógł skorzystać jego młodszy brat, którego uczyła ta sama polonistka. Z okresu liceum z pietyzmem wspominam historyka Józefa Paradowskiego, byłego AK-owca, który uczył nas prawdziwej historii Polski, panią profesor Jadwigę Gregorską, Aleksandrę Bendo, i profesorów Stanisława Walczaka, Mieczysława Mamro i dyrektora Józefa Buzalę. Byli niestety również nauczyciele, których zajęcia fakultatywne z polskiego przypominały partyjną egzekutywę, ale ich nazwiskami nie obciążam swej pamięci, podobnie jak nazwiskiem matematyka, który tuż przed maturą postawił mi sześć ocen niedostatecznych. Te oceny miały charakter represji za to, że mój starszy brat, absolwent tegoż liceum wstąpił do Krakowskiego Seminarium Duchownego. Co się wtedy działo... „Pingwin”, bo tak nazywaliśmy matematyka, wprost szalał. Socjalistyczna szkoła w ateistycznym założeniu mieście i taki skandal!!! Tylko dzięki interwencji wyżej wymienionych profesorów, którzy nie dali się upodlić reżimowi, zostałem dopuszczony do matury. Po maturze skończył się mój kontakt z Nową Hutą, ale alergię na nią niestety pozostała.

Tadeusz Maroszek



„Pokój narodom świata”. Widok na kombinat od strony cmentarza komunalnego w Gębalowie, lata 70. XX w., fot. Mieczysław Libront



Dymy nad Hutą im. Lenina, lata 60. XX w., fot. Robert Kozieradzki



Tygiel

Pakowali skarby.

Marianna Skowron przekładała pieluchami kryształowe podstawki na chrzan lub śledzie, kielich-cukiernicę i szklaną piramidkę, którą ojciec szewc ścinał nadmiar zamszu na ślubnych bucikach.

Jadwiga Ciastoń starannie składała swoją komunijną sukienkę: bielusińką, batystową, z rękawkami ozdobionymi szczypankami i koronkowym kołnierzykiem.

Augustyn Mirga schował srebrną przedwojenną monetę: jako młodych chłopak pomagał Romowi, który robił z takich pieniążków tajemniczy stop do powlekania patelni – żeby lśniły jak lustro.

Marianna Zając rozłożyła na części solidną drewnianą sypialnię, trójdzielną szafę i okrągły stół, żeby zmieścić się w wąskich blokowych korytarzach.

Michał Krawczyk wsiadł na rower i zabrał tylko tyle, ile mu się na ten rower zmieściło.

Marianna Skowron: – Braliśmy to, co już przeżyło jakiś wiek.

Z Wytrzybszki, Czyżyn, Lwowa, Łabęd, Zielonek, Dzierążni jechali do miasta, które ledwie wyrzało z błota.

Do Nowej Huty.

Bagaż

Anna Miodyńska z Małopolskiego Instytutu Kultury chciała odnaleźć bagaż, który ludzie przywieźli do Nowej Huty. Wiedziała, że on gdzieś jest: poupychane w piwnicach święte obrazy, schowane na dnie szafy haftowane obrusy, ukryte w książkach stare zdjęcia...

Projekt „Bagaż odnaleziony” miał być jedną z trzech części programu „nowa_huta.rtf (relacje – teksty – forma)”, który MIK realizuje w ramach międzynarodowego przedsięwzięcia „Pamięć – dziedzictwo – społeczność lokalna”. Pieniądze na projekt dał unijny fundusz Kultura 2000.

Dziesięciu nowohuckich seniorów przez ponad rok spotykało się na warsztatach, wspominało, robiło kolaże ze starych rodzinnych zdjęć, poznawało twórczość Tadeusza Kantora. Wspominało. I szukało swojego bagażu.

Pszenica

Najpierw były pola.

Na polach rosła pszenica, żyto, owies i buraki dla krów. Pszenicy było tyle, że szumiała. Na żniwa górale schodzili z gór, najmowali się do koszenia.

Polami biegł gościniec z kamienia wyrównanego walcem, z rowami wyłożonymi cegłą. Wzdłuż gościńca stały domy. Trochę dalej – dwór, stawy, na których dworskie dzieci jeździły na łyżwach i karczma, którą prowadziła Marysia.

Wieś nazywała się Czyżyny. Ojciec Marianny Zając był w niej kowalem.

Podkuwał konie, kuł brony, naprawiał bryczki, należał do rady gminy, miał 14 ha pola, cztery krowy, dwa konie, trzymał służącą i służącego. Któregoś dnia uderzył się w rękę, dostał zakażenia krwi i umarł.

Marianna Zając miała wtedy dwa lata.

Pamięta jak pasła wujkowi krowy, żeby kupić sobie łyżwy. Pamięta jak bracia zrobili jej sanki: zanim dowieźli ją do szkoły, całkiem się rozsypały.

Przez Czyżyny pociągnięto kolej do Kocmyrzowa – Marianna Zając jeździła do gimnazjum szkolnym wagonem. W Czyżynach wybudowano lotnisko – mamusi państwo zabrało kawałek pola, za odszkodowanie kupiła synom dorożki. Przyszła wojna – dziedzic z czyżyńskiego dworku zwariował z rozpacz, Niemcy zastrzelili go w Kobierzynie.

Marianna Zając poszła na zabawę sylwestrową i całą noc przetańczyła z przyszłym mężem. Pobrali się trzy miesiące później. Zabrali solidne drewniane meble: okrągły stół, najmodniejszą trójdzielną szafę. Zamieszkali w Krakowie, dostali pojedynczy pokój w mieszkaniu teściowej.

A 2 lutego 1949 roku (dwa lata przed ślubem Marianny) towarzysz Pleszkow wszedł na Kopiec Wandy, spojrział na pokryte śniegiem pola i powiedział: – Tu można by najlepiej rozplanować hutę.

Spychacz

Pod budowę Nowej Huty władza zabierała ludziom pola. W zamian dawała grosze, albo nic.

Marianna Zając: – Siostra była urodzoną rolniczką. Nie chciała opuścić domu, to pani z prezydium powiedziała, że ją spychaczem wywiozą.

Marianna miała kawałek pola z altanką – nawet nie zapytali, zrównali buldożerem, zbudowali osiedle Dywizjonu 303. Na miejscu karczmy Marysi zrobili aleję i tramwaj. Gościniec wyasfaltowali i nazwali ulicą Centralną. Cmentarz zmarłych na hiszpankę, do którego szło się przez zboże, przerobili na park w środku osiedla. Na polu mamusi wyrosła Rada Narodowa.

A tam, gdzie był rodzinny dom Marianny Zając postawili bloki.

Do Nowej Huty przyjechało sto tysięcy ludzi: z Wytrzybski, Lwowa, Dzierżni, Łabęd, Krakowa...

Jadwiga Ciastoń z bieluską komunijną sukienką.

Augustyn Mirga z przedwojenną srebrną monetą.

Marianna Skowron ze szklaną piramidką do ścinania skóry ze ślubnych pantofli.

Michał Krawczyk na rowerze.

Bloto

Marianna Zając pamięta, że w latach 50. w Nowej Hucie bez przerwy było słyhać: „Góralu, czy ci nie żal”. Ludzie tęsknili.

Henryka Krawczyk przyjechała do Huty właśnie z tęsknoty.

Jej ojciec do szkoły w Sosnowcu chodził z Władkiem Kiepurą, który miał ładniejszy głos niż Janek, ale się nie wylansował za granicą. Po szkole ojciec został mistrzem szlifierskim w Hucie Łabędy.

Siostra Henryki Krawczyk wyszła za męża i pojechała do Nowej Huty, bo liczyła na mieszkanie i coś więcej od życia.

Mama bardzo tęskniła: najpierw za córką, potem za wnuczką. Na Wielkanoc rodzina pojechała do Huty w odwiedziny. Wyszli na placu Centralnym, stanęli w samym środku bajora błota.

Henryka: – Nikt nie wziął adresu i każdy inaczej go pamiętał.

Ojciec podszedł do milicjanta.

Przepraszam, gdzie tu jest osiedle A31?

Milicjant zdębiał.

Takiego jeszcze nie ma...

Pół roku później już było i ojciec Henryki dostał na nim mieszkanie. Zostawił w Łabędach trzypokojowe mieszkanie dziesięć minut od lasu i posadę mistrza. Henrykę wysłał na wakacje do babci. Miała osiem lat, do koleżanek w Łabędach już nie wróciła.

Ziemniaki

Marianna Zając nie lubiła Nowej Huty, ale któregoś dnia pojechała z mężem zwiedzać ją tramwajem.

No, tu to bym mogła mieszkać – powiedziała, kiedy wagon mijał os. Hutnicze.

Niedługo potem mąż, elektrotechnik w zakładach tytoniowych, losował mieszkanie. Wylosował na Hutniczym.

Marianna Zając: – Nie chciałam iść do Huty, ale nie miałam żadnej innej możliwości.

Był 1956 r., od sześciu lat mieszkali w pokoju u teściowej. Marianna rozkręciła drewniane meble, żeby zmieściły się na wąskich blokowych korytarzach...

Marianna Zając: – Do Huty nazjeżdżało się różnych typów z całej Polski. Na ulicach było bardzo niebezpiecznie, pamiętam jak na Stalowym zabili w bramie szofera. Głośno było o tym, że dziewczyny z hoteli robotniczych wrzucają noworodki do dołów z wapnem. Wieczorem nikt nie wychodził na ulicę. Całkiem tak jak teraz!

W latach 50. Nowa Huta wyludniała się w soboty. Ludzi wymiatało na wieś. Wracali obciążeni torbami, na wozach wypakowanych jedzeniem.

Murarz, mąż spikerki z hutniczego radiowęzła, pojechał do teściów do Dzierżni po ziemniaki. Wrócił z Marianną Skowron.

Szkło

Ojciec Marianny Skowron miał w Dzierżni karczmę, w której urządził zakład szewski.

Obuwał całą wieś: robił mocne buty, w których naprawę można było chodzić. Zatrudniał sześciu czeladników, trzy razy przeszywali skórę na oficerki. W białych rękawiczkach, w białym fartuchu szył ślubne pantofelki z białego zamszu. Nadmiar skóry ścinał szklaną piramidką.

Marianna Skowron wiodła żywot tułaczy.

W Legnicy wykształciła się na pielęgniarkę. Rzuciła pracę, kiedy w szpitalu w Sosnowcu zobaczyła jak umiera na raka żona znajomego lekarza. Została szwaczką w Głucholazach. Do jasno-popielatego ślubnego kostiumiku ojciec uszył jej zamszowe, popielate buciki. Z mężem znów zamieszkała w Dzierżni.

Urodziła syna, potem córkę.

Do Nowej Huty przyjechała najpierw na próbę.

Zapamiętała kino na wolnym powietrzu i potańcówkę na betonie.

Mąż załatwił mieszkanie. Marianna zaczęła pakować szkło w pierzynę, gazety, pieluchy. Wzięła to, co miało już jakiś wiek: błękitnawe spodeczki na chrzan lub śledzie, kielich-cukiernicę i koszyczek po zmarłej w 1942 r. wujence. Z zamkniętego już warsztatu ojca wzięła szklaną piramidkę.

I poszłam za głosem męża.

Szlajfa

W Nowej Hucie Henryka Krawczyk musiała od nowa uczyć się polskiego.

Łabędy to były ziemie odzyskane. Nie dość, że złapałam tam śląski akcent, to jeszcze pomagałam sobie niemieckimi słówkami.

Na płaszcz mówiła mantel, a mamę prosiła, żeby zawiązała jej we włosach szlajfę.

Szybko przystosowała się do warunków i nie miała nic przeciw mieszkaniu w Hucie. Chodziła się opalać na Łąki i zbierać kasztany...

Henryka: – Zresztą Nowa Huta lat 60 i 70 żyła własnym życiem.

Co niedziela biegała nad Zalew wynajmując kajak albo poszaleć na podłodze do tańca. W Łasku Mogilskim składała przysięgę harcerską. Chodziła słuchać muzyki do muszli koncertowej na os. Młodości. Nie przepuściła żadnego seansu w kinach Stal i Aktualności. Rzuciła kamieniami w spychacz, co przyjechał strącać krzyż na os. Teatralnym. Umawiała się na randki w alei Róż.

W magazynach hurtowni odzieżowej poznała Michała Krawczyka, który do Huty przyjechał na rowerze z Zielonek i zabrał tylko tyle ile mu się na ten rower zmieściło...

Ziarenko

Po 18 latach pierwszego małżeństwa, po dziewięciu latach samotności Marianna Skowron ponownie wyszła za męża.

Józef Skowron to był dobry człowiek. Wszystko jej wynagrodził, każdy palec wycalał, a z córką tak się szanował, że kawę pili z jednej szklanki.

W mieszkaniu na Wzgórzach Krzesławickich Marianna Skowron posadziła w doniczce ziarenko daktyla.

Marianna Zając z Czyżyn polubiła Hutę. Bo zielona i wszędzie blisko. Okrągły stół, trójdzielną szafę i krzesła z domu rodziców sprzedała siostrze.

Michał Krawczyk w stanie wojennym uciekał kanałami przed czołgami, co szturmowały kombinat.

Henryka widziała jak bledzi ze strachu milicjanci wynoszą spod pomnika Lenina wielką butlę z acetylenem. Porucznik MO powiedział potem, że jakby wybuchła, to już by ich nie było.

Zaczęła malować kwiaty i zbierać słońce.

Kilka lat temu wszyscy spotkali się w klubie „Jędrus”.

Marianna Skowron: – My tam jesteśmy jak rodzina. Nigdy się nie kłócimy, nie sprzeczamy. Jeździmy razem na wycieczki, mamy kabaret i chór.

Chór ma próby we wtorek – Marianna Skowron wie, że wtedy ma się ładnie ubrać, być uczesana. Właśnie na próbę chóru ponad rok temu przysłała do „Jędrusia” Anna Miodyńska z Małopolskiego Instytutu Kultury. Chciała, żeby seniorzy poszukali bagażu, z którym przyjechali do Nowej Huty.

Stół

Henryka Krawczyk znalazła szachownicę, którą własnoręcznie zrobił jej tata. – Są wszystkie figury i wszystkie pionki. Tylko czarna farba z pół trochę się wytarła.

Marianna Zając znalazła foremki do wycinania ciastek i zdjęcia, na których zamiast bloków są łany pszenicy.

Marianna Skowron znalazła kryształowe podstawki na chrzan lub śledzie, kielich-cukiernicę i szklaną pira-

midkę, którą ojciec szewc ścinał nadmiar zamszu na ślubnych bucikach. – Tyle czasu, tyle różnych wypadków, pożar, a to szkliwo przetrwało. Nic się nie potłukło.

13 maja w Muzeum Nowej Huty na os. Słonecznym 16 stanie stół. Będzie miał szuflady, a każda szuflada będzie zawierać czyjaś przeszłość.

Zwiedzający będą mogli zaglądać do szuflad.

Przy stole będą się toczyć rozmowy. O junakach, o nowohuckich Romach, o pierwszych latach nowego miasta...

I o życiu w wielkim kulturowym tyglu.

Palma

Z ziarenka daktyla, które Marianna Skowron posadziła w doniczce, wyrosła wielka palma.

Pani Marianna podlewa ją trzema litrami wody.

Palma rośnie bez ziemi. W doniczce jest jeden wielki kłęb korzeni.

Katarzyna Kobylarczyk

Artykuł pierwotnie ukazał się w „Dzienniku Polskim”



Migawki z Nowej Huty, lata 60-70. XX w.,
fot. Robert Kosieradzki



Makatki kucharki

Do lat 60 ubiegłego wieku wisiały prawie w każdej polskiej kuchni – tak w mieście jak i na wsi – i były wizytówką gospodyni. Makatki drukowano i haftowano; a ich wzory były przekazywane przez gospodynie. Haftowano je najczęściej w kolorze niebieskim lub czerwonym różnymi ściegami: płaskim, sznureczkiem lub krzyżykami, a na makatkach umieszczone były rozmaite wzory i napisy:

-religijne: „Kiedy ranne wstają zorze”, „Kto z Bogiem – Bóg z nim”

-kuchenne: „Soli i chleba w kuchni potrzeba”, „Jak ja ugotuję – każdemu smakuje”

-miłosne: „Ja cię kocham a ty śpisz”, „Gdzie szczęście i zgoda panuje, tam miłość swe gniazdko buduje”

-dziecięce: „Świat malutki nie wie co to smutki”, „Leśna kapela wszystkich rozwesela”

-higieniczne: „Zimna woda zdrowia doda”, „Myj się zimną wodą – będziesz piękną i młodą”

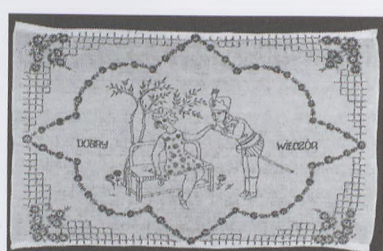
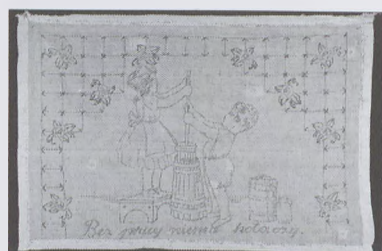
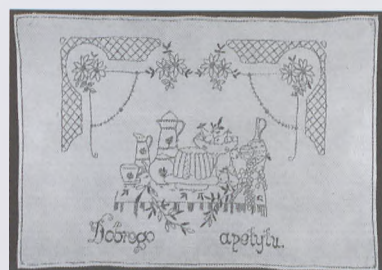
-obyczajowe: „Nie mów nikomu, co się dzieje w domu”, „Bez pracy nie ma kołaczy”

Moja kolekcja gromadzona latami liczy 243 makatki, w tym także makatki – ręczniki zdobiące niegdyś umywalnie. Oprócz polskich posiadam także makatki słowackie, niemieckie, holenderskie, szwedzkie i lemkońskie. Polskie zachwycają swoją prostotą, tematyką, humorem i kolorystyką, prezentowane na wielu imprezach często wzbudzają zachwyt zarówno młodszych pokoleń, jak i tych starszych, którym przywołują własne wspomnienia oraz czasy młodości.

Makatki do Nowej Huty przywoziły rodziny z każdego nieomal zakątka Polski i Kresów, a wiele z nich zdołało kuchnie podkrakowskich wiosek. Najstarsze mają ponad 80 lat i są cennymi pamiątkami rodzinnymi, często przekazywanymi z pokolenia na pokolenie. Wciąż powiększana kolekcja powstała dzięki ofiarności licznych i serdecznych darczyńców, a służąc innym stanowi fragment stałej ekspozycji w nowohuckiej „Chałupie u Szpinaka”, gdzie prezentując makatki dzieciom na zajęciach folklorystycznych mówię: „...to są takie stare, nostalgiczne telewizory”.

Jurek Kujawski SZPINAK





Makatki kucharki z kolekcji Jurka Kujawskiego „Szpinaka”



Jestem dziedzicem tej ziemi

„Wierność korzeniom oznacza nade wszystko umiejętność budowania organicznej więzi między odwiecznymi wartościami, które tylekroć sprawdziły się w historii, a wyzwaniem współczesnego świata, między wiarą a kulturą, między Ewangelią a życiem.”

Jan Paweł II

Świat na początku trzeciego tysiąclecia przypomina coraz bardziej „globalną wioskę”. Z jednej strony doświadczamy ujednoliconej wszechogarniającej kultury popularnej i masowej, jej komercjalizacji, z drugiej strony świat rozdzielany jest konfliktami oraz wzrostem różnych form przemocy, zachowań dewiacyjnych i przestępczych.

Ta nowa epoka niosąca za sobą „chaos kulturowy”, postawiła człowieka w położeniu, w którym musi on nieustannie szukać swego miejsca, szukać oparcia, źródła własnej tożsamości, lekarstwa na wspomniane zagrożenia. Jeden z regionalistów twierdzi, że „Człowiek w świecie nie może być wędrownym bez stałego punktu oparcia”. Coraz bardziej potrzebujemy tzw. dobrych miejsc; miejsc zapewniających nam możliwość pełnej realizacji siebie i autentycznego poczucia podmiotowości. Poszukujemy przestrzeni do życia, wspólnego gruntu, miejsc, w których możemy wspólnie o sobie decydować i które dają nam poczucie tożsamości.

Kraków to takie dobre miejsce, gdzie mamy silny – oprócz narodowego – regionalny punkt oparcia, własne bogate dziedzictwo kulturowe, swoją „małą ojczyznę” – słowem wartości pozwalające na „zakorzenienie się”. W europejskim mieście kultury, jakim w roku 2000 stał się Kraków, znaleźć można niejedną malowniczą zakątek. Jednym z nich jest Mogiła. Mieści się tutaj XV – wieczny, drewniany kościół parafialny usytuowany u stóp potężnego Opactwa Cystersów. Wybudowana w gotyckim stylu bazylika pochodzi z początków XIII – wieku. Z tym właśnie miejscem ściśle wiążą się nasze korzenie i to my jesteśmy zobowiązani do kultywowania tradycji.

Obecnie edukacja regionalna stanowi źródło tożsamości indywidualnej, regionalnej i narodowej. Rozległa wiedza o własnym środowisku i rozwiązywanie problemów społeczności danego regionu stwarzają szansę zrozumienia zagadnień o charakterze kompleksowym. Dzięki spuściznie twórcy polskiego regionalizmu – Aleksandrowi Patkowskiemu, możemy dzisiaj wdrażać do procesu dydaktyczno-wychowawczego ideę kompleksowego poznania małych ojczyzn, która uczy tolerancji, patriotyzmu, poszanowania dorobku kultury i szacunku do ludzi w myśl hasła, które od lat głoszą krajoznawcy: „Poznaj swój kraj i ojczyźnie służ”.

Edukacja regionalna stanowi istotny element rzeczywistości społecznej, ułatwiający wychowankowi odkrywanie jego tożsamości kulturowej i własnego miejsca w świecie. „Mała ojczyzna” to przeszłość, tradycja i teraźniejszość – wszystko to, co złożyło się na jej obecny kształt, jaki zastaliśmy i w jakim obecnie żyjemy. Najbliższy dziecku świat, to najbliższy krajobraz, wszystko to, co jest wokół obecne: przyroda, ludzie i stworzona przez nich kultura. Poznanie rodzinnej miejscowości i jej okolic powinno odbywać się już od wczesnego dzieciństwa. Dotąd bowiem będzie istniała kultura narodu, jeżeli będzie przekazywana z pokolenia na pokolenie. Najskuteczniejszym sposobem zachowania jej oraz trwania jest poznanie najbliższego otoczenia, własnego regionu, a także jego wartości w kontekście wartości narodowych i ogólnoludzkich.

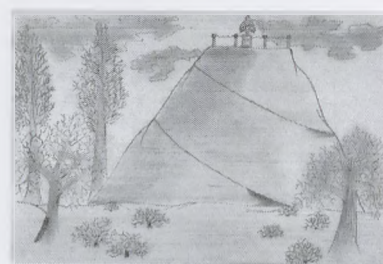
Edukację regionalną należy realizować na każdym etapie edukacji, uwzględniając metody i formy pracy dostosowane do rozwoju psychofizycznego i intelektualnego. Dziecko w młodszym wieku szkolnym wielu spraw jeszcze nie rozumie, wiele jednak może przeżywać. Radość, zachwyt, podziw, szacunek dla rodzinnych stron to przeżycia, które wpływają na ich poznanie, na podstawie coraz bogatszej już wiedzy. Pierwsze przeżycia i doświadczenia dziecięce, szczególnie o silnym zabarwieniu emocjonalnym, są najbardziej trwałe i pozostają na całe życie. Wiedza natomiast powinna uświadomić uczniowi autentyczne wartości środowiska oraz ukształtować poczucie własnej tożsamości. Regionalizm kształtuje u dzieci zdolność do obserwacji oraz te cechy, które charakteryzują osobowość twórczą, zdolną do dostrzegania, formułowania i rozwiązywania problemów. Specyficzną cechą edukacji regionalnej jest jej całościowy charakter wynikający z przeszłości i teraźniejszości „małej ojczyzny” dziecka w trosce o jej i jego przyszłość. Sytuacja społeczno-polityczna sprzyja promowaniu „małej ojczyzny”.

Regionalizm i lokalizm są szczególnie ważne w kontekście tworzenia się społeczeństwa „ogólnoswiatowego”. Teraz, gdy nasz kraj należy do Unii Europejskiej, zobowiązani jesteśmy dobrze znać tradycje i osiągnięcia naszego miasta i najbliższych okolic. Aby łączyć się z innymi na zasadzie partnerstwa i bezpieczeństwa trzeba wiedzieć o swoich wartościach i umieć się nimi dzielić.

Jolanta Gębicka, Renata Kamoda, Jolanta Koper,
nauczyciele SP 37



Natalia Tąta, VIc



Kuba Ciesielski, IVb



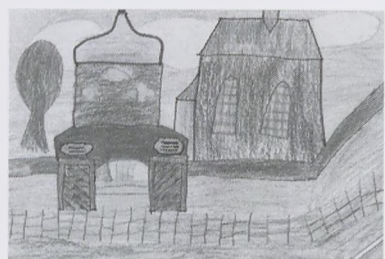
Oskar Bulawka-Wrzak, IIa



Karolina Warjan, IIa



Magdalena Ostrowska, IIa



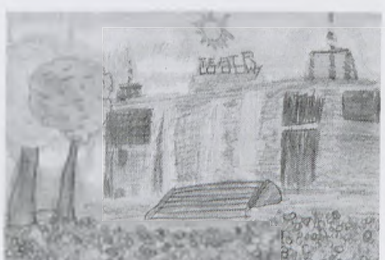
Justyna Sadowska, IIa



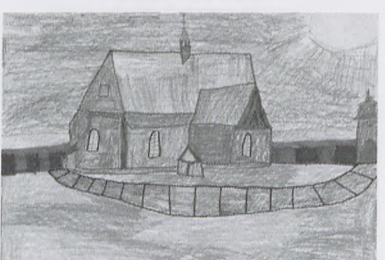
Małgosia Kukla, IIb



Damian Klimek, IIa



Sandra Mielec, IIa



Weronika Bielec, IIa



Weronika Bielec, IIa



Nikola Orechwa, Vb



Paulina Capata, Vb



Ola Rogóż, VIa



Klaudia Gajda, VIc



Agnieszka Szelaq, VIIb



Ola Klubka, VIa



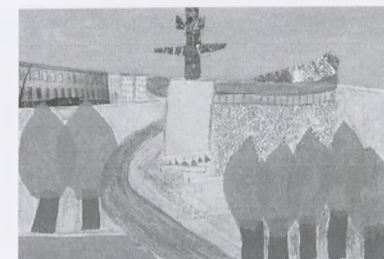
Gabrysia Haszczyńska, Va



Artur Guzik, VIc



Ola Więk, Va



Łukasz Krzuś, VIa



Grażyna Milewska, VIIb



Nicola Pawlak, Va



Paulina Dziekan, VIc



Tomasz Tataruch, VIIb



Monika Franczyk, VIc

Rysunki wykonały dzieci ze Szkoły Podstawowej Nr. 37 w Nowej Hucie

Nowa Huta – kresy Krakowa

Nowa Huta to miasto historycznych paradoksów. Swoje istnienie i tożsamość zawdzięcza Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Zarazem: niezgodzie wobec PRL. Lata 90. przeżyła nieledwie w zapomnieniu. Dziś Nowa Huta stoi przed szansą, by splot dziejów, z jakiego powstała, uczynić swoim walorem, kartą przetargową na przyszłość.

Trudno opowiedzieć jedną historię o Nowej Hucie. Jest ich tak wiele, jak miejsc, instytucji i ludzi, którzy ją tworzyli i tworzą. Nowa Huta ma historię triumfalną, w której jest coś z propagandy, ale i wiele szczerego wysiłku jej mieszkańców i budowniczych; ma historię tragiczną – znanych i nieznanych ofiar sprzeciwu wobec przemocy państwa; ma historię duchową – buntu przeciw ideologicznej opresji zadekretowanego odgórnie ateizmu w imię zachowania własnej tożsamości; historię solidarnościową – czasów pierwszej „Solidarności”, „Solidarności Walczącej”, jak i tej z 1988 roku; ma historię banalną – prozaiczności, jaka była udziałem pokoleń nowohucian (bez tej na pozór niezaangażowanej prozaiczności nie byłoby żadnej z pozostałych historii); ostatecznie ma historię ostatnich kilkunastu lat: sennych, dla wielu jej mieszkańców – upokarzających. Ma wreszcie historię swojej kultury duchowej i materialnej – na którą składają się wszystkie powyżej zarysowane. Bo Nowa Huta składa się z wielu, częstokroć z pozoru sprzecznych opowieści, które jednak z lotu ptaka da się połączyć w całość, by miasto mogło wciąż na nowo odkrywać i opisywać siebie.

Przeszłość dla przyszłości?

„Nowa Huta – najmłodsza siostra Krakowa” – taki tytuł nosi plenerowa wystawa fotografii, która 5 lipca 2007 r. ruszyła na Placu Centralnym. Nieco inna od tej, jaką pokazano kilka lat temu, z okazji 50. lecia robotniczego miasta. – Wtedy, w 1999 roku, przygotowaliśmy ekspozycję „ku pokrzepieniu serc”, bo to się Nowej Hucie w ówczesnej atmosferze należało. To były zdjęcia z okresu „triumfalnego”, który skończył się na dobrej sprawę w kwietniu 1960 roku, gdy nowohucka społeczność upomniała się o krzyż. Wtedy, mówiąc w pewnym uproszczeniu, władza ludowa obraziła się na „swoje” miasto. Nie chcemy jednak, żeby cała historia Nowej Huty kręciła się wokół tych kilku, dość już znanych obrazów-klisz – mówi Adam Gryczyński, szef Foto-Galerii w Nowohuckim Centrum Kultury. Dlatego tym razem zdecydował się wraz ze swymi współpracownikami pokazać nowohucianom, krakowianom, turystom polskim i zagranicznym proces dziejowy, kulturową tożsamość Nowej Huty, w którą zawsze – tak przez ciągłość, jak i zmianę – wpisane są ludzkie życiorysy.

Niesztampowa Nowa Huta – to zarówno panorama Obozu Służby Polsce, gdzie od lipca 1949 roku zamieszkały chłopcy z 60. Brygady Junaków; to cmentarz w Mogile, na który u początków Nowej Huty junacy chodzili z dziewczynami, bo było to jedyne suche miejsce w okolicy (przynajmniej tak to wspominał Piotr Skrzyński, dusza „Piwnicy pod Baranami” który w owych latach prowadził tam amatorskie zespoły teatralne). Mniej znana Nowa Huta – to także krzyż w opactwie Cystersów w Mogile: „Caritas sine modo” – „Miłość nie ma miary”; to obrazy dwudziestotysięcznego tłumu na pogrzebie Bogdana Włosika, ucznia III klasy technikum wieczorowego, pracownika Wydziału Walcowni Zimnej Kombinatu im. Lenina, zabitego przez funkcjonariusza SB 13 października 1982 podczas zamieszek (od wielu lat w Nowej Hucie w rocznicę tego wydarzenia odbywa się bieg memoriałowy). Nowa Huta to zarówno twarz Tadeusza Ptaszyckiego, generalnego projektanta tego miasta, jak i tragiczna sylwetka Piotra Ożańskiego, murarza, przodownika pracy, który stał się pierwowzorem Mateusza Birkuta z „Człowieka z żelaza” Andrzeja Wajdy. W ubiegłym roku imieniem Ożańskiego nazwano jeden z placów na tamtejszym, przepięknym osiedlu Willowym, co zresztą wzbudziło kontrowersje wśród części nowohucian, tych silnie związanych z „Solidarnością”. Nowa Huta to zdjęcia z obrony krzyża, które w kwietniu 1960 roku robił z ukrycia Jan Kotyza, zasłużony nowohucianin, w czasie wojny żołnierz Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich. To także niezatarty w pamięci obraz z 9 czerwca 1979, gdy nowohucianie witali Jana Pawła II u wjazdu do opactwa Cystersów i szary, grudniowy dzień 1989 roku, gdy Zmotoryzowane Oddziały Milicji Obywatelskiej pilnowały czekającego swych dni pomnika Lenina przed oblegającymi go anarchistami i hutnikami, zjednoczonymi we wspólnym czynie. To również dwuwiersz z powieści Juliana Kawałca, „Przepłyniesz rzekę”, rozpowszechniony później przez Adama Ważyka w „Poemacie dla dorosłych”: „Nie jedź bracie do Nowej Huty, bo po drodze skradną ci buty”. I płonący komisariat na osiedlu Złota Jasień – regularnie, przez kilka lat, w każdą rocznicę 13 grudnia – bo hutnicy, ludzie o twardych rękach i mięśniach dyskutowali z ówczesną władzą trochę inaczej, niż inteligencki Kraków.

Nowa Huta to awangardowy Teatr Ludowy, powstały w 1955 roku, ale również Teatr Łąnia Nowa, który przeniósł się tu z krakowskiego Kazimierza w 2004 roku. Nowa Huta – dotychczas zdecydowanie bardziej za

Polski Ludowej, niż za III RP – to świetna infrastruktura kulturalna, z pięknymi, a dziś nieczynnymi kinami „Świt” i „Światowid”. Nowa Huta – to także Radwanowice, w których ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski rozłożył troskę nad niepełnosprawnymi. To Hospicjum św. Łazarza i mniej znane „Towarzystwo Solidarnej Pomocy”: inicjatywa prowadzona przez społecznika, Kazimierza Fugla, pozwalająca korzystać ludziom chorym i ubogim z koniecznego dla nich, a bardzo drogiego sprzętu rehabilitacyjnego; inicjatywa obejmująca swym zasięgiem nie tylko Małopolskę. Nowa Huta to monumentalne Centrum Administracyjne, tzw. „nowohucki Watykan” czy też „Pałac Dozów”. Nie mniej niż kominy kombinatu metalurgicznego, który zatrudniał niegdyś około 40 tys. ludzi. Nowa Huta to także liczący stulecia kopiec Wandy, jeden z czterech krakowskich „kopców narodowych”, który towarzysze radzieccy chcieli niegdyś przesunąć o 150 metrów, bo utrudniał przeprowadzenie industrialnego projektu. Szczęściem, udało się im to wyperswadować.

Nowa Huta – to przydrożne, niejednokrotnie podniszczone kapliczki, z których najstarsza pochodzi z XVIII w. Wciąż modlą się przy nich ludzie, gdy przychodzi czas nabożeństw majowych. Nowa Huta to piękna, socrealistyczna (nawiązująca stylem do renesansu) zabudowa Alei Róż. Nowa Huta: filmy w reżyserii Jerzego Ridana, autora książki „Krzyż Nowohucki – dzieje walk o wiarę i wolność”, „Lenin z Nowej Huty”, „Róg Marksa i Obrońców Krzyża”. I ostatecznie, Nowa Huta to także zabytki, które objęła swoim zasięgiem, rozbudowując się: Dworek Matejki w Krzesławicach, gotycki kościół obronny w Ruszcu, klasycystyczny pałacyk Badenich w Wadowie. Tak, w czasie i przestrzeni to miasto mieści w sobie wiele miejsc, symboli i zdarzeń, które czynią je żywym i godnym uwagi.

Wyrwać się ze snu

Dziś od samych nowohucian zależy, czym będzie ich miasto, położone tak blisko jednej z najznacniejszych kulturalnych wizytówek Polski, czyli Krakowa. – Nowej Huty nikt nie może zawłaszczyć dla siebie. Ludzie, ze swoim życiem, obyczajami, przekorą, buntem, rozsadzają ramy wszelkich stereotypów i schematów. To dobrze widać, gdy ktoś zechce przyjrzeć się bacznie temu miejscu. Tym bardziej żenujące są próby opowiadania o niej jako o zlepku podejrzanych blokowisk, a to wciąż się zdarza – mówi Adam Gryczyński.

Ale w Nowej Hucie wciąż dają o sobie znać konsekwencje pierwszych lat po transformacji i wielu traumatycznych wydarzeń, które były udziałem miasta od czasu jego powstania. – Huta przez ostatnich kilkanaście lat przeżyła atmosferę lumpeksu, bo na dobrą sprawę nic innego tu nie powstawało. Ludziom udzieliła się ta atmosfera, tym bardziej, że wielu z nich boleśnie odczuło na własnej skórze problemy transformacji, a kłopoty całego miasta odcisnęły na nich swe piętno – opowiada Maciej Twaróg, nowohucianin z urodzenia, niegdyś krakowski radny, dziś nade wszystko społecznik, troszczący się o rozwój swego miasta, współtwórca Towarzystwa Miłośników i Rozwoju Nowej Huty. To m. in. z jego inicjatywy kilka lat temu ruszył w Alei Róż Nowohucki Maraton Filmowy, a także święto Kopca Wandy – imprezy, które wpisały się już na stałe w kulturalną mapę Krakowa. Blisko rok temu Twaróg wraz z przyjacielem, Pawłem Derlatką, założył na osiedlu Uroczym „1949 Club”, nowoczesny obiekt z dużą powierzchnią galeryjną i salą filmową w podziemiu. Ale takich miejsc jest wciąż zbyt mało. – Niech pan spojrzy wokół, za dużo tu szarości, nie taka była przed laty Nowa Huta – wyznaje z żalem, po cichu Stanisław Gawliński, uznany fotoreporter, od 1956 roku współpracownik tygodnika „Głos Nowej Huty” (ukazującego się do dziś), którego zdjęcia opisujące ważne nowohuckie wydarzenia można przez wakacje oglądać w „1949 Club”.

Przez dziesięciolecie miasto żyło z Kombinatu im. Lenina – takie były realia i wymogi ustrojowe. Ale na przełomie lat 70/80 ubiegłego wieku zaczął się kryzys finansowy. Kombinatu coraz trudniej było łożyć na różnorakie inicjatywy, gwarantujące istnienie i rozwój infrastruktury kulturalnej. Nie poddawano się łatwo, powstało Stowarzyszenie Ratowania Kultury w Nowej Hucie i Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury. Ale pieniędzy było coraz mniej, coraz więcej goryczy w ludziach, którzy czuli się niepotrzebni. Wielu, rozdartych między starym a nowym, wycofywało się w życie prywatne. Także dlatego, że rosło w Nowej Hucie bezrobocie. A zmiana ustrojowa, choć zaczęła się tam pompatycznie, od rozbioru pomnika Wodza Rewolucji Październikowej, to w tym symbolicznym wysiłku jakby wyczerpała na lata swój potencjał. Nowohucki Lenin z Alei Róż, nazywany „Leninem kroczącym”, zamontowany tam w 1973 roku, w grudniu 1989 r., mimo panujących mrozów, odbył podróż do wojskowego fortu we Wróblowicach. Trzy lata później statuetkę kupił Szwed z branży rozrywkowej, Big Bengt Erlandsson i umieścił w jednym z wesołych miasteczek w swej ojczyźnie. Trochę wcześniej, 4 maja 1990 roku Kombinat im. Lenina zmienił nazwę – stał się Hutą im. Tadeusza Sendzimira.

Gdy przyszedł czas przekształceń ustrojowych, z mapy kombinatu jako jedna z pierwszych zniknęła walcownia „Zgniatacz”, czyli jeden z najcięższych, ale i najmniej rentownych wydziałów huty. To miejsce symboliczne:

tam rozpoczęły się strajki w Kombinacie we wrześniu 1980 roku, tam rodziła się małopolska „Solidarność”. Kombinat wziął rozbrat z miastem (dziś należy do międzynarodowego koncernu Mittal) i Nowa Huta musiała zacząć radzić sobie sama. Nad robotniczym miastem, rozciągniętym na obszarze blisko 250 kilometrów kwadratowych i liczącym około 250 tys. mieszkańców, spuszczone zostało milczenie. Jakby wraz z Polską Ludową miał skończyć się jego czas. Ale czy to możliwe?

– Na Nową Hutę można patrzeć okiem historyka, socjologa, psychologa społecznego. Albo artysty-fotografika. Tak właśnie patrzę i dlatego moja optyka jest troszkę inna, niż zwykłego zjadacza chleba. Widzę tu pewną ciągłość, nieprzebrzmiałe symbole i obrazy, które wracają przez lata, które wciąż można interpretować na nowo, szukać ich sensu. W tym też upatruję szanse dla Nowej Huty. W latach 50., 60. przyjeżdżali tu gromadnie rozmaici ludzie; innych, tych z przed-nowohuckich przysiółków i wiosek, dopadła tu wielka historia. Współ stworzyli oryginalną społeczność, stworzyli ją na dobre i złe. Dlatego sądzę, że Nowa Huta przez całe lata będzie kopalnią interesujących tematów dla filmowców, artystów, fotografików, dziennikarzy – uważa szef Foto-Galerii w Nowohuckim Centrum Kultury.

Kultura i sport

Przed kilku laty Nowa Huta doczekała się własnej filii Muzeum Historycznego, gdzie pielęgnuje się nowohuckie tradycje. Niewykluczone, że niebawem w zaniedbanym przez lata kinie „Światowid” powstanie Muzeum Historii Polski. Odrestaurowany ma zostać także obiekt, który zajmowało kino „Świt”. Istnieje pomysł, by starą część Nowej Huty wpisać na listę pomników historii (wymaga to zgody prezydenta Rzeczypospolitej). Od jakiegoś czasu odnawiane są nowohuckie osiedla, obleczone przez dziesięciolecia szarością. W nowohuckim Parku Lotników powstaje park edukacyjny dla dzieci i młodzieży. Wszystko to dzieje się powoli – problemem są pieniądze. Oprócz Nowohuckiego Centrum Kultury w Nowej Hucie działa także Dom Kultury im. Cypriana Kamila Norwida i związane z nim kino studyjne „Sfinks”, dla którego Jerzy Ridan z inicjatywy Stanisława Gawlińskiego od dłuższego czasu wraz z grupą młodych dziennikarzy przygotowuje „Nowohucką Kronikę Filmową”, emitowaną także przez regionalny, krakowski ośrodek TVP. Na przełomie sierpnia i września ruszy w Alei Róż IV edycja Nowohuckiego Maratonu Filmowego, we wrześniu – III edycja święta Kopca Wandy. Na walcowni, w kombinacie, po raz ostatni przed rozbiórką hali odbędzie się kolejna edycja słynnego Festiwalu „Sacrum-Profanum”. – Co ważne, także poszczególne dzielnice zaczęły organizować swoje imprezy, coraz bardziej urozmaicone, a co jeszcze ważniejsze – mieszkańcy Nowej Huty, przez lata przywykli do marazmu, zaczynają się z nimi identyfikować; wiedzą, że to jest dla nich, dla ich dzieci i wnuków – mówi Maciej Twaróg.

Do prowadzonego przez niego „1949 Club”, miejsca bez alkoholu i papierosa, przychodzą coraz nowi klienci, są już stali bywalcy. Choć są i tacy, co zaglądają tylko po to, by powiedzieć z kwaśną miną, że to bez sensu. – W „1949 Club” promujemy modę na Nową Hutę: ciuchy z nowohuckim logo, filmy o Nowej Hucie, wycieczki rowerowe po mieście. Ale nie chcemy się w tym zamykać; Nowa Huta nie może zamknąć się w samej sobie, ani w martyrologii, ani w soclandzie, na którym niektórzy tu zarabiają, oferując zagranicznym turystom obraz Nowej Huty jak z serialu „Alternatywy 4”, obficie polany alkoholem. Nam taki obraz stanowczo nie odpowiada. Marzy mi się w też Nowej Hucie klub muzyczny z prawdziwego zdarzenia, z muzyką na żywo, kabaretem, dobrym jedzeniem i alkoholem, żeby ludzie nie uciekali stąd na Kazimierz, nie traktowali Huty jak sypialni. Mam już miejsce na osiedlu Willowym, na placu Ożańskiego, zobaczymy, co z tego będzie – opowiada. Póki co planuje wydać zbiór komiksów o Nowej Hucie w rocznicę śmierci Bogdana Włosika, w ramach programu „Patriotyzm jutra” – „Dzieje Nowej Huty komiksem skreślone”. Autorem jednego z nich, „1478 dni w Nowej Hucie” jest Marian Stachniuk, odznaczony niedawno przez prezydenta Polski Krzyżem Orderu Odrodzenia Polski, w latach 80. działacz „Solidarności Walczącej”. Stachniuk zajmował się wydawaniem, kolportażem ulotek, druków „SW”, wpadł w głośniejszą sprawę „terrorystów krakowskich”, dostał wilczy bilet do pracy, wyjechał za granicę, po latach wrócił do kraju. Jego komiks, nigdy dotąd oficjalnie nie wydany, opowiada historię Nowej Huty między grudniem 1981 a grudniem 1985.

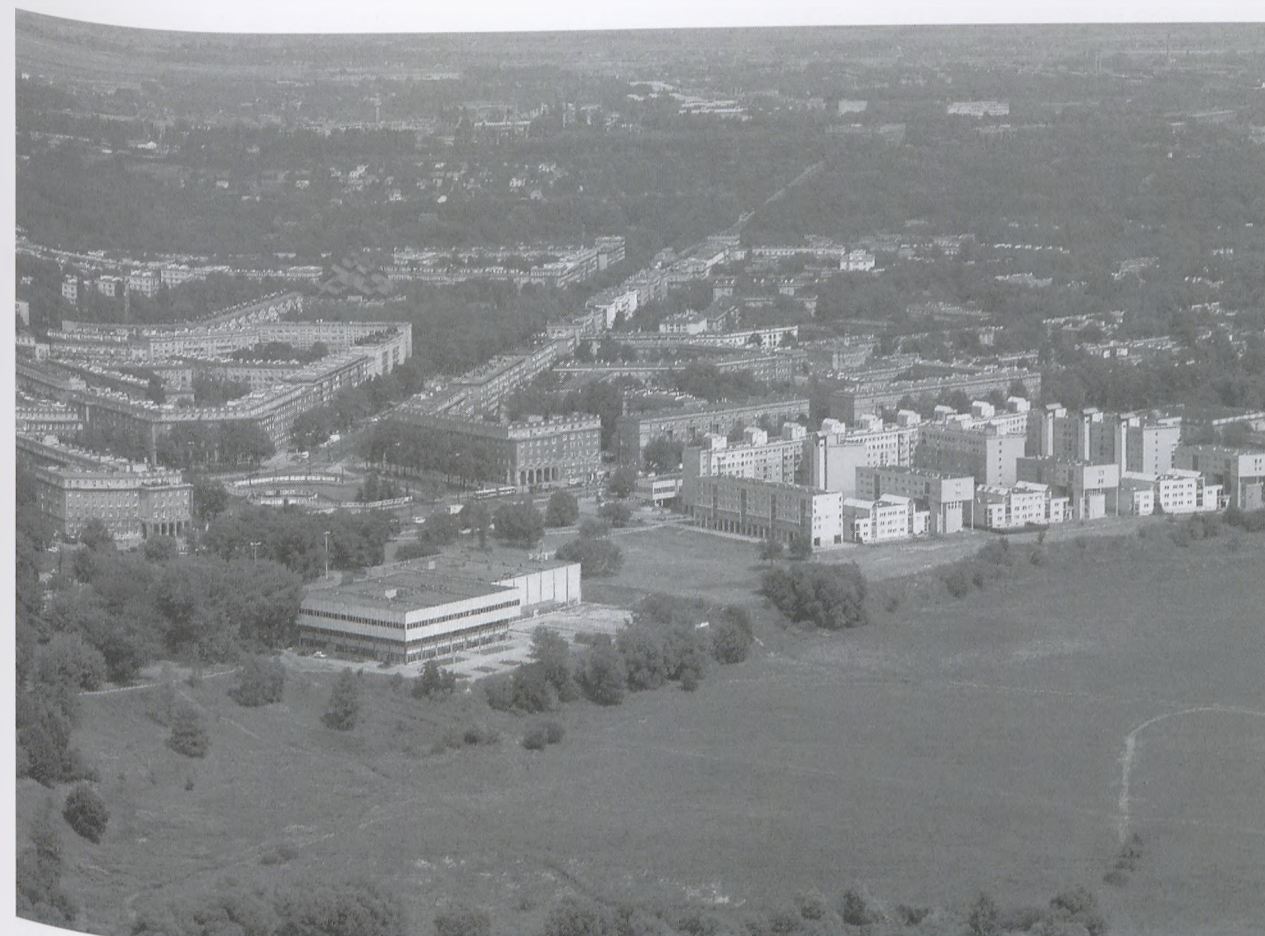
Paweł Derlatka, nowohucianin z urodzenia, rocznik 1980, z uwagą przygląda się stanowi nowohuckiej infrastruktury sportowej, szczególnie ważnej, by młodzi nie musieli spędzać czasu beczynnie na przyosiedlowych ławkach. Paweł jest miłośnikiem gór i wspinaczki wysokogórskiej. Zaczynał jeszcze w podstawówce i liceum. Parę lat temu, we francuskich Alpach spotkał podobnych sobie pasjonatów ze Śląska. Wspólnie wpadli na pomysł, by w Nowej Hucie zorganizować duże centrum wspinaczkowe. – W 2005 roku przygotowaliśmy merytoryczny projekt obiektu, wraz z jego wizualizacją. Uzyskaliśmy znaczną pomoc od nowohuckiego Klubu Sportowego „Hutnik” i prezydenta Krakowa, Jacka Majchrowskiego. W tym roku, kilka miesięcy temu, obiekt

został oddany do użytku – opowiada Derlatka. Jednak, jak zaznacza, wiele jeszcze jest do zrobienia, bo mnóstwo obiektów powstałych w minionych dziesięcioleciach niszczy, a nowe, nader oryginalne inicjatywy (nowohucka drużyna rugby i zespół futbolu amerykańskiego) toczą prawdziwe boje o miejsce dla siebie.

Wieczorem Plac Centralny i Aleja Róż przypominają rynek małego miasteczka. Nie dlatego, że takie zapyziało, bo przecież wszystko tu monumentalne – raczej swoim spokojem i gościnnością. Młodzi rzucają piłką, grają w hokeja na wrotkach, surfują na deskach. Małe dzieci pod czujnym okiem mam i babć jeżdżą na rowerkach. Na ławeczkach plotkują starsze panie i panowie; spędzają czas bez pośpiechu, statecznie, godnie – wszak to ich miejsce, ich dom. W ogródku restauracji „Stylowa”, w której od 1953 roku podaje się kawę po turecku w szklankach, zadumał się nad kuflem piwa pijaczek. Nie wadzi nikomu. I on jest tu u siebie. W miejscu, gdzie stał towarzysz Lenin, rosną róże. Myślę sobie, że przecież warto było go tu kiedyś postawić, wybudować cokół, dla tych dzisiejszych, pięknie kwitnących krzaków róż. Placem Centralnym przejeżdża tramwaj, wspina się lekkim wzniesieniem ku Centrum Administracyjnemu Nowej Huty. Myślę, jak wyglądały te ulice dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści lat temu... Jak się zmieniały, jak szli po nich robotnicy – do pracy, do buntu. Jak wracali – zwycięzcy. Jak wracali – zmęczeni robotą. Jak cofali się pod siłą armatek wodnych. Jak wracali do domów po zwolnieniach z lat 90. Jak miasto śpiewało: „O Nowej to Hucie piosenka” i jak śpiewało „Boże coś Polskę”. Jak milczało, pozostawione sobie. Myślę o szarości, jaka się tu załęgła i o tym, że nie jest ona wieczna. Wieczne są nowohuckie róże: drobniotki, drogocenny klejnot w oprawie gmachów wzniesionych nieznaną mi ręką.

Krzysztof Wołodźko,

Artykuł ukazał się pierwotnie na łamach polonijnego pisma „Kurier Galicyjski”, nr 2 (44) z 31 sierpnia 2007 r.



Okolice Placu Centralnego w Nowej Hucie z lotu ptaka, 2007 r., fot. Jan Zych

Byt określa nieświadomość

Trzymam przed sobą album „Czas Zatrzymany”, poświęcony nieistniejącym już wsiom, na terenie których zbudowano Nową Hutę.

Opublikowane w nim zdjęcia dokumentują czas i miejsca, do których nieliczni mogą powrócić pamięcią. Większość musi zdać się na cudze wspomnienia, którym może zaufać, odrzucić lub zignorować.

Budowa Nowej Huty była nagłym a nieodwracalnym wydarzeniem, które zastana, oswojoną rzeczywistość zmieniło w raz na zawsze zakończoną historię. Można to potraktować jako triumf materii nad duchem: ciężki sprzęt budowlany, tony cegieł, zaprawy murarskiej i metalowych konstrukcji zrównały z ziemią, wgniotły w glebę nie tylko wiejskie chaty, zabudowania gospodarcze, żyzne zagony, polne drogi, po których chłopci szli z procesjami – ale i właściwą im kulturę.

Gdy już powstały wielopiętrowe, wcale wygodne i komfortowe jak na tamte czasy domy, gdy hutnicze kominy przesyciły powietrze dymem i pyłem, gdy po chodnikach wielkiego miasta zaczęły maszerować ludzkie tłumy dopiero co przemianowane na proletariuszy (bo większość nowohucian w pierwszym pokoleniu wywodziło się z małych miasteczek i wsi niedawno powstałej Polski Ludowej) – tamto, minione, zepchnięto głęboko w niepamięć. Byt określił granice tego, czego warto było być świadomym i tego, o czym nie należało już wspominać (bo i po co?). Tak też byt określił nieświadomość. Proletariuszom potrzebny był kombinat hutniczo-metalurgiczny, kombinatowi – proletariusze. Młodemu ludziom i społecznościom często wydaje się, że nie wiele im potrzeba do szczęścia.

Cały ten proces, w wyniku którego powstała Nowa Huta, można tłumaczyć sobie politycznie, jak się to zwykle czyni. Chciałbym go jednak potraktować w kategoriach modernizacji, owszem, motywowanej z pozycji ideologicznych, ale przecież – modernizacji. Modernizacja zaś równa się Postępowi, fetyszowi nowożytnej Europy. Spotkanie z Postępem nie należy do szczęśliwych dla tych, którym nie jest dane stać się jego beneficjentami. Jedni są zbyt krnąbrni, inni zbyt słabi czy po prostu zbędni, by móc cokolwiek zaoferować w zamian za dobrodziejstwa Postępu. Tu krótka dygresja: spytajcie pogrobowców po PGR-ach, dlaczego zajmują teraz takie a nie inne miejsce w hierarchii społecznej – odpowiedzą, że czują się niepotrzebni. Spytajcie ludzi, którym nie wypłaca się i tak nędznej pensji w terminie – odpowiedzą, że nie mają siły i możliwości się przeciwstawić. A Postęp chcąc nie chcąc przytaknie, tłumacząc obłudnie, że przecież mogli się przekwalifikować, wyjechać, wykazać się większą przedsiębiorczością i przebojowością. Ale widać są zbyt leniwi, by to uczynić. Zbyt roszczeniowi. I że nie ma szans na ich reedukację...

Gdy zatem u zarania Polski Ludowej komuniści, wierzący w swoją dziejową misję doprowadzenia Postępu do bezpiecznej przystani Końca Historii, podjęli się wybudowania Nowej Huty, nie czynili tego tylko po to, by pognać politycznie nie lubiany przez siebie, inteligentni i reakcyjni Kraków. Oni naprawdę wierzyli, że idą ręką w rękę z nauką i jedynie słuszną doktryną marksizmu-leninizmu, która da odpowiedź na wszystkie bóle ludzkości (tym się różnili od większości znanych nam przedstawicieli nomenklatury Polski Ludowej, których historycy IPN-u z perwersyjnym upodobaniem określają mianem „komunistów”). Dlatego też te masy z czarnej ziemi za paznokciami, wyśpiewujące przy drodze litanie do figur Chrystusa, Maryi i wszystkich świętych, w pocie czoła pracujące na roli lub w małych, prywatnych warsztatach pracy, trzeba było przerobić na przodującą klasę robotniczą (a jak się nie da: to zetrzeć w proch). Nie dla hecy Tadeusz Kroński pisał do Czesława Miłosza zimą 1948 roku: „sowieckimi kolbami nauczymy ludzi w tym kraju myśleć racjonalnie bez alienacji”.

Gdy oglądam album „Czas Zatrzymany”, myślę nie tylko o ludziach pokazanych na zdjęciach. Mimowolnie wspominam tych, którzy „tu i teraz” stają się ofiarami Postępu i Modernizacji: koniecznymi, wliczonymi w koszt. W zafundowanym nam stosunkowo niedawno porządku społeczno-politycznym o Postępie nie opowiada się z tym gniewnym patosem, z jakim czynili to marksiści. Postęp a la kapitalizm potrafi śmiać się sam z siebie, ale to nie on, lecz my pękniemy z rozpuku od tego chichotu, Postęp a la kapitalizm w szatkach III Rzeczypospolitej nie kusi człowieka mianem przodownika pracy, budowniczego Polski Ludowej, wczasami w Bułgarii, talonem na malucha, nie czyni tego lub owego tajnym współpracownikiem, pracownikiem Służby Bezpieczeństwa, aparaczką, ale rzadko też stwarza okazję, by wykazać się przed bliźnimi heroizmem cnot. Nie budzi w narodzie tego ducha oporu, jaki natchnął działaczy „Solidarności”, krytycznie spoglądających na stetryczala, zamieniony we własną karykaturę Postęp schyłkowego PRL-u.

Ale nadal skutecznie rozbija rodziny, gnoi ludzi, oddala od siebie najbliższych, całe społeczności wysyła na śmietnik historii (może mniej śmierdzący, ale równie beznadziejny), wciąż tumani i przestrasza. I niespecjalnie

wiadomo, co zrobić z tym fantem, że ludzie uzależniają się od używek, a społeczeństwa – od Postępu. A jeśli który naród w ogóle ma słabą głowę wskutek nadmiaru dziejowych zawirowań – w tym gorsze może wpaść tarapaty.

Czy jednak ktoś, kto opowiada się po stronie lewicy, może tak gwałtownie kontestować Postęp? Tak – bo jeśli lewicowość zakłada sceptycyzm wobec wszelkich dogmatów, to także wobec tych, które produkuje nowoczesność. Poza tym: postęp rozumiany jako bezustanny ruch do przodu, ciągła, bezrefleksyjna modernizacja w imię zbyt wąsko pojętego dobrobytu, nie jest wartością bezwzględną. Kultura i modernizacja/postęp to nie są pojęcia tożsame, równoznaczne, widzimy to na własne oczy. Dlatego pamięć o cudzym, innym od naszego a przecież nie mniej szczęśliwym życiu może być skuteczną odtrutką na iluzje Postępu.

Poza tym pamięć o innym od naszego świecie, który jednak ludzie dla nas ważni uznawali za cenny, ratuje przed krótkowzrocznością i skupieniem na sobie. Bo coraz częściej byt określa naszą nieświadomość: jest coraz więcej rzeczy, których nie wiemy, nie pojmujemy, które nam umykają, gdy poddajemy się perswazji środków masowego przekazu. Kto zatem nie chce wpaść w sidła ignorancji i arogancji, wiernych sług Postępu, niech ogląda stare zdjęcia i czyta książki o ludziach, kulturach, epokach innych od naszej.

Krzysztof Wołodźko

Felieton opublikowany pierwotnie na internetowej stronie magazynu OBYWATEL
(www.obywatel.org.pl), 20 I 2007 r.



Zdjęcia z albumu „Czas zatrzymany” na wystawie „Nowa Huta – najmłodsza siostra Krakowa”, Plac Centralny, 2007 r.

FOTOGRAFIE



Na zdjęciu przedstawiającym gości weselnych udało mi się zidentyfikować kilka osób. I tak w górnym rzędzie od lewej: druga – siostra dziadka – ciotka Waleria Zaczynska, następnie stoją p. Dyniowie. Ten wysoki jegomość, który stoi tuż za moim dziadkiem a w ręku trzyma kapelusz – to oczywiście nasz sąsiad, Kazimierz Makula. W górnym rzędzie pierwsi z prawej stoją prawdopodobnie sąsiedzi – Jacenty Rusinek z żoną. Natomiast w grupie osób siedzących – druga z lewej to sąsiadka Małgorzata Sawicka a obok niej prababcia Marianna Cyganik. Druhną na tym weselu była Maria Rusinek, także sąsiadka. To na jej ramieniu trzyma rękę stojący za nią nierozpoznany druhna. Maria Rusinek wkrótce została żoną Antoniego Cyganika, brata dziadka. W centrum siedzą młodzi – Magdalena i Wincenty. Po prawej stronie od pana młodego siedzi pradziadek Walenty Cyganik a obok niego druga siostra dziadka Rozalia Bisztygowa. W grupie osób siedzących na ziemi rozpoznano muzykantów: z harmonią Feliks Makula z Mogiły a ze skrzypcami szewc mogiński p. Skiba. Ci dwaj mali chłopcy, to Władysław i Tadeusz Bisztygowie, kuzyni mojego taty. A obok nich siedzi kolejna sąsiadka, prawdopodobnie Walentyna Lendowa, bo to ona była świadkiem ślubu kościelnego.



Wesele w Mogile, które odbyło 90 lat temu było skromne i było zapewne jednym z wielu podobnych. Para młoda: Magdalena Janczurówna i Wincenty Cyganik znali się jeszcze sprzed I wojny. Moi pradiadkowie: Marianna i Walenty przybyli w te okolice z Rybnej (na zachód od Krakowa) jeszcze przed wybuchem wojny a mój pradziadek przyjechał tutaj szukać pracy. Był stolarzem. Wiem, że mieszkali jakiś czas w Pleszowie ale także wynajmowali małe domki w Mogile, pod kopcem. Stąd też wyruszyli na wojnę czterech synowie a po powrocie z niej, dwóch z nich wzięło sobie za żony mieszkanki Mogiły.

Waldemar Cyganik

Moi dziadkowie – pobrali się 3 sierpnia 1918 roku. Ślub odbył się w kościele parafialnym w Mogile. Dziadek Wincenty właśnie wrócił z wojny, która przecież ciągle trwała. Po ranach odniesionych pod Charkowem i po pobycie w szpitalach został zwolniony ze służby. Babcia Magdalena była rodowitą mogiлянką, po kądzieli spokrewnioną z Lendami. Zdjęcie wykonano na tle starego domu babci.



Kolejne zdjęcie z tego samego czasu, zostało zrobione także gdzieś obok starego domu babci. Pradiadkowie mieszkali w Mogile po sąsiedzku, a kto wie czy nie mieszkala wówczas z nimi ciotka Rozalia z synami, bo jej mąż nie wrócił jeszcze z wojny. Od lewej Marianna Cyganik, dwaj chłopcy to Władysław i Tadeusz Bisztygowie (na tym zdjęciu z mamą i dziadkami), za nimi stoi ich mama Rozalia Cyganik-Bisztygowa, a pierwszy z prawej siedzi Walenty Cyganik. Zdjęcie wykonano w maju 1917 lub 1918 r. w Mogile.



Inne zdjęcie, być może jeszcze starsze przedstawia prababcie Mariannę Cyganik, która pochodziła z Kamienia obok Rybnej



W warsztacie stolarskim Wincentego Cyganika (stoi po prawej) w Mogile, ok. 1933 r. Z lewej Antoni Cyganik, w środku Walenty Rosolek



To zdjęcie z 1925 r. zostało wykonane w dniu ślubu mojej ciotki Julii Styczeńowej z Andrzejem Białkowskim w. na Kopańcu w Mogile, na zapleczu domu rodzinnego Styczeńów. Są tam moi najbliżsi: mama Lucja jako dróżka (z lewej strony), dziadkowie, ciotki i wujostwo oraz znajomi. Patrząc na to zdjęcie przypominam sobie chwile z dzieciństwa, gdy rodzice wysyłali mnie z siostrą na wakacje do rodziny Styczeńów w Mogile lub do rodziny Białkowskich w Łęgu. Przed domem naszych dziadków w Mogile był wtedy jeszcze staw, a obok niego odbywały się spotkania okolicznych mieszkańców w strojach regionalnych. Do Mogiły chodziliśmy wtedy wałem (ok. 6 km) z Osiedla Oficerskiego, a po drodze zbieraliśmy kwiaty, zioła i rozkoszowali się nieskażoną przyrodą. Woda była tak czysta, że w małym strumyku tzw. Krzypocie wpływającym do Wisły koło Łasku Łęgowskiego były ryby, które można było łowić zagarniając je „ducką” czyli koszem. W tym Łasku hitlerowcy pod koniec wojny w czasie ucieczki pozostawili 2 tankietki, które potem okoliczni mieszkańcy porozbierali na części. Będąc w Łęgu chodziliśmy po żniwach po ściernisku i na bosaka zbieraliśmy „kluska” – bo była wtedy bieda. Przypominam sobie, że jeździliśmy też pociągiem. Wsiadaliśmy na Dąbku, a pociąg przejeżdżał koło młyna na Wieczystej. Wsiadaliśmy potem na stacji w Czyżynach lub w Mogile koło Staszyszyna, a resztę drogi pokonywaliśmy już pieszo. Braliśmy też udział w pielgrzymkach do Klasztoru O.O. Cystersów w Mogile. Młynówkę płynącą przy drodze obok muru okalającego teren klasztoru dawno już zasypano. Miło jest przypomnieć sobie te czasy młodości, spotkania z rodziną i znajomymi. Wiele z nich niestety odeszło już na zawsze. Po wielu latach doceniamy jednak tamtą wspólną atmosferę i wciąż pamiętamy o najbliższych. Na cmentarzu w Mogile pochowana jest rodzina Styczeńów: moi pradiadkowie i dziadkowie. Nostalgiczne wspomnienia rodzą refleksję, że nie ma już tak silnej więzi rodzinnej jak dawniej. To są już zupełnie inne czasy, ale czy lepsze? Zachłystując się nowinkami i zdobyczami współczesnej cywilizacji rzadko zastanawiamy się, co tak naprawdę utraciliśmy. A brakuje nam nie tylko czystego powietrza, czystej ziemi i czystej wody, ale przede wszystkim DUCHA. Szkoda, że Polak, jak zwykle, mądry po szkodzie.

Tadeusz Tracz



Przeprawa przez Wisłę. Przewoźnik – Józef Sawicki, lata 30. XX w.



Pierwsza z prawej Zofia Sawicka z d. Styczeń, Mogiła 1926 r.



Maria Sawicka



Maria z d. Sawicka i Józef Węgiel, lata 30. XX w.



Maria i Józef Węgiel



Helena z d. Styczeń i Władysław Krupa



Zofia z d. Styczeń i Józef Sawicki, 1934 r.



Wesele u Sawickich, Mogiła, 1934 r.



Kazimierz Gwóźdź, Józef Sawicki (jun.), Józef Sawicki



Apolonia z d. Hora i Franciszek Dyniowie z dziećmi, Mogiła, 1917 r.



Apolonia i Franciszek Dyniowie, lata 30. XX w.



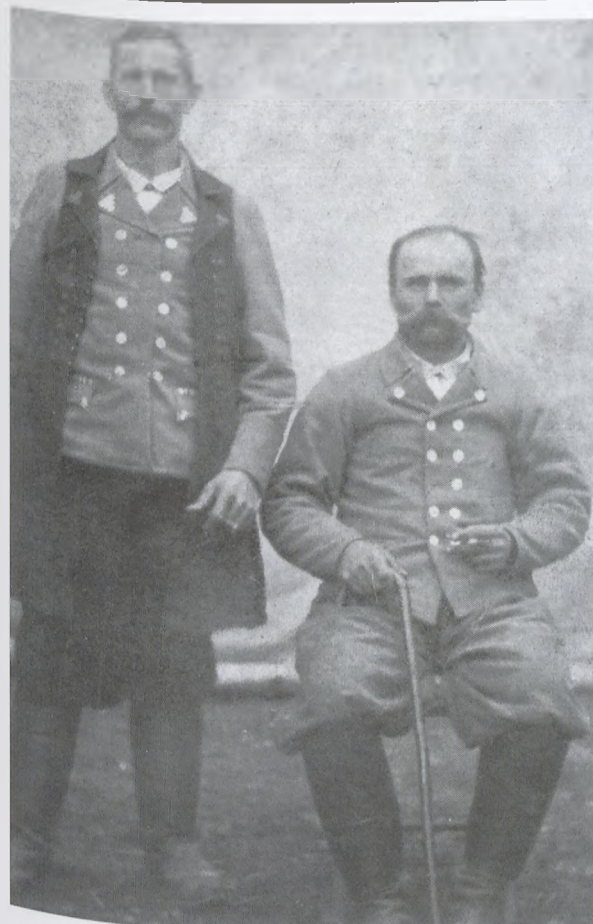
Romuald Dynia (1902-1925)



Janina Kapińska, 1925 r.



Aniela Dyniówna, 1911 r.



Z prawej Jan Kasznik (1862-1924) z kolegą, Mogiła, ok. 1920 r.



O. Celestyn Grzesiak, Cysters z Mogiły, lata 90. XIX w.

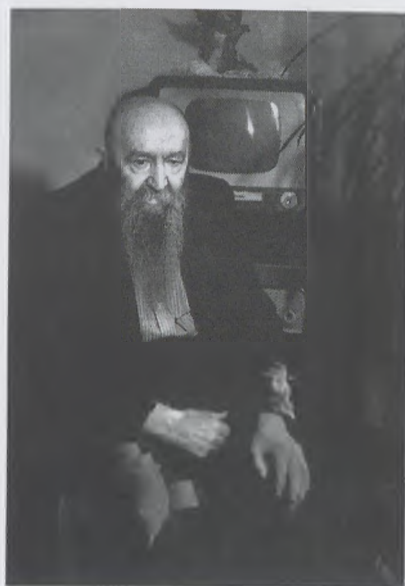


Wesele Stanisławy Kołodziejczyk i Henryka Kucharczyka, Mogiła, ok. 1950 r.





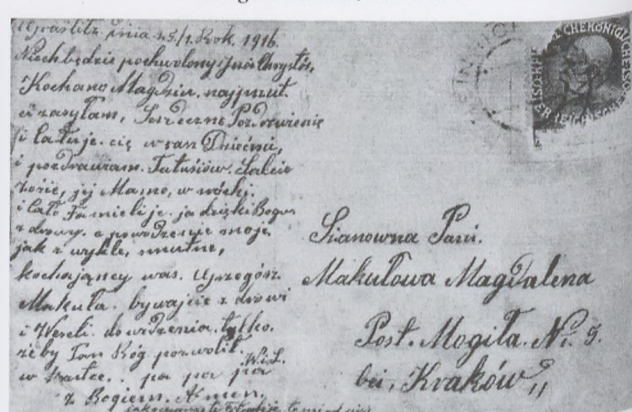
Magdalena Makulowa z d. Wach z Mogiły (24.04.1893-1.07.1984), żona Grzegorza. Mama jedenaściorga dzieci. Na zdjęciu występuje z pierworodnym synkiem Władziem (4 l.) i półtoraroczną Lucią (Ludwiką). Fotografia ta (z początku 1916 r.) została wysłana do męża, który walczył wówczas na froncie. O widocznym tu synku zachowano wspomnienie jak pocieszał swoją mamusię, gdy ta siedziała zmartwiona i zmęczona ciężką pracą w polu. Podszedł wtedy do niej, ucałował ją i powiedział: „Nie martw się mamusiu, jak dorosnę to nie będziesz już musiała tak ciężko pracować.” Zmarł jednak mając zaledwie 7 czy 8 lat



Dr. Kazimierz Wach (1886-1970). Były zesłaniec na Sybir, Bielsko-Biała, 1967 r.



Grzegorz Makula, ok. 1916 r.



List Grzegorza Makuli do żony z dn. 25 stycznia 1916 r.



Dr. Kazimierz Wach pochodził z chłopskiej rodziny z Mogiły, brat Magdaleny. Główny sędzia miasta Bielska-Białej w okresie dwudziestolecia międzywojennego



Ks. Józef Zastawniak z mężczyznami z Mogiły, tyłu stoi Franciszek Sawicki, lata 30. XX w.



Obsada aktorska spektaklu „Damy i huzary” z Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej i Żeńskiej, Mogiła, 23 maja 1937 r. Z prawej siedzi Katarzyna Sawicka, za nią Apolonia Marcinek, ze strzelbą Władysław Stelmachowski i in.



Katarzyna z d. Sawicka i Władysław Stelmachowski, 1938 r.



Wesele Rozalii z d. Socha i Piotra Majewskiego. Starostowie: Katarzyna i Władysław Stelmachowski, po prawej grajek Antoni Sawicki, z lewej Franciszek Wach. Zdjęcie wykonano przed tzw. domem pańskim” który znajdował się za murem klasztornym, tam gdzie obecnie jest parking, Mogiła, 1941 lub 42 r.



II klasa Szkoły Powszechnej im. Królowy Wandy w Mogiła, 1934-35 r. I rzęd od lewej: Ludwika Gwóźdź, ? (z Kępy), Anna Bochenek, Zofia Sadowska, Anna Mars, ?, Janina Baranik, Romańska (w mundurku), córka kierownika szkoły, Julia Malina, Zofia Kasznik, Zofia Mars, Helena Masier, Maria Buła, Józefa Kwiecień, Janina Wolko, II rzęd: Jakub Wójcik, Olek Mikołajczyk, ? (z Kępy), ?, Wąsikowski, Kazimierz Jarosz, ?, Bartłomiej Marcinek, nauczycielka - „Bera” Figberg, Golonek, Kazimierz Zemla, Szabelski, Kazimierz Makula, ?, Zofia Zamojska, III rzęd: Tadeusz Kołodziejczyk, ?, ?, Jakub Gwóźdź, Stanisław Rusinek, Jan Mikołajczyk, Dudziak, Nowak, Marian Michalski, ?, Rosolek, Stelmachowski, ?, Stanisław Szubert



Przed domem Malinów, Mogiła, 1942 r.



Józef Sikora, 1939 r.



Od lewej: Walenty Rosolek, Józef Mars i Tadeusz Stelmachowski (?), lata 30. XX w.



Piłkarze z Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej, Mogiła, lata 20. XX w.



Wykopki, Mogiła, lata 30. XX w.



Ślub Zofii z d. Radoszek i Walentego Rosolka, 1948 r.



I Komunia Św. dziewczynek z Mogiły, w I rzędzie 3. od prawej Zofia Radoszek, 1927 r.



Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej w Mogiła, lata 30. XX w.



Zofia, Maria, Helena i Stanisława Staszyszyn, ok. 1925 r.



Kondukt pogrzebowy, Mogiła, lata 30. XX w.



Dzieci ze szkoły w Mogiła, ok. 1920 r.



Rodzina ks. Leopolda Siemińskiego, proboszcza w Mogiła, przed 1895 r.



Maria z d. Łach i Andrzej Rażny, Mogiła, 4 stycznia 1934 r.



Nauczyciele z IV klasowej Szkoły Powszechnej w Mogiła, pierwszy z lewej siedzi Jan Twaróg, przed 1920 r.



Dzieci na Kopcu Wandy, Mogiła, lata okupacji niemieckiej



Uroczystości religijne, Mogiła, lata 30. XX w.



Szkoła Rolnicza w Mogiła, z lewej ks. Józef Zastawniak, lata okupacji niemieckiej



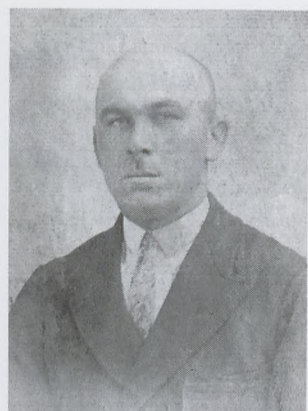
Zofia Mazur i Zofia Malina, Mogiła, 12 czerwca 1942 r.



W okolicy kopca Wandy, lata 50-60 XX w.



Franciszka Broś z d. Podkulek,
1911 r.



Stanisław Broś, 1938 r.



Maria Broś (Bugajska), lata 30. XX w.



I Komunia Św. chłopców z Mogiły, w II rzędzie ks. Vracko,
w białym mundurku Eugeniusz Bugajski

Eugeniusz Bugajski, 1938 r.



Maria Bugajska z dziećmi: Ryszardem i Zofią,
Mogiła, 1946 r.



Siostry Brosiówny: Stanisława, Franciszka
i Maria, Mogiła, 1938 r.



Ślub Marii Broś i Eugeniusza Bugajskiego,
Mogiła, maj 1944 r.



Siostry Brosiówny: Maria, Franciszka i Stanisława, 1938 r.



Zofia Bugajska, 1939 r.



Ewelina Bugajska, Miss Polonii
Świata w 2004 r.



Klub Piłkarski „Wanda” w Mogile, 1935 r. Na zdjęciu po lewej, w środku, stoi Eugeniusz Bugajski (w białych spodenkach)



Strażacy z OSP w Mogile

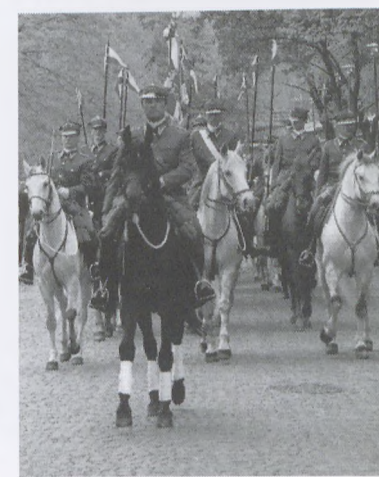


Przed domem rodzinnym Brosiów w Mogile, 1955 r. Od lewej: Stanisław Broś z wnuczką Barbarą Bugajską na rękach, Franciszka Broś, Franciszka Rosolek z d. Broś, Józef Broś, Stanisława Makuła z d. Broś, Karol Makuła, z przodu stoi Henryk Bugajski



Byli członkowie Ruchu Oporu przed „Gwoździarnią” w Mogile, lcia 60. W środku stoi Antoni Baranik, 2. od lewej p. Feret, Jakub Broda (najwyższy), 2. od prawej Eugeniusz Bugajski i in.

Krakowski Szwadron
Ulanów im. J. Piłsudskiego
prowadzi jego twórca,
Henryk Bugajski z Mogiły





Dzieci Marcjanny i Franciszka Ptaków z Bieńczy: Salomea, Władysław, Stefania, (?), ok. 1920 r.



Franciszek i Marcjanna Ptakowie z synem Wojciechem, Bieńczyce, lata 20. XX w.



Jan Ciepiela, wójt Bieńczy z żoną Katarzyną, lata 20. XX w.



Franciszek Krawczyk z Bieńczy, pocz. XX w.



Wiktoria Krawczyk-Ptak, Maria, Katarzyna, Franciszek i Andrzej Krawczykowie, pocz. XX w.



Od lewej: Maria i Katarzyna Krawczyk, Wiktoria Krawczyk-Ptak, pocz. XX w.



Janina Halikówna, córka Franciszki Halikowej z Ptaków, Bieńczyce, ok. 1930 r.



Katarzyna Doniec (1888-1972) – córka Salomei i Jakuba Wójcików. Pochodziła z Pleszowa, po ślubie zamieszkała w Bieńczycach, gdzie była samodzielną położną. Podczas swej 30-letniej pracy pomogła przyjąć na świat około 4000 dzieci. Pracowała o każdej porze dnia i nocy, zawsze do dyspozycji matek i ich nowonarodzonych dzieci. Za swą pracę została wyróżniona odznaką „Budowniczy Nowej Huty”. Zdjęcie z 1916 r.



Wiktoria i Katarzyna Salwińskie, córki Wiktorii i Jana. Uroda Kasi zwróciła uwagę młodopolskiego malarza, Józefa Krasnopolskiego, który kilkakrotnie uwiecznił ją na swoich obrazach, 1912 r.



Wiktoria Salwińska z d. Zięba z synem Franciszkiem, 1910 r.



Porucznik Piotr Salwiński (1897-1994), syn Jana i Wiktorii. Uczestnik I Wojny Światowej oraz wojny z bolszewikami. Odznaczony krzyżem za udział w wojnie 1919-1920 oraz medalem „Za udział w wojnie obronnej 1939”. Zdjęcie z ok. 1920 r.



Katarzyna z d. Salwińska z mężem Józefem Osiadłym, ok. 1919 r.



Józef Celiński, kierownik Szkoły Powszechnej w Bieńczycach z rodziną i znajomymi przed budynkiem szkolnym, lata 30. XX w.



Andrzej Krawczyk, pocz. XX w.



Dzieci z Bieńczyc, lata 30. XX w.



Jaselka w szkole w Bieńczycach, w środku Maria Halikowa (Kotyza), lata 30. XX w.



Stefania z d. Fijoł i Jan Pyczek z synami: Zbigniewem, Wiesławem i Janem, 1932 r.



Jan Pyczek (1902-1938), uczestnik Obrony Lwowa, pracował na Poczcie Dworcowej



Zlot Katolickich Stowarzyszeń Młodzieży Męskiej i KSM
Żeńskiej w Bieńczykach, meldunek od Zofii Zybury
przyjmuje Jan Kotyza, 1937 r.



Prymice ks. Franciszka Ciepieli, Bieńczyce, ok. 1936 r.



Ks. Franciszek Ciepiela i Idzi Jędrszczyk, ok. 1936 r.



Procesja w Bieńczykach. Widoczne sztandary i młodzież
z KSMM i KSMŻ. 1949 r.



Bieńczykanki na wiecu poparcia dla Stanisława
Mikołajczyka, Rynek Główny w Krakowie, 1947 r.



Chór żeński z kaplicy w Bieńczykach, lata okupacji. Stoją od lewej: Stefania Pa-
welec, Zofia Nawara, Kazimiera Ciepiela, Zofia Ciepiela, Stanisława Biernacka,
siostra Zdzisława, Bronisława Żyńska, ?, Helena Turbasa, Katarzyna Żyńska



Franciszek i Małgorzata Salwińscy, 1968 r.



Od lewej: Stanisław Zybur, Anna Zybur, Wiktoria Zybur,
Franciszek Loboda, Franciszka z Zyburów Kotyza z synem
Adasiem na ręku, Edward Zybur, Kazimierz Zybur, z przodu
dzieci: Hania Loboda i Janusz Kotyza



Magdalena Salwińska z rodziną, Bieńczyce, ok. 1945 r.



O. Bogumił Salwiński, 1953 r. Władysław Salwiński, jedyny
syn Franciszka i Małgorzaty z d. Kaszowskiej, przyjął imię
zakonne Bogumił, późniejszy opat mogiński



Wiktoria Salwińska (1912-1942) z siostrzenicami z Bieńczyk,
zginęła w KL Auschwitz



Magdalena Salwińska (1875-1960) z wnuczkami: Wandzią
i Rysią Jędrszczyk



Zlot Katolickich Stowarzyszeń Młodzieży Męskiej i KSM
Żeńskiej w Bieńczykach, meldunek od Zofii Zybury
przyjmuje Jan Kotyza, 1937 r.



Prymicje ks. Franciszka Ciepieli, Bieńczyce, ok. 1936 r.



Ks. Franciszek Ciepiela i Idzi Jędrzyczek, ok. 1936 r.



Chór żeński z kaplicy w Bieńczykach, lata okupacji. Stoją od lewej: Stefania Pa-
welec, Zofia Nawara, Kazimiera Ciepiela, Zofia Ciepiela, Stanisława Biernacik,
siostra Zdzisława, Bronisława Żylska, ?, Helena Turbasa, Katarzyna Żylska



Procesja w Bieńczykach. Widoczne sztandary i młodzież
z KSMM i KSMŻ, 1949 r.



Bieńczykanki na wiecu poparcia dla Stanisława
Mikołajczyka, Rynek Główny w Krakowie, 1947 r.



Franciszek i Małgorzata Salwińscy, 1968 r.



Od lewej: Stanisław Zybur, Anna Zybur, Wiktoria Zybur,
Franciszek Łoboda, Franciszka z Zyburów Kotyza z synem
Adasiem na ręku, Edward Zybur, Kazimierz Zybur, z przo-
du dzieci: Hania Łoboda i Janusz Kotyza



Magdalena Salwińska z rodziną, Bieńczyce, ok. 1945 r.



O. Bogumił Salwiński, 1953 r. Władysław Salwiński, jedyny
syn Franciszka i Małgorzaty z d. Kaszowskiej, przyjął imię
zakonne Bogumił, późniejszy opat mogiński



Wiktoria Salwińska (1912-1942) z siostrzenicami z Bieńczy-
c, zginęła w KL Auschwitz



Magdalena Salwińska (1875-1960) z wnuczkami: Wandzią
i Rysią Jędrzyczek



Stacja kolejowa Bieńczyce, na schodach stoi w jasnej marynarce Władysław Lelito, właściciel młyna w Bieńczycach, przed 1934 r.



Katarzyna i Józef Osiadłowie z córkami: Marią i Heleną, Bieńczyce, 1948 r.



Józef Osiadły i Eugeniusz Hajto przy jazie na Dłubni, Bieńczyce, lata okupacji



Na jazie stoją: Julian Osiadły i Bronisław Dżuła, 1939 r.



Basia, Zosia i Staś Salwińscy przed domem dziadków – Magdaleny i Józefa Salwińskich, Bieńczyce, ok. 1945 r.



Rodzina Salwińskich z ojcem Gerardem Matulq, Cystersem z Mogiły, lata okupacji



Widok z budynku „Sokoła” na dom Franciszka Ptaka, Bieńczyce, lata 20. XX w.



Po prawej budynek „Sokoła”, za nim sklep mięsny Krawczyków i piekarnia Motyki po lewej w głębi murowane ogrodzenie i fragment domu Ptaków, (obecnie ulica Kocmyrzowska), Bieńczyce, lata 30, fot. Jan Kotyza



Budynek „Sokoła” w Bieńczycach, lata 20. XX w.



Drużyna piłkarska z Klubu Sportowego „Tęcza” w Bieńczycach, Klęczą: Zbyszek Bednarski, Mieczysław Kaczmarczyk, Wojtek Pyrlik. Stoją od lewej: Eugeniusz Hajto, Jan Pyrlik, Julian Osiadły, Władysław Krawczyk, Edward Zybura, Józef Turbasa, ?, ?, ?, lata okupacji.



Drużyna piłki siatkowej, lata okupacji



Stoją od lewej: Władysław Krawczyk, Zbyszek Bednarski, Pyczek, Edward Zybura, P. Kotyza, Józef Turbasa, ?, ?. Siedzą: Wojtek Pyrlik, ?, J. Antkiewicz



Zbiórka drużyny piłkarskiej pod „Ptakiem”. Od lewej: Józef Osiadły, Władysław Nawara, Edward Zybura, Julian Osiadły, 1937 r.



W oczekiwaniu na pociąg w pobliżu stacji PKP w Bieńczycach. Stoją od lewej: Józef Osiadły, Jan Bochenek, Julian Osiadły, Józef Biela, Józef Pawelec, Bronisław Biernacik, Władysław Krawczyk, 1950 r.



Młodzież z Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej i KSM Żeńskiej w Bieńczycach. W I rzędzie 4 od lewej Zofia Nawara, dalej Aniela Ciepła i Bronisława Żylska, z tyłu 4. od lewej Tadeusz Kaszowski, ok. 1937 r.



U góry od lewej: Kaszowska, Bronisław Dżula, Ptakowa, Jan Nawara, Krystyna Ulińska, Józef Zybura, Jędrzyczkowska, Andrzej Ptak, Kazimierz Zybura, Roman Krawczyk, Zbigniew Pyczek, Hela z Biernacikow Biedowa, Król, z Dłubni ?, poniżej od lewej: Janina Dziuba, ?, ?, Marian Jędryk, z Zyburów, najniżej: z Krawczyków, ?, Staszek Merc, Zofia z Pyczków Salwińska, ?, Jan Jędrzyk, Halina Kotyza, Bieńczyce, ok. 1947 r.



Franciszek (ojciec) i Roman (syn) Dońcowie grają w karty, Bieńczyce, ok. 1937 r.



Przed domem Krawczyków na sankach siedzą Józef Turbasa, Zofia Ciepielówna, obok Ela Krawczyk, lata okupacji



Od lewej: Roman Doniec, Jan, Zbigniew i Wiesław Pyczkowie



Jan Bochenek (z kotkiem) i Józef Osiadły, Bieńczyce, 1947 r.



W głębi od lewej: Józef Osiadły, Jan Bochenek, Karol Hajto, 1947 r.



Młodzież z Bieńczyce na kuligu w 1956 r. Maria Ciepiela, Maria Broś, Zofia Salwiska, Julian Turbasa, Józef Zięba i in.



Przed sklepem Krawczyków w Bieńczycach stoją od lewej: Ela i Zofia Krawczyk, siedzą od lewej: Józef Osiadły, Andrzej Ptak, Jan Bochenek, lata 40. XX w.



Józef Osiadły, Jan Bochenek, z tyłu od lewej: Julian Osiadły, Piotr Nawrocki, Mieczysław Kaczmarczyk, lata 40. XX w.



Na jazie stoją: Józef Turbasa, Józef Osiadły, siedzą: Julian Osiadły, Mieczysław Kaczmarczyk, ?, Jan Jędrszczyk, Franciszek Bochenek, 1947 r.



Jan Bochenek, Józef Bochenek, Julian Osiadły, Helena Osiadły, Genowefa Bruzda, 1950 r.



Jan Bochenek, Józef Turbasa, Józef Osiadły, lata 40. XX w.



Jan Jędrszczyk, Józef Bochenek, Mieczysław Ptak, Józef Osiadły w „Damach i huzarach”, 1946 r.



Odpoczynek po omlotach, Maria Ciepiela z dziećmi: Józefą i Marią oraz Katarzyna Biernacik „Kubuska”, 1944 r.



Targ przy placu Wolnica w Krakowie na Kazmierzu. Katarzyna i Maria Ciepiela z Bieńczyce sprzedają płody rolne, lata 30. XX w.



Młodzież z Bieńczyce, lata 30. XX w. W górnym rzędzie od lewej: Janina Królikowska, ?, Julian Osiadły, Jan Salwiński, ? Zofia Nawara. W drugim rzędzie na skrajnych zdjęciach Zofia Zybura, na mniejszych zdjęciach w wyższym rzędzie: Barbara Krawczyk, Wiktoria Zybura, Julia Pyrlikowa (siostra Wiktoria Zybura), Kazimierz Lowczowski (lekarz), w niższym rzędzie: Józef Bochenek, Stanisław Kundycy, Zofia Zybura, ?, Józef Osiadły. W dolnym rzędzie: Stanisław Zamojski, Jan Kaszowski, Stanisław Kundycy, Julian Osiadły, ?, Piotr Kotyza, ?, Adam Koński z Mogiły



Irena Tochowiczówna



Danuta Kęskówna, 1945 r.



Zofia Biernacik, ok. 1950 r.



Czesław Sadzikowski,
ok. 1935 r.



Dziewczęta z Bieńczyce, pierwsza z prawej Zofia Biernacik, lata 40. XX w.



Henryk Krawczyk z siostrą Elżbietą (później żoną Andrzeja Świerczewskiego), Bieńczyce, lata 40. XX w.



Młodzież z Bieńczyce, lata 30. XX w. W górnym rzędzie od lewej: Zofia Krawczyk, Helena Krawczyk, Maria Jędraszczyk, Maria Osiadły (Nowak), Zofia Nawara, Maria Nawara, Janina Krawczyk. W drugim rzędzie: Anna Rojek (Dubiel), Elżbieta Trznadel, Maria Trznadel, Krystyna Kozłowska, Aleksandra Świerczewska, Zofia Celińska, Zofia Zybura (Bochenek). W trzecim rzędzie: ?, Zofia Dziwisz, Janina Dżula, Katarzyna Żylska, Zofia Salwińska (Rojek), Wiktoria Salwińska, Kazimiera Mleczo. W dolnym rzędzie: Eugeniusz Hajto, Karol Hajto, Katarzyna Krupa, Stanisława Kochańska, Kazimierz Zybura, Franciszek Bochenek, ?, Stanisław Przeniosło



Mostek na jazie w Bieńczycach. Od lewej: Maria Osiadły, Władysława Pyrlík, Janina Krupa, Kazimiera Lena, Maria Halikówna, lata okupacji



Maria z Salwińskich Jędraszczkówna (1902-2002) z Bieńczyce



Marianna i Jakub Biernacikowie z Czyżyn z synami, od lewej: Marian, Edward, Stanisław. Z tyłu Franciszka Tynor, ok. 1933 r.



Rodzina Moskałów z Czyżyn, lata 30. XX w.



Marianna Tynorowa z Czyżyn, 1915 r.



Władysław Hajto, (1890-1969), ok. 1915 r.



Jakub Biernacik z żoną Marianną z d. Krawczyk i synkiem Edwardem. Odpust w Mogile, 1931 r.



Przed szkołą w Czyżynach, lata 30. XX w.



Dzieci z Czyżyn, w środku ks. Józef Zastawniak, lata 30. XX w.



Józef i Katarzyna Radoszek, mieszkali w Czyżynach na przełomie XIX i XX w.



Andrzej Radoszek (1858-1934), mąż Katarzyny Mól, pocz. XX w.



Wawrzyniec Radoszek (syn Andrzeja) z żoną Julią, ok. 1915 r.



Tomasz Radoszek (syn Andrzeja), był sołtysem w Łęgu. Na zdjęciu (przed domem na obecnej ul. Sołtysowskiej) z żoną, teściową oraz dziećmi. Od lewej: teściowa, Franciszek (utonął w sierpniu 1940 r.), Kazimiera, żona Małgorzata z d. Socha, Zofia (u góry), Tomasz Radoszek, Tadeusz, poniżej Krystyna, na końcu Mieczysław, pomiędzy rodzicami Hania z psem Lalka, ok. 1940 r.



Zofia Radoszek i Stanisław Krawczyk, z tyłu od prawej: Stanisław Radoszek, Stanisława Baś, ?, Zofia Tynor, Czyżyny, 1937 r.



Helena Mólówna i Józef Broś, lata 50. XX w.



Władysław Kawula, 1930 r.



Jan Mól, syn Jakuba, ok. 1925 r.



Marysia Salwińska, 1940 r.



Jakub Mól (1894-1960), syn Jakuba



Jakub Mól (1840-1944) z Czyżyn



Wnuki Katarzyny Czernek Maskowej: Józef i Albin Czernek, Stanisława Figlarz, 1936 r.



Zofia Czernkówna ze Świątkowską, ok. 1930 r.



Na ławce siedzi Stanisław Czernek (syn Katarzyny) z kuzynkami, za płotem stoi Wojciech Tynor, Czyżyny, 1938 r.



Janina Czernkówna z małą Zosią Salwińską, Czyżyny, 1937 r.



Zdjęcie rodzinne z okazji I Komunii Św. Danusi, prawnuczki Katarzyny Czenek Maskowej (siedzi po prawej stronie dziewczynki), a wnuczki Jana Czerneka, zdjęcie zrobione w ogrodzie u dziadka, Czyżyny, 1949 r.



Ks. Józef Zastawniak z Helą Mólówną, Czyżyny, 1943 r.



Małgorzata Mól i Jan Czernek, družka – Zofia Czernkówna, siostra Jana, 1920 r.



Franciszek Czernek z żoną Katarzyną, w środku Józef Salwiński



Zdjęcia z lat 30. XX w. z albumu rodziny Tynorów z Czyżyn



Ślub Jana Tynora i Franciszki z Tynorów, Czyżyny 1935 r.



Ks. Józef Zastawniak z Basią Salwińską, Czyżyny, 1945 r.



Złote gody Marianny i Jana Tynorów, Czyżyny 1944 r.



W środku Maria Knapikowa, wychowawczyni, stoją: Janina Zamajska, Zofia Salwińska, Kazimiera Tynor, Helena Mól, Czyżyny, 1943 r.



Marysia Kawulanka z siostrą Wisią i Kasią Tynorówną, Czyżyny ok. 1930 r.



Józef Kawula (1885-1923) z Czyżyn, podoficer w armii austriackiej



Wiktoria i Piotr Salwińscy z dziećmi, Czyżyny, 1940 r.



Małgorzata Kawulowa z córkami i wnukami, Czyżyny, 1936 r.



Małgorzata Kulowa z córeczką Elą, 1940 r.



Ks. Marian Tyrka (1920-1965), 1938 r.



Od lewej: Władysław Hajto, Marta Hajto, Józef Mólka, Mieczysław Kula, p. Czernek z d. Mól, Stanisław Moskała, Wojciech Tyrka, Józio Hajto (na rowerze), Stanisław Czernek, siedzi Władysław Hajto, ?, ?, Czyżyny, 1935 r.



Katarzyna Tynor i Jan Partyła, drużbowie na ślubie Zofii z Tynorów i Jana Gajochów, 1937 r.



Maria Kawulanka (Klauze), ok. 1930 r.



Wiktoria Kawula i Piotr Salwiński, za nim brat Józef i Maria Malinowska (córka wójta), po lewej Katarzyna Tynor, 1930 r.



Procesja Bożego Ciała na ulicy Kościelnej w Czyżynach: Zosia Salwińska, Kazia Tynor, i Hela Broś. W. Wyjasniał, Czesław Tyrka, Jan Szczupa, III feretron: Franciszek Zębala i in., lata 50. XX w.



Druhowie z KSMM w Czyżynach: Marian Czernek, Zbyszek Fotij, Wlodek Adamski, Zbyszek Jaun, Wlodek Gil, Edek Tyrka i in., 1948 r.



Samochód z napędem gazowym, Monopol Tytoniowy w Czyżynach, lata okupacji niemieckiej



Feretron niosą: Kazia Tynorówna, Zosia Salwińska, Marysia Figlarz



Pracownicy Monopolu, lata okupacji niemieckiej



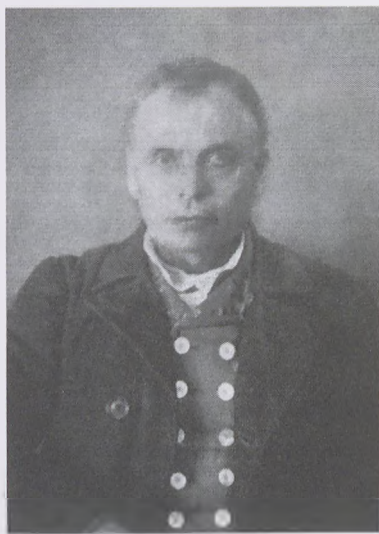
W Czyżynach, lata 60. XX w.



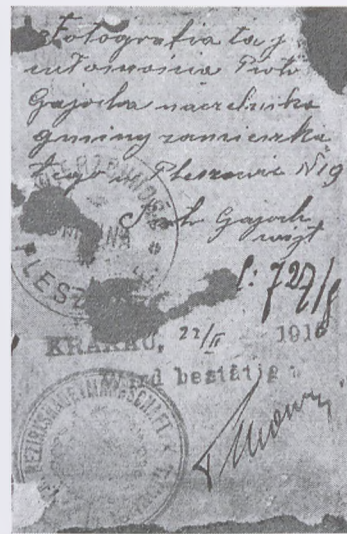
Rondo Czyżyńskie, widok w ul. Centralną w kierunku Łgu, 1993 r.



Rondo Czyżyńskie, widok w kierunku Krakowa, w głębi kościół Św. Judy Tadeusza, 1993 r.



Piotr Gajoch, wójt Pleszowa, 1915 r.



Wiktoria Gajochówna i Franciszka Partylanka z Luboczy, lata 20. XX w.



Od lewej: Katarzyna Gajoch-Witaszek, Janina Jaworska, Józefa Gębalanka – wykonawczynie sztandaru Koła Młodzieży w Pleszowie, 1929 r. fot. Garzyński



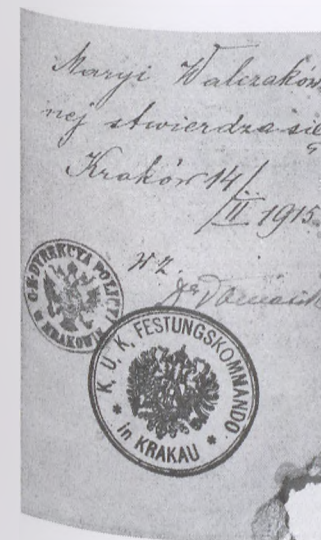
Bańdurówny z Pleszowa, pocz. XX w.



Helena Jarzyna z d. Gajoch, 1920 r.



Dziewczęta z Pleszowa, pocz. XX w.



Maria Walczakówna z Luboczy, 1915 r.



Dziewczęta z Pleszowa, pocz. XX w.



Dziewczęta z Pleszowa, pocz. XX w.



Wiktoria i Piotr Kot z Luboczy, lata 20. XX w.



Dziewczęta z Pleszowa, pocz. XX w.



Z lewej Bańdur, w środku Józef Gajoch, lata 20. XX w.



Bańdur z Pleszowa, lata 20. XX w.



Piotr Gajoch, syn Piotra, lata 30. XX w.



Wesele Heleny Gajoch i Wojciecha Jarzyny, Pleszów, luty 1920 r.



W pasiece Piotra Gajocha, Pleszów, pocz. XX w.



Ślub Agaty Pyrlik z Pleszowa z Janem Wójcikiem z Luboczy, Pleszów, 1941 r.



Wycieczka szkolna dzieci z Luboczy i Pleszowa do Wieliczki. W II rzędzie od lewej: 3 - Feliksa Galiszkievicz, nauczycielka, 5 - Franciszek Twaróg, kierownik szkoły w Luboczy, 6 - Maria Bittner, żona poczmistrza z Pleszowa, 7 - Teresa Twarogowa, żona Franciszka, nauczycielka, 8 - Jan Skarbek, proboszcz z Pleszowa, 9 - Jan Twarog, kierownik szkoły w Pleszowie, 11 - Genowefa Wojnarowska, nauczycielka



Obchody 140 rocznicy Bitwy pod Racławicami, Pleszów, 1934 r. Od prawej siedzą: Jan Zięba, Michał Cygan, Jan Zwierkowski (z młotem), Michał Cygan z Kujaw, Jan Komasa i in., ze sztandarem Stefan Cygan, z drugiej strony sztandaru: Jakub Stefański, Jan Gajoch (Starosta) i in., Stanisław Gajoch (Kościuszko), obok niego Jakub Broda, Jan Wilczek, Tadeusz Domański i in. Niektórzy „kosynierzy” pochodzili z okolicznych wsi.



Święto ludowe w Pleszowie. Pierwszy z prawej na białym koniu jedzie Stanisław Gajoch, lata 30. XX w.



Święto ludowe w Pleszowie, z przodu na koniu jedzie Stanisław Gajoch, lata 30. XX w.



Święto ludowe w Pleszowie, lata 30. XX w.



Rynek w Pleszowie, na pierwszym planie zbiornik p. pożarowy, w głębi dom Czernków



Rynek w Pleszowie. Z lewej dom Badurów i Wysockich, lata 30. XX w



Zniwa w Pleszowie, przed 1949 r.



Zniwa w Pleszowie, przed 1949 r.



Zniwa w Krzesławicach. Siedzą od lewej: Bolesław, Andrzej i Jan Rażny, lata 30-40. XX w.



Przy sadzeniu ziemniaków w Pleszowie. Od lewej: Stanisława Gębałówna, za nią Piotr Gajoch, siedzi Wincenty Gajoch, obok Porzeczkowa, ?, 1943 r.



Od lewej: Stasia Walczak (Gębała), Piotr Gajoch, Kazimiera Gębała (Kusek), ?.



NN. z tzw. „fjakierką”, Pleszów, lata 30. XX w.



Od lewej: Hania Gajoch c. Józefa, Zosia i Marysia Gajoch c. Jana, Halina Gajoch c. Stanisława, Józef Gajoch z córką Kasią na kolanach, obok bryczki Stefan Cygan. Zdjęcie wykonane w dniu ślubu Katarzyny Gajoch z Janem Witaszkiem, Pleszów, 1958 r



Od lewej: Piotr Gajoch, ?, Władek Pyrlik, Kazimierz Gębała, Pleszów, lata 30. XX w.



W II rzędzie 2. od lewej Stanisława Wosiek (Matułow), ok. 1947 r.



Młodzież w Pleszowie, lata 30. XX w.



Kobiety z Pleszowa, 1940 r.



Jan i Julian Bochenkowie, Dziekanowice



Lucja Gajoch z córką Stasią, Pleszów, 1935 r.



Sylwester zorganizowany przez Koło Młodzieży w Pleszowie u Jana i Katarzyny Zwierowskich, w środku toast wznosi Zofia Stefańska-Gajoch, lata 30. XX w.



W domu rodzinnym Gajochów. W I rzędzie od lewej: Stanisław, Stanisława (żona Jana), Józefa (żona Piotra), Wiktoria Kot z d. Gajoch, Władysław, w II rzędzie: Józef, Piotr, Jan, Wincenty, Wojciech Kot, Pleszów, ok. 1930 r.



Stanisława Woś (Matulowa), Pleszów, lata 30. XX w.



Dom Partyłów, Pleszów, lata 50. XX w.



I Komunia Św. dzieci z Pleszowa. W środku ks. proboszcz Antoni Góralik i Jan Twaróg, lata 40. XX w.



Kamienna ławeczka upamiętniająca pobyt Tadeusza Kościuszki w 1794 r. w Pleszowie, fot. Władysław Rospondek



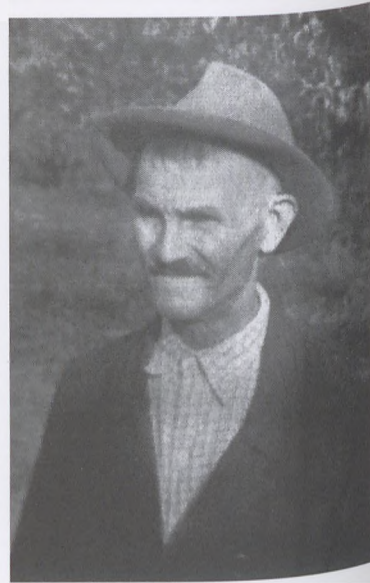
Pogrzeb w Pleszowie, lata 40-50. XX w.



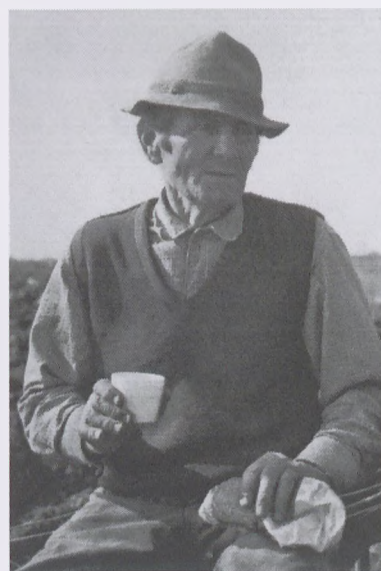
Józef Gajoch, syn Piotra, 1918 r.



Lucja Gajoch (ur. 1913 r.) żona Józefa,
1931 r.



Józef Gajoch, ojciec Lucji,
lata 50. XX w.



Józef Gajoch z Pleszowa-Kujaw,
syn Walentego



Lucja Gajoch, ok. 1931 r.



Lucja i Józef Gajochowie
z córką Stasią, 1939 r.



Maria z d. Kardas i Józef Gajochowie,
rodzice Lucji, lata 50. XX w.



Józef Gajoch, na koniu, Pleszów, 1923 r.



Przed domem Fuglów (ostatnia kurna chata). Lucja Gajoch z dziećmi i koleżanką Fugiel, Pleszów, lata 40. XX w.



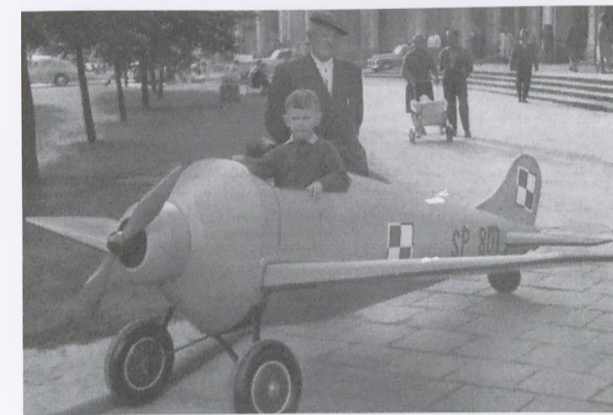
W środku Maria Gajoch, Pleszów, lata 50. XX w.



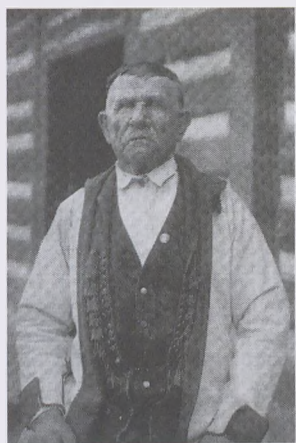
Na stawie w Pleszowie poniżej pałacu Kirchmayerów, lata 40. XX w.



Lucja i Józef Gajochowie z wnuczką Paweł spoglądają na swoje
pola zajęte pod budowę kombinatu Huta im. Lenina, Pleszów, 1956 r.



Józef Gajoch z wnuczką Paweł na Placu Centralnym
w Nowej Hucie, 1956 r.



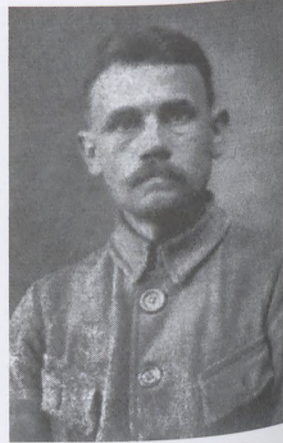
Jan Rażny z Krzesławic,
lata 30. XX w.



Julia Grosicka (Bieniek), 1916 r.



Julia Salwińska, 1931 r.



Antoni Grześiak, 1924 r.



U Rażnych w Krzesławicach, gdzie z okazji odpustu w Pleszowie przy-
bywały rodziny z Raciborowic, Zesławic i Zelkowa, lata 30. XX w.



Katarzyna Kofin, Maria
Bieroń, lata 50. XX w.



Kobiety z Krzesławic



Władysław Pyrlik z kole-
żankami z Pleszowa



W środku Władysława
Gajoszek (Sewerynek)



U Rażnych w Krzesławicach, lata 30. XX w.



Zofia Walerian i Maria Drzewi, Krzesławice, 1948 r.



Chrzest w rodzinie Salwińskich, Mogiła 1947 r.



Zofia Pyrlik z d. Zięba i Stanisława Gębałowa, Krzesławice,
lata 40. XX w.



Z. Czernek, Z. Walerian, K. Grosika, M. Mars, 1938 r.



Stanisław Gajoszek, Piotr
Grymek, Józef Grymek,
Krzesławice, lata 50. XX w.



Wyprowadziny do ślubu, Krzesławice, lata 30. XX w.



Jan Witek i Stanisław
Grymek, Kantorowice,
ok. 1940 r.



Wesele w Krzesławicach, lata 50. XX w.

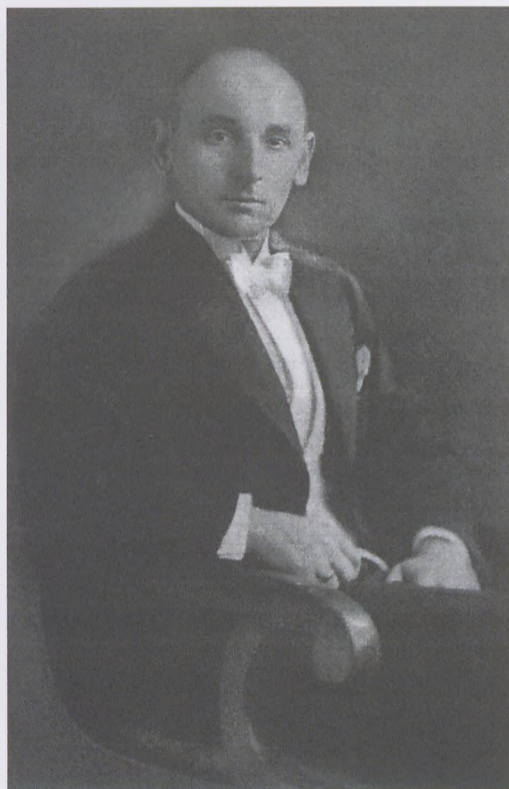


Ks. Matejkiewicz i młodzież z Krzesławic, lata 40. XX w.

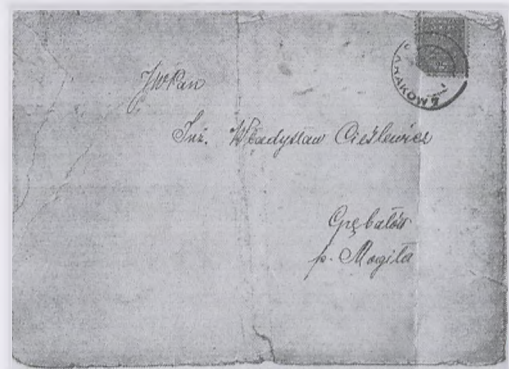


Wesele Kazimierza i Wandy Jędrzczyków, Krzesławice, 1952 r.





Władysław Cieślewicz z Grębałowa, dzierżawca dóbr Kurii Biskupiej. Zdjęcie wykonane na Wawelu podczas rautu wydany z okazji pobytu w Krakowie prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego, 28 lipca 1929 r.



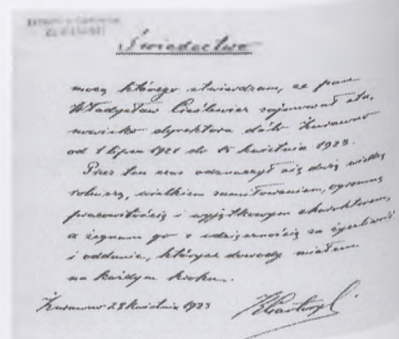
Zaproszenie na raut do Zamku Królewskiego na Wawelu, w którym wziął udział Władysław Cieślewicz wraz z małżonką. Ekspонат nr. 1699 na krakowskiej wystawie o zbrodni katyńskiej z 1990 r. Władysław Cieślewicz zginął w Katyniu w 1940 r.



Dożynki w Grębałowie. Na schodach dworu Władysław Cieślewicz z małżonką Heleną z Odrowążów Sypniewską-Cieślewiczową, matką oraz dziećmi i kobietami z Grębałowa w strojach krakowskich, ok. 1930 r.



Indeks z 1908 r. Władysława Cieślewicza wydany przez Wydział Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego.



Świadectwo Kazimierza X. Czartoryskiego z 28 kwietnia 1923 r., które Władysław Cieślewicz otrzymał na zakończenie pracy w Żurawnie



Z lewej Kazimierz Cieślewicz z Czyżyn na zdjęciu z kuzynem Władysławem Cieślewiczem z Grębałowa w trakcie analizowania map, lata 20. XX w.



Walenty, Franciszka i Maria Masierowie z Grębałowa, 1935 r.



Grębałowianie na odpuszcie w Mogile, lata 30. XX w.



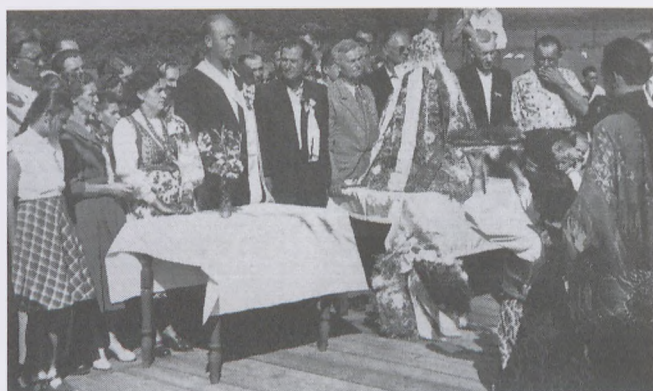
Janina Walczak z Grębałowa, ok. 1960 r.



I Komunia Św. dzieci z Pleszowa, Grębałowa i Luboczy, Pleszów, lata 50. XX w.



Dziewczyny z Grębałowa, pierwsza z lewej Irena Kot (Ciepiela), ok. 1958 r.



Dożynki w Grębałowie, druga od lewej: Maria Florkowska, dalej: Maria Łach, Jan Florkowski, Stanisław Łach, Franciszek Twaróg, Jan Kot, Walenty Florkowski, Jan Pszczola, 1957 r.



Rozalia Cygan i Wiktoria Pszczola, Grębałów, lata 30. XX w.



Zofia Pszczola (Wyka) z Zosią Łachówną, lata 40. XX w.



I Komunia Św. chłopców z Grębałowa i in., 1939 r.



Irena Kot (Ciepiela) z chrześnicą, Bożenką Adamską, 25 sierpnia 1957 r.



Orkiestra grębałowska, ok. 1930 r.



Maria Pszczola i Stanisław Łach, z tyłu od lewej: Maria Łach (Rażna), p. Adamski z Czyżyn, Wiktoria Pszczola, Władysław Cygan, 1934 r.

Rodzina Łachów z Grębałowa, lata okupacji. U góry od lewej: Władek Łach, Ania (żona Antoniego), Wiktoria i Stefan, Marysia Rażna (z d. Łachówna), Marysia i Staszek Łach z Marianem. W środku dziadkowie: Wiktoria (z d. Adamska) z Marysią Rażną i Franciszek Łach (zm. w 1944 r.) z Frankiem Łachem (s. Marii i Staszka). Dwaj chłopcy po lewej: Antoni Łach i Karol Rażny



Wiktoria Ropa z d. Ziomek z bratem Szczepanem i szwagrem Piotrem Wójcikiem, lata 30. XX w.



Powrót z kościoła w Pleszowie obok stajni majątku SS. Norbertanek, Lubocza, 1927 r.



Na drodze w Luboczy, lata 30. XX w.



Powrót z kościoła w Pleszowie do Luboczy, lata 30. XX w.



Wojciech Ziomek z synem Stanisławem, Wadów, 1938 r.



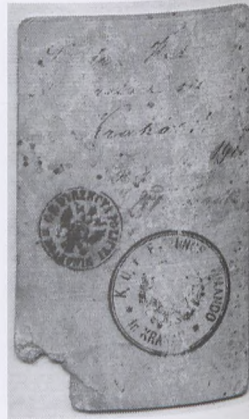
Józef Walczak z wnuczkami, Wadów, lata 30. XX w.



Wiktoria Walczakowa z Luboczy, 1915 r.



Piotr (?) Walczak z Luboczy, 1915 r.



Szkoła Podstawowa w Luboczy, 1962 r.



Dzieci ze szkoły w Luboczy, zima 1937 r.



Franciszek Twaróg w otoczeniu Koła Gospodyń Wiejskich, lata 50. XX w.



Dzieci szkolne w Luboczy, z tyłu dawny budynek dworski dla farnali, lata 40-50. XX w.



Zdjęcia z rodzinnego albumu p. Synowskiej z Luboczy



Wesele Partyły z Laptasem w 1926 r. w Luboczy. Widoczny dach domu z 1838 r., w głębi zabudowania gospodarcze, które stoją do dziś (spichlerz i część stajni). Szósta od lewej to Franciszka Partyła, dalej: Bańdur, Maria Partyła, ?, Partyła, Laplaś, Zofia Rażna, Józef Walczak, Katarzyna Partyła, Antoni Grzesiak, Stanisław Partyła, ?, Jan Partyła



Mieszkańcy Luboczy, lata 30. XX w.



Staw pod Machnikami, Lubocz, 1962 r.



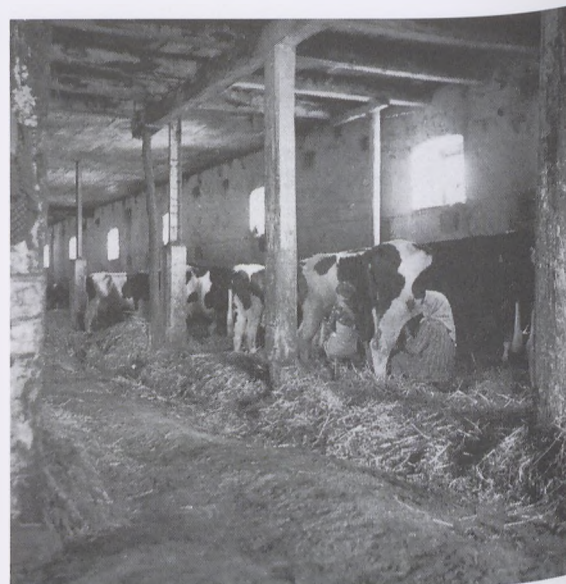
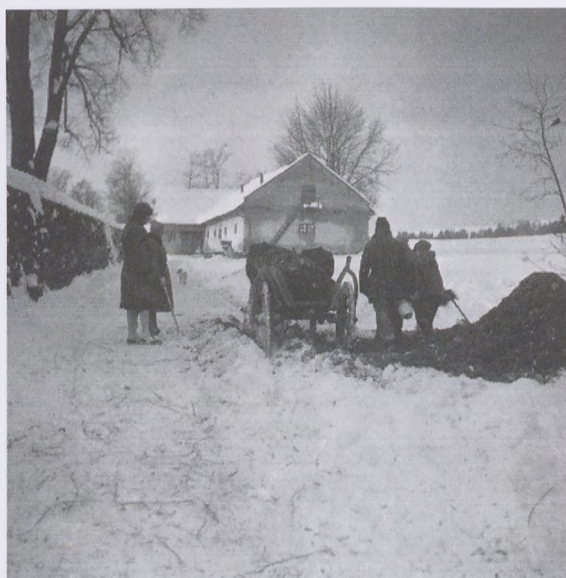
Stary dom Zajęca z dymnikami, 1962 r.



Orka w Luboczy, przed 1949 r.



Mieszkańcy Luczanowic przed starym dworem (ten na zdjęciu po lewej i w środku już nie istnieje), ok. 1953 r.



W majątku Mycielskich w Luczanowicach, lata 30. XX w. Zdjęcia z rodzinnego archiwum Prof. Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło



Wesele Franciszki Kwiecień z Władysławem Brosiem z Luboczy, Luczanowice, lata 30. XX w.



Mieszkańcy Ruszczy, 1923 r., fot. Aleksander Siermontowski. W środku siedzi Aleksander Siermontowski (jun.) z czapeczką na głowie, z tyłu od lewej: ?, Antoni Sendorek, Adam Mandelbaum, Jan Sendorek, ?



Przed kościołem w Ruszczy stoją z lewej Marysia Starzeńska, a po prawej Remia Popiel (później Jaruzelska), lata 30. XX w.



Widok z tarasu pałacowego w kierunku kościoła w Ruszczy



Pałac w Ruszczy. Stojąca blondynka z obciętymi włosami to Marysia Starzeńska, a obok jej brat Maciek Starzeński. Pozostałych osób nie rozpoznano.



Na pierwszym stopniu siedzi Marek Roztworowski (późniejszy dyrektor Muz. im. Czartoryskich) i za nim Renia Popiel (późniejsza Jaruzelska), lata 30. XX w.



Wesele Stefana i Marii Nowaków w Wyciążach, 1939 r.



Józefa Karolczyk z synami, Władysławem i Kazimierzem, Wyciąże, 1950 r.



Ludwik Karolczyk z Wyciąż (zm. w 1947 r.) Służył przez 7 lat w Kompanii Honorowej przy Prezydencie Rzeczypospolitej Ignacym Mościckim w Warszawie, ok. 1930 r.



I Komunia Św. dzieci z Wolicy, w środku Aleksander Świętek, lata 40-50. XX w.



Dzieci z Wolicy, lata 40-50. XX w.



Katarzyna Tkaczyk z Kościelnik, ok. 1915 r.



Maria Tkaczyk z Kościelnik, lata okupacji niemieckiej



Siostry Katarzyna i Maria Tkaczykówny



Pani Durasowa z córką Janiną



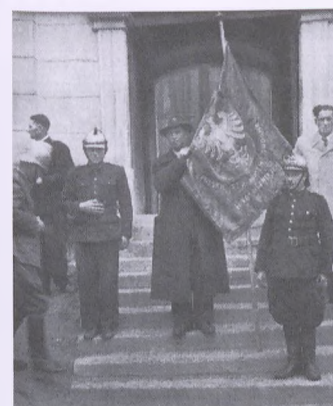
Katarzyna Łoboda z domu Kawula (1901-1952), córka Jakuba i Marii z d. Krupa



Wawrzyniec Łoboda (1892-1967), syn Andrzeja i Wiktorii z d. Senderek



Uroczystość poświęcenia sztandaru PSL w Kościelnikach, 1945 r. Od lewej: Stanisława Lebeda z d. Krupa, Stanisława Wójcik z d. Socha, Franciszka Broś z d. Czajka



Ze sztandarem PSL od lewej: Andrzej Warchoń (pochylony), Jan Duras, Stanisław Ściborowski, Jacenty Gryma, Wojciech Krupa (Komendant OSP), Władysław Duras, lata 60. XX w.



Dom rodzinny Ruśniaków, 1962 r.



N.N. zdjęcie ze zbiorów śp. Romana Ściborowskiego z Kościelnik



Rodzina Orzechowskich z Zielonek, lata 30. XX w



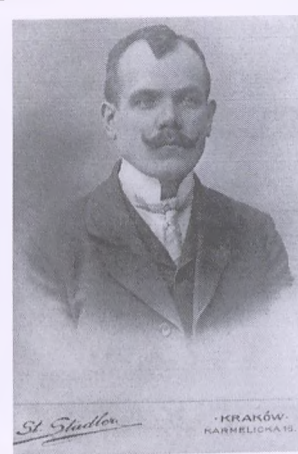
Koło Młodzieży Wiejskiej w Zielonkach, 1930 r.

Franciszka Gwóźdź
i Tadeusz Michalski
z Zielonek, 1916 rZofia i Michał Krawczyko
z Zielonek, 1935 r.Marianna Kaszowska
i Andrzej Zieliński, 1937 r.Od prawej: Kazimierz
Leszczyński, X. Placzek, Józef
Małek, X. SadzikZjazd Związku Młodzieży Wiejskiej powiatu krakowskiego
w Pleszowie. Wśród zgromadzonych delegacja z Zielonek,
12 października 1931 r.Zebranie Stronnictwa Ludowego w czasie strajków chłopskich
w 1936 r. Stanisław Bińczyski (czwarty stojący od lewej)
reprezentował Zielonki.

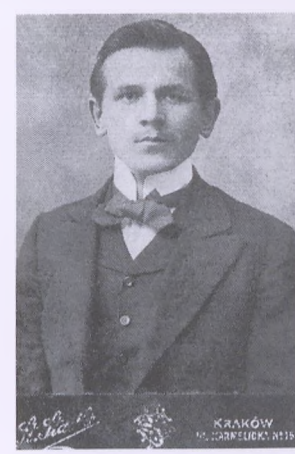
Fotografia wykonana w KL. Auschwitz w 1941 r. przedstawia Kunegundę Kaszowską, mieszkankę Bieńczy (zamieszkałą pod nr. domu 88). Została ona pojmana podczas łapanki w okolicach Starego Kleparza, gdzie na placu od wielu lat sprzedawała swoje plody rolne. W latach 80. sprowadzono jej prochy (wraz z innymi prochami mieszkańców Bieńczy zamordowanych w Obozach Koncentracyjnych III Rzeszy) do kościoła Arka Pana, gdzie znajduje się pamiątkowa tabliczka poświęcona ich pamięci. Kunegunda Kaszowska była prababcią Mariusza Zielińskiego, który zebrał zamieszczone na tej stronie zdjęcia i opracował do nich podpisy.



X. Nowak, pocz. XX. w



Feliks Stefański, pocz. XX w.



Maciej Nawara, pocz. XX w.



Maria Nawara, pocz. XX w.



Młodzież z Kantorowic, 1945 r.

Małgorzata, Bronisław i Wła-
dysław Malinowscy, Józefa
Trojanowska, pocz. XX w.Małgorzata Malinowska i Ma-
ria Wisowska, pocz. XX w.Dożynki w Czulicach. Pośród uczestników przed wieńcem dożynkowym siedzi Maria van Wollen, właścicielka tamtejszych dóbr.
21 sierpnia 1932 r.



Luborzyca, ok. 1953 r. fot. Zdzisław Łabędź



Dzieci z Luborzycy podczas procesji z okazji poświęcenia obrazu Matki Boskiej, lata 50-60. XX w.



Przed paradą, Luborzyca, lata 50-60. XX w.



Zbieranie ziemniaków, Luborzyca, lata 50. XX w.



Dom Adamczyków, Luborzyca, lata 30. XX w.



Dożynki w Luborzycy, lata 50-60. XX w.



Banderia krakusów, Luborzyca, 2 maja 1934 r.



Na wozie z tyłu Walenty i Anna Łabędzowie z Luborzycy, przed 1953 r.



Procesja w Luborzycy z udziałem Ks. Wincentego Piątkiewicza (1874-1965), proboszcza w latach 1937-1965, fot. Zdzisław Łabędź



Pogrzeb z udziałem orkiestry „Kosynierzy”, Luborzyca, ok. 1960 r.



Strażacy z OSP, Wielkanoc, lata 50. XX w.



Mężczyźni z Luborzycy w strojach krakowskich, pierwszy z prawej Stefan Adamczyk, lata 60. XX w.



Procesja w Luborzycy, z krzyżem idzie Stefan Adamczyk, lata 60. XX w.



Z lewej ks. Wincenty Piątkiewicz, ok. 1960 r.



Warszawa - 1946.

Zjazd PSL w Warszawie, 1946 r. Na pierwszym planie Stanisław Mikołajczyk, przywódca PSL i poseł do KRN. Z tyłu ze sztandarem delegacja chłopska z Luborzycy, a w niej pierwszy z prawej Stefan Adamczyk



Rozpoczęcie prac ziemnych pod budowę osiedli mieszkaniowych Nowej Huty. Mogiła, czerwiec 1949 r. Archiwum „Głosu – Tygodnika Nowohuckiego”



Zwózka pierwszych cegieł na plac budowy. Wokół widać dojrzewające zboże, którego nie pozwolono zebrać miejscowym gospodarzom. Mogiła, czerwiec 1949 r. fot. Stanisław Senisson/A.G.



Na placu budowy Nowej Huty (osiedle A-1). Mogiła, lato 1949 r. fot. Stanisław Senisson/A.G.



Na placu budowy Nowej Huty (osiedle A-1). Z lewej strony widoczny cmentarz w Mogile, 1949 r., fot. inż. arch. Jan Unger. Archiwum „Głosu”

S.P.B.

B-46-02

WSPÓŁZAWODNICTWO + PRACY

Miejscowość: Mogiła, ul. 2-VIII

Murawski	12	192%	32	32	124		
1. Powroński	12	193%	33	33	126		
2. Dąbko	12	194%	34	34	128		
3. Ciężki	12	195%	35	35	130		
4. Grolowski	40	216%	116	40	158		
5. Frankiewicz	9	189%	39	25	114		

Indywidualnie:

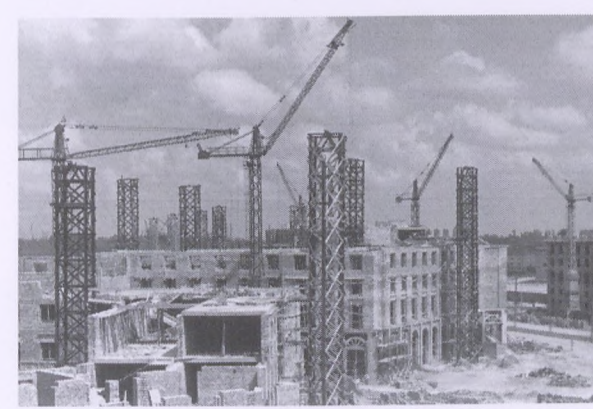
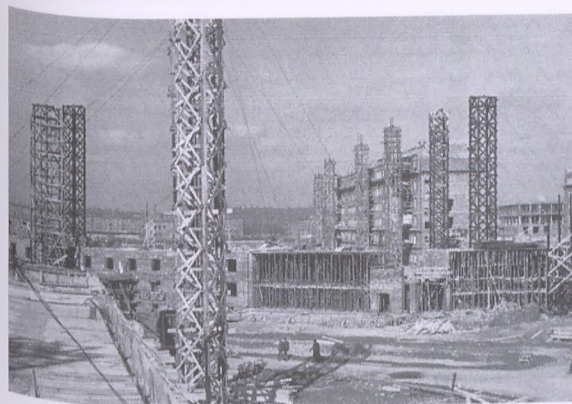
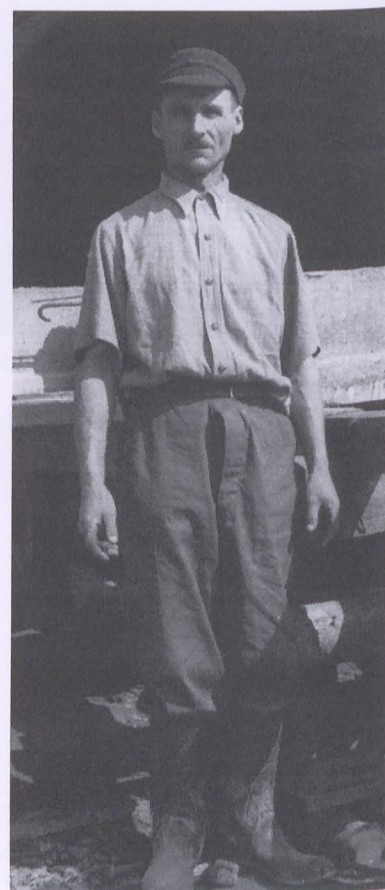
GAWLIK Ant.	200%	190		190
Kolut Kaz.	218%	119	14	132
Fajek Jan	513%	213		213



Trójki murarskie, Nowa Huta, lata 50. XX w. Archiwum „Głosu – Tygodnika Nowohuckiego”



Na placu budowy osiedla A-1. Mogiła, 1949 r., fot. Stanisław Senisson



Nowa Huta, ok. 1954 r., fot. Wojciech Łoziński, Własność: Muzeum Historyczne Miasta Krakowa, Oddział Dzieje Nowej Huty





Przed namiotem 55. Brygady SP, Mogiła, lata 50. XX w.



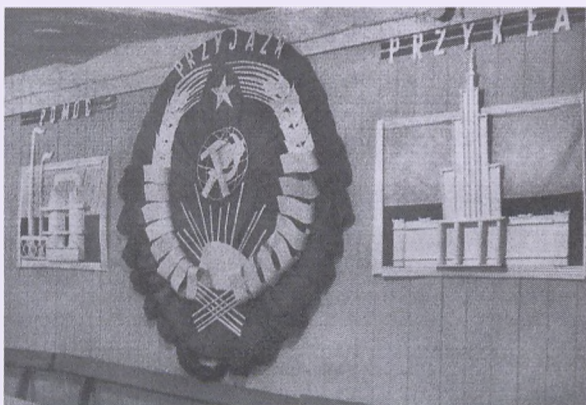
Danusia i Ala Mendyk z os. Górali w Nowej Hucie, lata 50. XX w.



Romowie w Nowej Hucie, fot. p. Gacek, lata 50. XX w.



Dzieci z Nowej Huty, fot. Roman Doniec, lata 50. XX w.



Dekoracja „Pomoc – Przyjaźń – Przykład”, wyk. i fot. Roman Doniec



„Dziadek Mróz” w Nowej Hucie, lata 50. XX w., fot. Roman Doniec



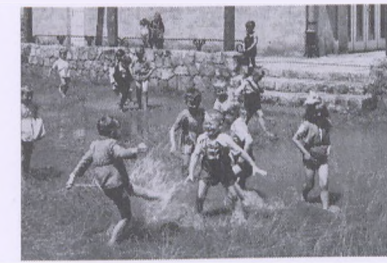
Orkiestra romska na ulicy Nowej Huty, lata 60. XX w., fot. Robert Kosieradzki



Zawody motocyklowe na nowohuckiej skarpie, obecnie stoi tam Nowohuckie Centrum Kultury, lata 50. XX w., fot. Roman Doniec



Migawki z Nowej Huty, lata 60. XX w., fot. Robert Kosieradzki



Zabawa w kałuży. Fot. Mieczysław Sychała, lata 60. XX w.





Kopiec Wandy, lata 50. XX w., fot. Witold Gajdziński



Kapliczka w Pleszowie, lata 50. XX w.,
fot. Mieczysław Spychała



Trzy epoki. Pleszów, 1999 r., fot. Adam Gryczyński



Krzyż w Pleszowie, 1999 r., fot. Adam Gryczyński



Nowohuckie klimaty, lata 70. XX w., fot. Mieczysław Libront



W Bieńczycach, lata 60. XX w. fot. Robert Kosieradzki



Strach na wróble w Mogile, lata 70. XX w.,
fot. Mieczysław Libront



Ostatnia orka, Nowa Huta, lata 70. XX w.,
fot. Robert Kosieradzki



Widok na Nową Hutę od strony kombinatu, ok. 1954 r., fot. Wojciech Łoziński



Budowa osiedla Kalinowego w Nowej Hucie, lata 70. XX w., fot. Robert Kosieradzki

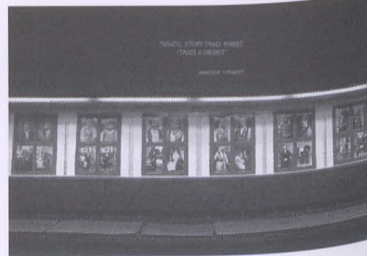
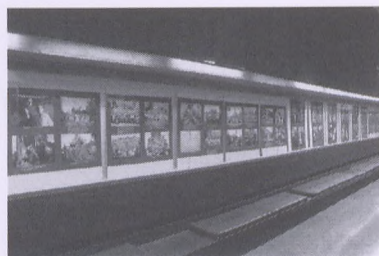


Orka w Grębałowie. Widok w kierunku cmentarza komunalnego i kombinatu, fot. Zbigniew Stokłosa. Zdjęcie wykonano podczas Ogólnopolskiego Pleneru Fotograficznego „Nowa Huta – miasto i ludzie” w 1986 r. Archiwum Krakowskiego Klubu Fotograficznego

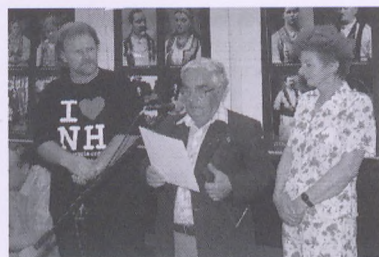
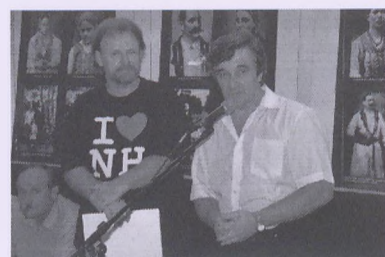
WYSTAWY



Pierwsza edycja wystawy „Czas zatrzymany” w ramach programu „Studio otwarte” w krakowskim ośrodku TVP, 21 maja 2006 r., fot. Adam Gryczyński



Fragment wystawy „Czas zatrzymany” w Nowohuckim Centrum Kultury, czerwiec – sierpień 2006 r., fot. Adam Gryczyński



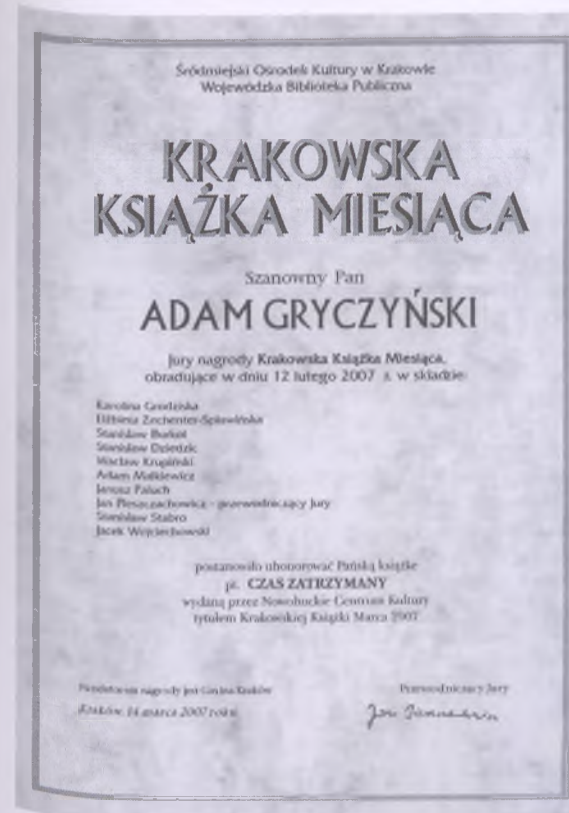
Otwarcie wystawy „Czas zatrzymany” w NCK, 26 maja 2006 r., fot. Anna Bubula, Grzegorz Boniowski



Otwarcie wystawy „Czas zatrzymany” w NCK, 26 maja 2006 r., fot. Anna Bubula, Grzegorz Boniowski



Otwarcie wystawy „Czas zatrzymany” w Centralnej Bibliotece Rolniczej, Warszawa, 16 listopada 2006 r., fot. Anna Bubula



Uroczystość przyznania tytułu „Krakowskiej Książki Miesiąca” dla „Czasu zatrzymanego”, Kraków, Śródmiejski Ośrodek Kultury, 14 marca 2007 r., fot. Grzegorz Boniowski



Szanowny Pan
Adam Guczyński
Artysta fotografik
Cisówek Wielkiego Ducha

Składamy serdeczne podziękowania, wyrazy wdzięczności i najwyższego
urazania za pomysł, zebranie materiału, zorganizowanie wystawy „Czas zatrzymany”
i wydanie katalogu - albumu wystawy.

Dzięki Panu zagladaliśmy do starych rodzinnych albumów i dokumentów,
zagłębiliśmy się w kalendarze pamięci, przypominaliśmy sobie, dzieciom i wnukom
nasze małe ojczyzny. Odnowiliśmy często zaniedbane węzły rodzinne, sąsiadkie
i koleżeńskie - znów po latach spotkaliśmy się, odżyły wspomnienia wspartych,
choć często bardzo ciężkich lat.

Za to wszystko, za poświęcenie naszej rodzinnej ziemi prowadzącej - skazanej
w PRL na zagładę - historii, dobrego imienia zaradności i gospodarności tej ziemi -
serdecznie, z głębi serca dziękujemy!

Przebijamy z głębokim szacunkiem - miłośnikom:

Mogily - Błonie - Pleszowa - Czajka - Łęka - Chłapów - Polacy - Braniec -
Ruszczy - Padoła - Łuczanie - Dubocz - Hnieszawie - Kozłowie - Mistrzejowice -
Grębowa - Prz - Raabowice - Kocmyrzowa - Lubowicz.

Kraków, dnia 13 lutego 2007r.

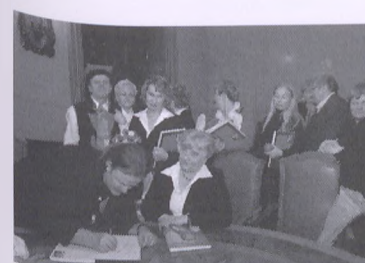
Franciszek Nawak
Irena Bonura
Maria Kosiorek
Maria Szajda
Elżbieta Dąbrowska
Marek Dąbrowski
Joanna Ziemiak z d. Gajoch
Halina Szostkowska z d. Gajoch
Halina Kłak
Józef Kłak
Anna Kosińska z d. Partyś
K. Stanisław Dąbrowski

Anna Adamczyk z d. Gajoch
Katarzyna Szlachetka z d. Gajoch
Tadeusz Gajoch
Dorota Gajoch
Adamczyk-Humorska M.
Rebata, Ostrowski
Józef Kosiorek

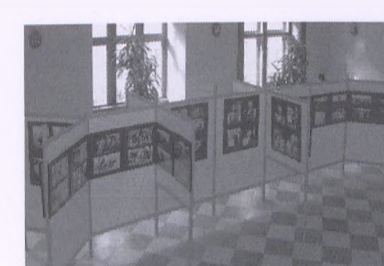
Janina Pilek
Jan Gucyński
Irena Kot
Mieczysław Marzec
Józef Hnieszawski
J. Hnieszawski
Andrzej Kotyła
Dydalek Gucyński
Maria Zdzienicka
Izabela Zdzienicka

Anna i Józef Bucharek
Stefania Hnieszawski
Józef Hnieszawski
Józef Hnieszawski
Józef Hnieszawski
Józef Hnieszawski
Józef Hnieszawski
Józef Hnieszawski

Łódź Bucharek
Benedykt Temnyk
Teresa Temnyk
partia o. Hnieszawski
Wincenty Ciesławski
Maria Januszek z d. Ciesławski
Maria Kosińska z d. Gajoch
Józef Hajto
Kajka Hnieszawski Radziszewski
Dionizy
Anna Gucyńska z d. Beda
Hnieszawski
Anna Hnieszawski
Anna Hnieszawski z d. Hnieszawski
Dziękuję
Józef Hnieszawski
Stanisław Hnieszawski
Józef Hnieszawski z d. Gajoch
Józef Hnieszawski



Uroczysta promocja książki „Czas zatrzymany” i spotkanie mieszkańców wsi na terenie których powstała Nowa Huta i kombinat metalurgiczny w Sali Obrad Rady Miasta Krakowa z udziałem Prezydenta Krakowa Prof. Jacka Majchrowskiego. Bankiet oraz wystawa w hallu kamiennym UMK, 6 marca 2007 r., fot. Anna Bubula, Grzegorz Boniowski





Spotkanie i pokaz zdjęć zgromadzonych w ramach projektu „Czas zatrzymany” w „Bunkrze Sztuki”, Kraków, 25 kwietnia 2007 r., fot. Anna Bubula, Grzegorz Boniowski



Spotkanie i pokaz zdjęć zgromadzonych w ramach projektu „Czas zatrzymany” w „Bunkrze Sztuki”, Kraków, 25 kwietnia 2007 r., fot. Anna Bubula, Grzegorz Boniowski



Fragment wystawy „Czas zatrzymany” w Ośrodku Kultury im. C.K. Norwida w Nowej Hucie, 2007 r.

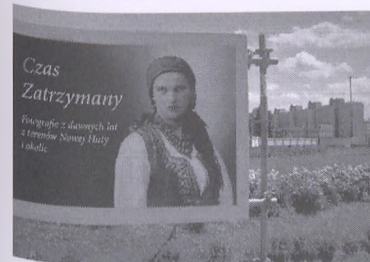
Prezentacja multimedialna i fragment wystawy „Czas zatrzymany” w Przedszkolu Nr. 179 „Pod Lipami” w Nowej Hucie, 22 maja 2007 r.



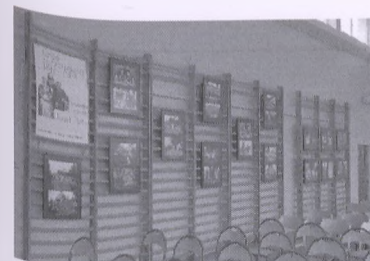
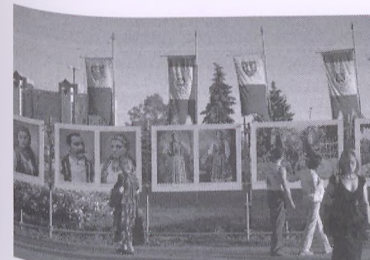
Prezentacja multimedialna i fragment wystawy „Czas zatrzymany” dla uczestników Pleneru Fotograficznego „Art.-Eko” zorganizowanego przez Okręg Świętokrzyski Związku Polskich Artystów Fotografików, Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy Końskie, 23 maja 2007 r.



Promocja wydawnictw w ramach obchodów 750 lecia lokacji Miasta Krakowa z udziałem Prezydenta Krakowa Prof. Jacka Majchrowskiego i Prof. Jacka Purchli, Dyrektora Międzynarodowego Centrum Kultury, Muzeum Historyczne Miasta Krakowa, 24 maja 2007 r., fot. Adam Gryczyński



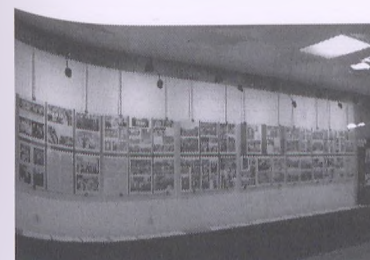
Otwarcie wystawy plenerowej „Nowa Huta - najmłodsza siostra Krakowa” powstałej w opracowaniu Adama Gryczyńskiego z 224 wielkoformatowych zdjęć autorstwa czołowych fotografików polskich (Stanisław Senisson, Henryk Hermanowicz, Roman Wesołowski, Robert Kosieradzki, Adam Bujak, Stanisław Markowski, Jan Zych i in.). Integralną, trzecią część wystawy stanowiła ekspozycja „Czas zatrzymany”. Nowa Huta, Plac Centralny, 5 lipca 2007 r., fot. Anna Bubula, Grzegorz Boniowski, Jan Zych



Fragment wystawy „Czas zatrzymany” w SP Nr. 89 w Nowej Hucie, os. Piastów, czerwiec 2008 r.



Spotkanie i pokaz zdjęć zgromadzonych w ramach projektu „Czas zatrzymany” u OO. Cystersów w Mogile z udziałem Opata Mogińskiego Dr. Piotra Chojnackiego i młodzieży, 7 października 2007 r., fot. Wincenty Zakrzewski O. Cist.



Wystawa „Czas zatrzymany 2” w Foto-Galerii Nowohuckiego Centrum Kultury, Kraków, Al. Jana Pawła II 232 6 października-3 listopada 2008 r., fot. Adam Gryczyński

LISTY

Kupiłem album „Czas zatrzymany”,
który jest jak objawienie...
widziałem w nim poranne słońce,
strumyk z dzieciństwa,
taki czysty i radosny, szmerzący
wśród jaskrów na łące,
widziałem kapliczkę przydrożną,
czułem zapach łąk i słyszałem śpiew skowronka nad polami,
widziałem ludzi
o oczach jasnych, czystych...
Dziękuję...

Tadeusz Maroszek

Piszę ten list już drugi dzień i tyle myśli w głowie się kołaczę, lecz trudno przelać je na papier. Szukam właściwych słów za pomocą których mogłabym wyrazić to co czuję.

Nie mogę znaleźć. Napiszę po prostu – dziękuję. Wiem że to zbyt mało ale tak trudno mi pisać. Dostarczył Pan tylu wzruszeń. Oglądając wystawę myślę o moich trzech Janach.

Janie – dziadku chłopie z podkrakowskich Bieńczyc, który kochał pracę na ziemi przeżył pierwszą wojnę światową tylko dla tego że nie wykonał rozkazu padnij i kula trafiła go w nogę a nie w głowę. Musiał żyć bo w Bieńczycach została moja babcia wdowa z dwójką małych dzieci. Ziemię którą kochał stracił.

Drugi Jan to mój ojciec urodzony już w wolnej Polsce. Tata budował Hutę Lenina Był kierownikiem budowy. Piece Martenowskie, wszystkie kominy to jego dzieło. Z jednego komina spadł i tylko cudem przeżył. Miał nadzieję że to co robi spowoduje że ludziom będzie się żyło lepiej. Był już inteligentem. Nie chciał mieszkać w Hucie.

Trzeci to Janek mój syn. To już Krakowianin nie tak jak jego dziad Krakowiak. Mieszka już Bieńczycach 11 lat. Wrócił do miejsca gdzie żyli jego przodkowie.

To Pan sprawił, że odnaleźliśmy swoje korzenie, które są tak ważne, które życiu nadają sens. Wystawa piękna. Robi ogromne wrażenie. I tylko jedna taka myśl: jak szłam na wystawę po ulewie i oglądałam zdjęcia babci to krople spływały po licu babci jak łzy. Nie wiem czy babcia tam dobrze się czuje – ogląda miasto powstałe na ziemiach, które tak bardzo kochała. Kochała pola, skowronki, kurki, polne kwiaty. Miasta się bała (z domu prawie nie wychodziła).

Panie Adamie, wymieszał Pan te trzy pokolenia jakże różne, ale może Pan sprawi że wszyscy będą się dobrze czuć w tym mieście. Pański synek Kamil był świetny w tym krakowskim stroju. Jest bardzo do Pana podobny, a jak pięknie tańczy. Wszystko było bardzo piękne, no ale to było wiadome bo robi to Pan z wielkim sercem. Jeszcze raz bardzo dziękuję.

Elżbieta Dzikowska

Dzięki tej wystawie Plac Centralny ożył. Stał się miejscem spacerów i spotkań.

Czegoś takiego do tej pory nie widziałem. Zawsze Plac Centralny był duży i pusty – taki bez wyrazu. Swoją drogą, czy to nadal jest Plac Centralny czy też Plac im. Ronalda Reagana? Mam nadzieję, że jednak Centralny.

Andrzej Szczepocki

Bardzo cieszę się, że nasza znajomość nie jest już tylko wirtualna i miałam okazję Pana poznać.

To zaszczyt uściskać dłoń komuś takiemu jak Pan. Bynajmniej nie za sławę ale za to kim Pan jest wewnątrz. W każdym Pana słowie słyszę wielkość ducha i ogrom serca jaki wkłada Pan w to czym się zajmuje. Jak śpiewał Czesław Niemen: „Lecz ludzi dobrej woli jest więcej i mocno wierzę w to, że ten świat nie zginie nigdy dzięki nim”. I Pan, nie tylko mnie, przywraca tę nadzieję. Za to właśnie jestem wdzięczna. Wystawa przesiąknięta jest Pana au-

torstwem. Niewielu ludzi tak przeżywa historię i dba o nią. Bardzo trafne jest główne motto wystawy ze słowami Zbigniewa Herberta: „Naród, który traci pamięć, traci sumienie”. Przyznam szczerze, iż wcześniej miałam w głowie namiastkę historii Nowej Huty. Zdjęcia często pokazywały rolniczy charakter dzielnicy na tle nowoczesnych budynków. Nie byłam jednak świadoma, że to zderzenie dwóch zupełnie różnych światów było niekiedy tak dramatyczne. Przytoczone historie i życiorysy bardzo wciągają i pozwalają przenieść się w tamte czasy, chociaż myślami. Jeszcze raz dziękuję za „zatrzymanie czasu” dla niejednego z nas: od pasjonata Nowej Huty, przez historyka a skończywszy po prostu na mieszkańcu tej dzielnicy. Serce Nowej Huty rośnie właśnie dzięki takim ludziom jak Pan.

Anna Twardosz

Serdecznie dziękuję Panu za piękny prezent jakim jest album, w którym znalazły się cenne, prawdziwe historie, zdjęcia, opowiadania z moich rodzinnych stron, ale także z pobliskich okolic dobrze mi znanych. Nie umiem wyrazić wdzięczności za tak miły upominek, który Pan zadedykował dla mnie, przekazując go przez moją siostrzenicę Józefę Kalembę. Album „Czas zatrzymany” sprawił mi dużą radość, a praca jaką Pan włożył, jest żywym obrazem i przekazywaniem dla następnych pokoleń, co jest cenną wartością. Przesyłam Panu wiele serdeczności i pozdrowienia. Życzę, aby Pan mógł dalej z takim oddaniem i miłością zapisywać historię dziejów ukochanej Ojczyzny jaką jest Polska.

Antonina Ludwig z d. Adamczyk z Luborzycy

Jestem synem Stanisława Gajocha z Pleszowa, a Joanna Kasznik to moja siostra. Mieszkam w Chicago od 17 lat. Jest tutaj też nasza siostra Halina, z kolei od 1973 r. w Paryżu mieszka nasz brat Tadeusz oraz nasza kuzynka Stasia Gajoch – córka Józefa Gajocha, brata naszego Taty. Ta drogą chciałem opisać dalsze losy rodziny Stanisława Gajocha. Moim nauczycielem był m.in. Jan Twaróg i jego żona Genowefa – bardzo zacni ludzie. Bardzo dużo dowiedziałem się ze stron internetu o mojej miejscowości Pleszowie, jak również o bliższej i dalszej Rodzinie. Serdecznie Panu dziękuję za zainteresowanie się historią mieszkańców wsi podkrakowskich. Życzę powodzenia w dalszych odkrywczych poszukiwaniach.

Bolesław Gajoch z Rodziną

Właśnie dostałam zdjęcia rodzinne od siostry, które znajdują się w albumie, szkoda że nie doszło do spotkania z Panem w Krakowie. Gratuluję przedsięwzięcia tym bardziej jeżeli ta praca przyczyni się do odnowienia w narodzie polskim ducha patriotycznego, szczególnie wśród młodzieży polskiej, ale niestety po ostatnim pobycie jestem wręcz załamana postawą wielu, tak młodych jak i starszych, mam nadzieję, że celem pana pracy jest również ten aspekt. Odtworzył Pan doskonale tamtą scenę „Wielkiego Teatru”, gdzie każdy gra swoją przydzieloną przez los rolę, której nie musi się wstydić. Treść jest tak nadto wyrazista, iż wiadomo o co chodzi – żadne ideologie nie są w stanie zniweczyć człowieczeństwa, gdy „Charitas sine modo!” czyli – „Miłość ponad wszystko”. Brzmienie łacińskie dodaje swoistego kunsztu. Kto wie, może przez takie zwroty powoli zaczniemy ratować ten jakże bezcenny język, a wraz z nim nauki filozoficzne, humanistyczne, które tak ostatnio zanikają. Miał Pan więc świetny na to pomysł i zachęcam do jego kontynuowania...

Jeśli mogłabym coś dodać do historii Pleszowa, to w pierwszej kolejności wspomnę z mojego okresu wspólnych pedagogów: najpierw, bardzo krótko Pan Jan Twaróg i jego żona, a potem pan Stanisław Niżyński i jego żona Feliksa. On – historyk, poeta (mam zbiór jego wierszy) syn przedwojennego okręgowego kuratora szkół podstawowych i gimnazjów, ona – matematyk, należeli do odchodzącego niestety pokolenia nauczycieli, którzy zawodu nie traktowali tylko jako źródła pieniędzy ale głęboko pojętą odpowiedzialność. Ich ofiarna praca polegała nie tylko w przekazywaniu wiedzy ale w szczególności na kształtowaniu młodego pokolenia odpowiedzialnego nie tylko za siebie ale dobro narodu i ojczyzny.

Tu wypada złożyć pokłon w stronę takich jak ONI, dzięki ich postawie mogliśmy przetrwać i nie dać się całkiem zmanipulować ówczesnej ideologii. Stanisław Niżyński nigdy nie był członkiem PZPR, była to rodzina głęboko wierząca i patriotyczna więc mógł najwyżej pełnić funkcję z-cy kierownika szkoły, mimo że były naciski odgórne, jednak co warto podkreślić; jego zwierzchnik a kierownik nowohuckiej szkoły, chociaż członek

ówczesnej partii darzył rodzinę państwa Niżyńskich niewymuszonym poważaniem. Dziś trudno byłoby o taką postawę, a nawet można się pokusić o zadanie pytania kto zasługuje na potępienie: czy tamten na zewnątrz „czerwony”, a czyniący więcej dobrego niż ten dzisiejszy obywatel, często bez większych skrupułów szydzący z prawego Polaka miłującego Ojczyznę.

Dla uczniów i nauczycieli ze szkoły podstawowej na Wzgórzach Krzesławickich, Os. Wysokim, no i oczywiście Pleszowa, którzy pamiętają dźwięk szkolnego dzwonka z tamtych lat, niech ta moja krótka refleksja będzie okazją aby przywołać pamięć również tamtych nieocenionych pedagogów.

Panu Adamowi składam wyrazy ogromnego szacunku i wdzięczności za autentyczne Ocalenie Od Zapomnienia, i wskrzeszenie przeszłości. Album ten znajdzie godne miejsce w każdym polskim domu. Niech więc świadomość tego będzie dla Pana najlepszą zapłatą.

Halina córka Stanisława Gajocha z Pleszowa

Nie odważyłam się podejść do mikrofonu, aby Panu serdecznie podziękować wobec wszystkich zebranych za ten kawałek historii, który Pan ocalił. Ale pragnę Panu i całemu Zespołowi – chociaż tą drogą – serdecznie podziękować w imieniu własnym oraz moich najbliższych. Nie miałam nawet wyobrażenia jak ciężką pracę trzeba wykonać, aby taka wystawa mogła powstać! Ile wytrwałości, pracowitości i czasu musiał Pan poświęcić, aby wtopić się w historię naszych przodków i wszystko to w tak piękny sposób jeszcze raz nam opowiedzieć i przedstawić. Wystawa „Czas zatrzymany” przejdzie do historii. Naszych Dziadków i Ojców, którzy z takim poświęceniem walczyli o wolność Ojczyzny już nie ma, ale oni do nas wrócili i to w sposób szczególny – dzięki Panu! Jesteśmy pełni podziwu i uznania. Jeszcze raz serdecznie dziękujemy.

Z poważaniem w imieniu własnym i rodziny

Joanna Kasznik

Pragnę podziękować za tak duży wkład pracy przy redakcji albumu i pogratulować efektu końcowego, a także podziękować za ilość materiałów o moich rodzicach. Cieszę się, że obszernie fragmenty książki dotyczą Bieńczyc.

2007.03.29

Andrzej Kotyza – syn Jana

Ten album pomógł mi zaspokoić Norwidowe tęsknoty, które noszę w sercu „Do tych, co mają tak za tak – nie za nie, bez światło-cienia”... i Mickiewiczowe „do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych”... do tych pól malowanych zbożem rozmaitem”...

Muszę zgodzić się z Pana słowami, że „Nowa Huta dla wielu wciąż pozostaje niezabliźnioną raną na sercu i ziemi.” Na tych pięknych terenach mieszkali kiedyś moi przodkowie. Co z tego, że od 30-stu z górą lat mieszkam w Krakowie, że pracuję w Bibliotece Medycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego, skoro zatraćmy swoją tożsamość odrywając się od korzeni z których wyrosłem??? Na str. 177 ze wzruszeniem rozpoznałem Tomasza Sochę mojego pradziada otoczonego rodziną, wśród której jest moja babcia, a na str. 85 Wiktorię i Adolfa Szutów – również moich dawno zmarłych krewnych. Na str. 186 natomiast przeczytałem o gestapowcu wyładowującym agresję na mojej babci Maroszkowej.

Muszę powiedzieć, że przodkom spoglądającym z pożółkłych fotografii zazdroścę tego jasnego spojrzenia, pełnego zarazem godności i poczucia swej wartości... Ja to gdzieś niestety zatraćmy. Jeszcze raz dziękuję za całą falę wzruszeń wywołaną lekturą książki.

Tadeusz Maroszek

Niedawno widziałam Pana w Nowohuckiej Kronice Filmowej. Bardzo miło było zobaczyć na właściwym miejscu znajomą twarz. Cieszę się, że Nowa Huta ma w Panu takiego propagatora. To było już wiadome przy naszym pierwszym spotkaniu, bo Pański entuzjazm w opowiadaniu o zdjęciach, na którymi Pan wówczas pracował, mnie zachwycił. Od czasów naszego kontaktu sama zaczęłam inaczej patrzeć na Nową Hutę i niezmiennie tamta część miasta kojarzy mi się – dużo bardziej sympatycznie – z Pana osobą.

Małgorzata Zomerska

Panie Adamie serdecznie gratuluję wystawy i publikacji!

Cieszę się bardzo, że ogromna praca jaką Pan włożył w przygotowanie odniosła wielki sukces.

Z zainteresowaniem śledziłam i śledzę informacje jakie ukazują się w prasie na temat Pana wystawy. Sama jestem fanką zdjęć i cieszę się, że takie medium jak fotografia pozwala nam na chwilę zatrzymać wspomnienia i kawałek historii. Zwłaszcza historii Nowej Huty – tak często niedocenionej i zepchniętej na margines Krakowa.

Barbara Juraszek

Szanowny Panie!

Z wielką radością i zainteresowaniem przeczytałam w „Gazecie Krakowskiej” wiadomość, że organizowana jest wystawa „Czas zatrzymany”. Mieszkam we Wrocławiu, ale moja rodzina pochodzi z Mogiły i Czyżyn. Niestety w domowym archiwum nie posiadam żadnych zdjęć z tamtego okresu, dlatego wiadomość o tym, że w jednym miejscu zdołano zgromadzić aż tyle fotografii jest niesamowita. Martwię się tylko, że nie uda mi się zobaczyć tej wystawy ze względu na odległość i obowiązki w domu (mam małe dziecko). Dlatego bardzo liczę na jakiś trwały ślad po tym wydarzeniu w postaci albumu. Chętnie go kupię. Będę wdzięczna za każdą informację.

Serdecznie pozdrawiam i gratuluję pomysłu.

Aleksandra Erbert

Witam ponownie!

Bardzo dziękuję za odpowiedź. Przeglądałam zdjęcia z linków, które mi Pan przysłał i na stronie nowahuta.org.pl zobaczyłam fotografię starszej pani, która prezentuje stary gorset krakowski. Gdzie zostało zrobione to zdjęcie? Kim jest ta pani? Czy to jej rodowy gorset i jaka jest jego historia? Bardzo proszę o informację. Jedyną naszą pamiątką rodzinną, która przetrwała wojnę, był właśnie taki gorset, na chabrowym suknie ze złotymi frędzlami i prawdziwymi koralami. To było prawdziwe dzieło sztuki. Niestety bez wiedzy mojej babci, chyba w latach 50-tych, rodzina sprzedała go za 100 zł kobiecie, która rozprawiała mleko. Czy to możliwe, że to jest ten sam gorset? Bardzo proszę o informację. Z tamtych czasów nie zachowała się żadna pamiątka..., a gorset ten nosiła jeszcze moja prababcia – Marcjanna Radoszek z d. Siwek urodzona w Czyżynach, a zamieszkała w Mogile. Może ktoś go widział i wie co się z nim stało?

Aleksandra Erbert

P.S. Pokazałam babci zdjęcie tego gorsetu, ale stwierdziła, że to nie jest ten sam, ale bardzo do niego podobny. Prawdopodobnie więc powstał w tym samym warsztacie.

Wczoraj wręczyłam babci prezent z okazji urodzino-imienin w postaci albumu „Czas zatrzymany”. Nie przypominam sobie kiedy babcia ostatnio tak bardzo się z czegoś cieszyła. To jest najwspanialsza rzecz jaką mogłam jej ofiarować. Wszyscy goście również byli zachwyceni, więc książka była głównym tematem całego przyjęcia. Jeszcze drzwi się nie zamknęły za ostatnim gościem, a babcia już zabrała się do jej czytania. Z relacji mamy wiem, że czytała ją do 12-tej w nocy. Dlatego jeszcze raz pragnę za nią podziękować, ponieważ wszystkim sprawiła ona mnóstwo radości. Dzięki Pana wielkiej pracy i zaangażowaniu tyle osób mogło oglądać rezultaty tego wielkiego przedsięwzięcia. Wielkie dzięki.

Ola Erbert

Panie Adamie

Przepraszam że dopiero dzisiaj piszę ale przeniosłam się do innego czasu. Do czasu który Pan zatrzymał. Trudno z niego wyjść. Z książką nie rozstaję się ani na chwilę. Jest ze mną w każdym momencie, w pracy, w domu, nawet kiedy śpię leży obok. Jest wspaniała. Brak słów za pomocą których chciałabym wyrazić co czuję. Jestem szczęśliwa. Mam nadzieję, że wszyscy, którzy będą ją oglądać i czytać będą przeżywać to co ja w tej chwili. Szkoda że nie jestem poetką – napisałabym hymn pochwalny. Jestem tylko prostym człowiekiem, potomkiem podkrakowskich chłopów.

Napiszę tylko DZIĘKUJĘ.

Elżbieta

Nie znamy się. Jestem szkolnym kolegą Maryli Kościelniak i Roberta Kosieradzkiego. Zajmowałem się amatorsko fotografią od lat 50. Z nostalgią oglądałem zdjęcia z wystawy. Trochę to brzmi jak „Obrazki z wystawy”. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł aby wystawę uzupełnić „prywatnym śledztwem” polegającym na przedłużeniu życia zdjęć, rozmowami z ludźmi, którzy sfotografowani na tych zdjęciach jeszcze żyją lub może ich dziećmi. Brakuje mi opowieści o losach, nazwiskach oraz ich obecnym statusie, brakuje komentarza do tych fotografii chociażby tylko w formie daty – topografii. Pewnie pomysł nie do zrealizowania, bo wymagający czasu, zacięcia, a pewnie i pieniędzy. Znając Nową Hutę od 1952 r. korci pójść w te miejsca i zobaczyć jak dziś wyglądają. Proszę nie gniewać się za takie wishful thinking, ale piszę z prawdziwej sympatii i podziwu dla wysiłku włożonego w urządzenie wystawy.

Andrzej Ogorzałek

Wczoraj były moje urodziny. Zadzwoił Pan dokładnie w czasie gdy 51 lat temu przyszedł na ten świat. Wiadomości jakie usłyszałam – że „Czas zatrzymany” otrzymał tytuł „Krakowskiej Książki Miesiąca” były najwspanialszym prezentem jaki dostałam. Jestem bardzo szczęśliwa i bardzo się cieszę, że album został doceniony. Jest w nim Pana ciężka praca, nieprzespane noce, a przede wszystkim wielkie serce. Dlatego jest taki piękny. Dziękuję Pana rodzicom, że Pana tak wspaniale wychowali, dziękuję Pana żonie, dziękuję Bogu za to że Pan jest. Dobrze, że na tym świecie w którym tak ciężko teraz żyć, są tacy ludzie jak Pan, którzy w swoją pracę wkładają tyle serca, którzy widzą drugiego człowieka i robią coś z myślą o innych nie o sobie. Ale Pan narozrabiał!

Bardzo, bardzo się cieszę, że trochę tej sprawiedliwości jest na tym świecie.

Elżbieta

2007.03.15

Prawdziwa przyjemność móc uczestniczyć w spotkaniu z okazji przyznania tytułu „Krakowskiej Książki Miesiąca” w Śródmiejskim Ośrodku Kultury na ul. Mikołajskiej w Krakowie. Jeszcze raz dziękujemy bardzo za zaproszenie, a w szczególności za tę jakże wartościową i piękną książkę, którą przyjmujemy z wdzięcznością by wzbogacić nasz księgozbiór.

Krystyna Tomaszewska

Biblioteka Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UJ

Panie Adamie,

siedzę sobie w domku (wzięłam sobie Parę dni urlopu), mój pies Punia który ma już 12 lat jest bardzo ciężko chory, ledwo oddycha, mam wrażenie że to ostatnie jej chwile. Wiem że przy mnie jest spokojna, dlatego jestem teraz z nią. To tylko pies, ale był ze mną przez tak długi okres czasu, jest członkiem rodziny. Mam trochę więcej czasu i tak sobie myślę o książce, o ludziach z książki. Patrzę przez okno i wyobrażam sobie jak tu było 50 lat temu...

Panie Adamie zrobił Pan wielką rzecz, ale to Pan wie. Nie będę się powtarzać.

Myślę że album jest taki piękny dlatego, że są tam zwykli ludzie, nie wybierani według klucza; który ważniejszy, kto mądrzejszy – nie było nacisków kogo wybrać. Tam jest spontaniczność. Ale te zdjęcia są takie piękne dzięki Panu, bo nie ma porównania między oryginałem, a obrazem który Pan zrobił. Jest Pan wielkim artystą, który potrafi małe zdjęcie na których niewiele widać, przeobrazić w przepiękny obraz. To jest sztuka. Tych zdjęć by nie było gdyby nie Pana wielkie serce. Pan kocha ludzi i to widać. Wczorajsza uroczystość była bardzo sympatyczna. Dziękuję. Kamilek wspaniały, no ale trudno się dziwić przy takich rodzicach. Mam nadzieję że już czuje się dowartościowany. To takie ważne. On też będzie pamiętał ten dzień. Wczorajsza uroczystość to taka perełka. Życie składa się z szarych dni poprzeplatanych takimi perełkami, które będziemy długo wspominać.

Mam nadzieję że to nie ostatnie perełki w moim życiu.

Teraz idę z Punią do weterynarza.

2007.03.15

Elżbieta

Czasowstrzymywacz

Rzecz o Adamie Gryczyńskim

Przy każdym spotkaniu, czy to wirtualnym, czy realnym zachęca mnie do pisania, więc piszę. Tym razem nie o sobie i swoich przodkach, tylko o Nim samym. Będzie to nieudolna próba ogarnięcia, zdefiniowania, czy scharakteryzowania zjawiska i fenomenu, który nazywa się Adam Gryczyński.

Jednym z atrybutów natury ludzkiej jest nieodparta potrzeba: musimy wszystko definiować, charakteryzować, szufladkować... i zazwyczaj nam się to udaje do momentu, kiedy napotykamy kogoś, kto ze swą pasją i żywiołowością wykracza poza wszelkie kanony naszego rozumowania.

Adam Gryczyński posiada wyjątkowy w naszym kraju dar zatrzymywania czasu i jednoczenia ludzi zwłaszcza na terenie Nowej Huty, czyli w miejscu, „które dla wielu wciąż pozostaje niezabliźnioną raną na sercu i ziemi”. Swoją pasją „zaraża” setki osób, z którymi się spotyka, ujawniając zdolności, których istnienia u siebie nawet nie przeczuwali, wyzwalając w nich pozytywną energię i najlepsze emocje, dotykając ich najczulszych strun, poruszając najdelikatniejszymi gałązkami drżącymi w słońcu ich wrażliwej duszy i zalewając ich rany na sercu oliwą serdeczności, życzliwości, empatii, zadośćuczynienia...

To współczesny ewangeliczny Samarytanin.

Ta atmosfera życzliwości wraca do Niego ze zwielokrotnioną siłą od tych wszystkich, którym przywrócił utraconą godność i tożsamość. To jest Jego siłą napędową i potężną falą, na której się unosi. My „Nowohucy Indianie” nosimy w swoich sercach Norwidowe tęsknoty: „do kraju tego, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi, przez uszanowanie dla darów nieba” i Mickiewiczowe „do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych szeroko nad [płynącą Dłubnią] rozciągniętych, do tych pól malowanych zbożem rozmaitem”...

Kochamy więc Pana Adama za reaktywowanie minionego świata, za obudzenie w nas ducha tamtych czasów, za drugie życie dane naszym zmarłym przodkom, za odkłamanie zafałszowanej historii, za falę wzruszeń, za to, że tak, jak nasz wieszcz narodowy przenosi nas w „kraj lat dziecińczych, on zawsze zostanie piękny i czysty, jak pierwsze kochanie”.

To wszystko jest niesamowite. Piszę te refleksje będąc pod wrażeniem otwarcia plenerowej wystawy „Nowa Huta najmłodsza siostra Krakowa”. Wracając do domu z uśmiechem na ustach, z lekkim i czystym sercem, jak po rozgrzeszeniu. Dostałem jakiegoś oczyszczenia pamięci, tego wręcz antycznego „katarzis”. Dawno czegoś takiego nie doznałem, więc chciałbym jeszcze raz podziękować Panu Adamowi za wszystko i życzyć by ta fala ludzkiej życzliwości jak najdłużej go unosiła wyzwalając zapal i natchnienie do dalszej pracy.

Ducha naszych czasów najlepiej charakteryzuje fragment piosenki śpiewanej przez Krzysztofa Kiliańskiego: „Świat szybki jak młody wiatr pędzi co tchu i nie ma czasu na miłość już”... Zaczynają również pojawiać się niepokojące prognozy, że nadchodzą czasy, kiedy najlepszym przyjacielem człowieka będzie komputer, a drugi człowiek zostanie zepchnięty na margines. Wciąż mamy poczucie szaleńczo uciekającego czasu. Wciąż jest go za mało. Brak czasu, brak na rodzinę, na siebie, na chwilę refleksji, na dom, na znajomych, na psa... Wszystko robimy w biegu, a przestrzegali nas Marek Grechuta dokąd nas to zaprowadzi: „Nie znajdziesz Obiecanej Ziemi od pól polarnych aż po równik i tylko czasem będą chwile, że serce tak jak most zadudni”.

W tym kontekście dla naszego zdrowia psychicznego jest nam potrzebny Czasowstrzymywacz – od zaraz. Wszak mówi poeta Adam Ziemiński: „A nam się przyda nam taka chwila, żeby nad życiem się zatrzymać”.

Dobrego nigdy dosyć, więc może „Czas zatrzymany 3”...???

Na zakończenie pragnę zadedykować Panu Adamowi Gryczyńskiemu słowa bł. Matki Teresy z Kalkuty, które nieświadomie wypełnił:

„Zawsze ilekroć się uśmiechasz do swojego brata
i wyciągasz do niego rękę,
zawsze wtedy jest Boże Narodzenie.
Zawsze ilekroć milkniesz by innych wysłuchać,
zawsze kiedy rezygnujesz z zasad,
które jak żelazna obręcz
uciskają ludzi w ich samotności,
zawsze kiedy dajesz odrobinę nadziei załamany,
zawsze kiedy rozpoznajesz w pokorze,
jak bardzo znikome są twoje możliwości
i jak wielka jest twoja słabość,
zawsze ilekroć pozwolisz,
by Bóg pokochał innych przez Ciebie –
Zawsze wtedy jest Boże Narodzenie”

Ono zaistniało – w moim sercu i w sercach wielu wzruszonych ludzi, którzy przybyli na otwarcie wystawy. Skoro mogło się wydarzyć w betlejemskiej szopie, to mogło również tu, w Nowej Hucie na Placu Centralnym. Przodkowie spoglądający z fotografii w nostalgicznym odcieniu sepii, wiedzieli, co się wydarzyło. Zanim powstała Nowa Huta, na tych ziemiach funkcjonowało powiedzenie „mieć Boga w sercu”. Oni Go mieli. A jeszcze tak niedawno na tym placu panoszyła się ogromna bryła pomnika Lenina, który twierdził, że Boga nie ma...

Pan Adam Gryczyński wskrzesił Ducha tamtych czasów i dlatego tak bardzo i z całych sił wspieramy i kochamy naszego Czasowstrzymywacza.

Tadeusz Maroszek

Dzięki za artykuł, za album i za ... uniwersalne wartości. Za Twoją wyjątkowość, za to, że Ci się chce mimo wszystko, za tę wielką PRACĘ! A Oli za to, że dzieli z Tobą ten trud.

muchomor

Teraz te zdjęcia zaczynają żyć swoim życiem. Widzę na nich piekarnię Motyki z pysznym chlebem i „Niagara” na Dłubni pod którą spotykali się koledzy, i ulicę Fatimską. A tak nawiasem mówiąc dowiedziałam się, że na miejsce gdzie obecnie mieszkam mówiono niegdyś Budzyna. Tak są zaadresowane listy do moich dziadków. Nazwa pochodzi podobno od budzenia, ponieważ domy tu położone były najbardziej oddalone od stacji kolejowej, więc ludzie, którzy tu mieszkali najwcześniej wstawali aby zdążyć do pociągu, a potem budzili pozostałych we wsi. Panie Adamie i pomyśleć że te wspaniałe chwile jakie teraz przeżywam zawdzięczam panu. (Mam siłę przenosić góry). Mam nadzieję, że więcej ludzi przeżyje to samo. Niech pan robi to dalej. Naprawdę warto. Wystawa „Czas zatrzymany” bardzo mi się podobała. Przeniosłam się te kilkadziesiąt lat wstecz do dzieciństwa. Pamiętam jak przyjeżdżałam do dziadków, jak chodziłam po sadzie, który coraz bardziej się kurczył a bloki rosły. Gdy już podeszły bardzo blisko, a dziadek skracał sobie drogę do pola między blokami, to pewnego dnia ktoś wyrzucił gruz przez okno i trafił nim w dziadka. Dziadziu leżał potem długo w szpitalu, miał trepanację czaszki. Widzę go na tych zdjęciach jak orze...

Elżbieta

Jesteśmy „świeżo” po lekturze „Czasu zatrzymanego”, który mogliśmy przeczytać dzięki państwu Elżbiecie i Marianowi Dzikowskiemu. Choć od zawsze mieszkamy niedaleko Nowej Huty (okolice Niepołomic), dopiero teraz spojrzaliśmy na nią innymi oczami. Nigdy wcześniej nie przyszłoby nam do głowy, że ten kawałek Krakowa ma tak niesamowitą historię, mimo iż nasz dziadek często opowiada o niechlubnych czasach powstawania kombina-

tu. Wspomina też o ludziach, którzy trafili do Nowej Huty, bo już nigdzie nie było dla nich miejsca. Żałuje również żywnych ziem i naturalnego środowiska zdegradowanych przez przemysł. Jesteśmy pod wrażeniem „Czasu zatrzymanego”. Doskonałe zdjęcia, ciepło opowiedziana historia ludzi. Nowa Huta zyskała zupełnie inną twarz.

Gratulujemy pomysłu i doskonałej jego realizacji.

Barbara i Katarzyna Miernik

Wspólnie z mamą dziękujemy za piękną publikację, która mogła powstać tylko dzięki Pana tytanicznej pracy. Sądzę, że nikt nie mógł przewidzieć jakie skarby kryją się w domowych archiwach. Ponownie gratuluję sukcesu wystawy. Raz jeszcze potwierdza to, iż dobry pomysł + pasja + konsekwencja w działaniu musi przynieść dobre rezultaty. Przyznam szczerze, że muszę jeszcze raz na spokojnie podejść i oglądnąć te wszystkie zdjęcia, ale już teraz mogę powiedzieć, iż oprócz swych walorów estetycznych mogą być one ciekawym materiałem również dla historyków.

Tomasz Turaj

Panie Adasiu! To jest piękne! Serdeczne dzięki za wystawę, za album. Dzisiaj nic więcej nie piszę bo jestem z tego powodu zablokowana.

Joanna

Witaj, Adamie!

Bardzo żałuję, że dopiero podczas wczorajszego wieczoru znalazłam czas, by wnikliwiej „wczytać się” w zdjęcia i teksty Twojego albumu *Czas zatrzymany*. Już po przeczytaniu intrygującego wstępu zawstydziałam się, że tak niewiele wiem o źródłach miejsca, w którym mieszkam przecież od narodzin. Nie zdawałam sobie sprawy, że tereny, na których zbudowano później Nową Hutę tętniły wcześniej tak bogatym życiem gospodarczym i kulturalnym. Mnie szczególnie interesuje ten drugi aspekt. Myślę, że wielu młodych ludzi nie zdaje sobie sprawy, że tak znamienite osobistości i osobowości, jak Piotr Michałowski czy Józef Krasnowolski związane były z tą ziemią – z Krzysztoforzycami czy Bieńczykami. Chyba tylko postać Jana Matejki przywodzi nam skojarzenia z dworkiem nad Dłubnią, ale sam przyznasz, że to zbyt mało.

Co do fotografii, to jako laik w tej dziedzinie mogę jedynie powiedzieć, że posiadają one „duszę”. Kiedy pytam „nie muzyka”, co czuje po usłyszeniu jakiegoś utworu na koncercie, a on mi odpowiada, że podczas słuchania „przeżywał jakąś historię”, doznał wzruszenia i widzę zachwyt na jego twarzy, to wiem, że jest to najlepszy wyznacznik tego, czy utwór był „prawdziwy”, czy był dobry. Myślę, że podobnie jest ze zdjęciami w tym albumie. Każde z nich ma swoją przeszłość, zarejestrowano na nim niepowtarzalną historię. Patrząc na każde z nich i sugerując się podpisami pod nimi, mogę „dopowiedzieć sobie” losy postaci tam zarejestrowanych. To, co mnie szczególnie zachwyciło, to fakt, że na większości zdjęć bardzo wyraźnie widoczne są spojrzenia i rysy twarzy osób, przez co mogę niejako „czytać” ich pełne postaci. To fascynujące. Nie wspomnę tu już o tym, jak wysoka jest jakość techniczna tych reprodukowanych, z pewnością niejednokrotnie zniszczonych losom dzieł zdjęć i mogę sobie jedynie wyobrazić, jaki ogrom pracy w to włożyłeś.

Myślę, że będzie Ci wdzięczny za inicjatywę powstania, trud, wytrwałość, profesjonalizm i konsekwencję w dążeniu do wydania tego wspaniałego dzieła każdy, kto sięgnie po ten album. To taki szczególny, wielowymiarowy „twór”, integrujący obraz i słowo w jedną, która przybliży nam to, co musimy chcieć ocalić od zapomnienia. Nie powinniśmy chyba traktować Nowej Huty wyłącznie jako „ciekawostki urbanistyczne”, której przygląda się z zainteresowaniem coraz więcej zagranicznych turystów, ale właśnie uświadamiać jej mieszkańcom korzenie, na jakich powstała, przybliżać tradycje i historię jej pierwotnych terenów. Ten album z całą pewnością do tego służy.

Adamie, jestem pełna uznania dla Ciebie i gratuluję Ci, że pomimo napotkanych trudności nie zatrzymałeś się w pół drogi i doprowadziłeś do wydania *Czasu zatrzymanego*, przez co przyczyniłeś się do uchronienia od zapomnienia ludzi i historii miejsc z nimi związanych.

Anna Kozłowska

Tak bardzo się cieszę, że Album dotarł za ocean i że tak wszystko się pięknie rozwija. Ludzie są zachwyceni i wzruszeni oglądając te zdjęcia. Moja znajoma napisała mi: „Album »Czas zatrzymany« wspaniały. Doszliśmy do wniosku że dzisiaj rzadko spotyka się takie twarze. Jest w nich jakaś szlachetność, pokora. Dzisiejsze twarze mają wymalowaną jakąś zarozumiałość, cwaniactwo i coś trudnego do określenia. Nie ma tej szlachetności.”

„Życie składa się z rzadkich oddzielnych momentów najwyższego znaczenia i nieskończonej liczby przerw pomiędzy tymi momentami. A ponieważ cienie tych momentów unoszą się w trakcie tych przerw nieustannie wokół nas, więc warto dla nich żyć”

Panie Adamie, dziękuję za te „momenty”.

Elżbieta

Szanowny Panie Gryczyński,

właśnie mam w ręku album „Czas zatrzymany” i nie wiem sam jak Panu podziękować za zebranie tych wszystkich zdjęć i tak piękne ich wydanie. Tym dla mnie cenniejsze, że ja też jestem na jednym z nich (jako małe dziecko), a także dom w którym się urodziłem, a którego już nie ma (str. 41), bo został zburzony pod ulicę Kocmyrzowską gdy miałem 6 lat. Ten album nagle ożywił bardzo wielu moich znajomych i miejsca, które istnieją już tylko w mojej pamięci. Całe moje życie to właśnie te miejsca w większości wypełniające karty albumu. Bieńczyce – tam się urodziłem. Sąsiadką była Pani Doniec. Grębałów – tam chodziłem do szkoły w Lubocy, a nauczycielem polskiego i śpiewu był Franciszek Twaróg. Lubocza – tam byłem ministrantem w tej kaplicy utrwalonej na zdjęciach. Mogiła – tam mieszkali moi dziadkowie (str. 16). Pleszów – gdzie od święta bywałem w kościele i u rodziny. I pozostałe miejscowości, z którymi kojarzą się zawsze jakieś uroczystości, jakieś wspomnienia...

Bardzo Panu dziękuję i gratuluję ogromnej pracy włożonej w wydanie tej książki. Mój los związany jest z Huta. Pracowałem w Walcowni Rur przez 30 lat i jestem już na emeryturze. Ale gdy byłem w siódmej klasie w Lubocy, to nie wiedziałem – patrząc przez płot na tę budowę ogromnej i ciężkiej hali – że całe moje dorosłe życie będzie z nią związane. Tak, to pierwsza, najbliższa Lubocy położona hala, zaraz za płotem, pół kilometra od szkoły. Byłem tam inżynierem od technologii przez 25 lat. Z tego żyłem i utrzymywałem rodzinę. W nocy 16-go grudnia 1981 roku byłem kierownikiem zmiany i pod eskortą ZOMO wyprowadzałem z hali Walcowni całą moją zmianę. Za dużo piszę. Tytuł przyjaciół moich jest w tej książce; Halina Florkowska, Franiu Nowak z którego bratem siedziałem w jednej ławce w szkole w Lubocy... Moje podziękowania nie mają końca. Gratuluję także pomysłu wystawy „Nowa Huta – najmłodsza siostra Krakowa” na Placu Centralnym. Wszystko to piękne. Życzę zdrowia i nieustającego źródła sił: Łaski Bożej.

Krzysztof Stefański

Szanowny Panie Adamie!

No tak... tego należało się spodziewać. Miałem do Pana napisać po ostatnich tekstach w „Dzienniku Polskim”, ale w końcu nie wystarczyło czasu i przemyśleń. Teraz, po tekście „Zakłamana Wystawa. Tragiczny jubileusz” już muszę, bo zauważyłem, że wpadł Pan w pułapkę zastawioną przez siebie. Wszystko było O.K. do chwili gdy występował Pan w roli reportażysty i bardzo oszczędne były próby przekonywania kogokolwiek o wartości tamtego „zatrzymanego czasu”, bez pisania o krzywdach tych ludzi, którzy mieszkali tutaj. Nie sposób było jednak uniknąć pisania o tym w którymś momencie. Pana ogromną zasługą jest wydobywanie tych dokumentów i fotografii z zapomnienia, że nie stało się z nimi to, co z fotografiami mojego znajomego z Lubocy; gdy zapytałem czy ma jakieś fotografie odpowiedział mi: – „Wszystkie spaliłem bo kompletnie spleśniały i nie nadawały się już do niczego”. To jest jak najbardziej autentyczne. I koniec, nie ma nic. I tak rozumiałem ten album i tę wystawę później.

Natomiast, nie sposób było uniknąć ocen tego, co zdarzyło się później: Nowa Huta. I tu zaczynają się schody. Dla jednych to symbol komunistycznego (peerelowskiego) zniewolenia. To realizacja jakiejś idiotycznej idei nie do końca, a może w żadnym stopniu nie będąca rozwinięciem idei „szklanych domów” dla przesiedlonych tysięcy ludzi z wiosek, najczęściej analfabetów, z których miała powstać klasa robotnicza. Gdy kiedyś kazano mi zrobić spis wykształcenia ludzi na mojej zmianie w walcowni, to z przerażeniem stwierdziłem, że szkoła podstawowa była równie rzadka jak studia wyższe, szczególnie wśród starszych pracowników, tych urodzonych

jeszcze przed II wojną światową. Trochę częściej były 3 klasy, i takim ludziom przysługiwało obsługiwać nieraz bardzo skomplikowane linie technologiczne. Nie sposób było nauczyć ich podstawowych zasad BHP, nie mówiąc już o innych szkodliwościach środowiska hutniczego. Nikt z nich nie zdawał sobie z tego sprawy. Niewiele lepiej było z ludźmi z tych wiosek pod Krakowem o których Pan pisze w albumie. Pan Twaróg: znałem go przecież, uczył mnie j. polskiego w 7-iej klasie, cierpiał ogromnie, że tak bardzo mało ludzi z wiosek wychodziło poza 3 klasy, przed II-gą wojną światową. Zagubienie tych ludzi, postawionych do obsługi jakże skomplikowanych maszyn hutniczych – i to dosłownie z dnia na dzień – rodziło ogromne frustracje. Nie mogli sobie z tym poradzić. Stąd jakże często odreagowanie, wiemy jakie. A więc mieliśmy tutaj w Nowej Hucie niestety większość niezadowolonych, sfrustrowanych starych mieszkańców tej ziemi i nowych, którzy czuli się tu zupełnie obco. Nowych tj. zamkniętych w czterech ścianach mieszkania w bloku, w których wszystko było słychać jak sąsiad za ścianą pije i żonę bije itd., i jeszcze wszystko fatalnie układa się w robocie, bo co się zrobi to nic nie wychodzi: co zrobione to kupa złomu. Długo mógłbym o tym jeszcze pisać...

Ale teraz może o tym, czym Nowa Huta była dla tych drugich. Oni urodzili się razem z nią. Otrzymali tutaj szansę pójścia do zupełnie innej szkoły: nowej, z ogromnymi salami lekcyjnymi z oknami przeszklonymi i z pracowniami. To ja wiem i pamiętam jak ogromny był to dla mnie szok, gdy ze szkoły w Lubocy – gdzie były tylko trzy sale lekcyjne i jakieś klasy w wynajętych pomieszczeniach, opalane piecami z których się kopciło, z ubikacjami z desek – rozpocząłem w 1960 roku naukę w XII L.O. na osiedlu Słonecznym.

No tak, to ja siedłem w tym pochodzie na Dni Młodości Nowej Huty, o którym wspomina Pan Marek S. I było nas tysiące ze wszystkich szkół Nowej Huty tak, że korowód opasał prawie całą Nową Hutę. Cieszyliśmy się wszyscy z tej nowej rzeczywistości: miasta o szerokich, przestronnych ulicach, pełnego nowych dużych sklepów, Alei Róż z prawdziwymi, pięknymi różami jakich nie ma tam dzisiaj. Nowa Huta nie była przekleństwem. Była szansą na lepsze życie dla wielu do niedawna mieszkających w chatach, które może ładne na fotografii, ale w większości bez jakichkolwiek wygód i bez elementarnej higieny. Czekaly na nas uczelnie Krakowa i preferencje dla dzieci robotników w dostaniu się na studia. Na nich po skończeniu szkół czekały skomplikowane linie technologiczne Huty i innych firm wokół niej. Tych samych, na których tak trudno adoptowali się ich rodzice. I byłoby wszystko O.K., gdyby nie pewne „ale”. To potrzeba czegoś więcej niż to co było, na co zezwalały tzw. władze, a czego zabraniały. I znowu frustracje, tym razem chyba jeszcze większe. Skrywane lub kłamliwie opisywane przez media itd.

Jeśli dobrze prześledzi Pan to co napisałem powyżej to zauważy, że należę do „jednych” i „drugich”. To prawdziwy dramat rozdarcia wewnętrznego, które może uzewnętrzniać się w pewnych okolicznościach takimi tekstami jak Pana Marka S.. Nie mam na myśli wątku martyrologicznego mieszkańców tej ziemi, bo to jest jednak pewnym nadużyciem, aczkolwiek nie bezpodstawnym. To co wyprawiała Huta Lenina/Sendzimira ze środowiskiem naturalnym przy produkcji 6 mln ton stali jest przecież faktem, i jako inżynier hutnik pracujący w hucie w tamtych czasach i widzący to na własne oczy – wiem dokładnie jak to było. Huta nadal nie jest zakładem obojętnym dla środowiska miasta i trzeba bardzo uważnie przyglądać się na to, co tam się dzieje.

A zatem kończąc już, proszę się nie obrażać na Pana Marka S. i innych należących do tych „pierwszych”, widzących problem Nowej Huty wyłącznie w kategoriach negatywnych. Tacy też są i bardzo ostro reagują na próbę przekonywania, że jest w tym coś pozytywnego.

Ale Nowa Huta jest i będzie, i tego faktu nie można już zmienić. Żałuję, że Pan Marek S. nie dostrzegł (nie chciał lub nie mógł dostrzec) Pana zaszczytnych idei, które są niewątpliwe.

marzec 2008 r.

Krzysztof Stefański

Ludzie dzielą się na dobrych i złych, mądrych i głupich. Pan należy do mądrych i dobrych. Zrobił Pan dla ludzi bardzo dużo i to się przede wszystkim liczy. Gdy jest mi smutno lub mam jakiś problem patrzę na uśmiechnięte twarze na Pana zdjęciach i jest mi od razu lepiej. Człowiek jest najważniejszy, i jeżeli można mu dostarczyć odrobinę radości w tych ciężkich czasach – to bardzo dużo. Pan to właśnie robi i proszę robić to dalej. A do muzeum wstawimy jako relikty z przeszłości i przykład ludzi którzy, myślą tylko o sobie. Nie jest Pan człowiekiem którego można zepchnąć do narożnika. Proszę się nie dać...

Elżbieta

Bez pieniędzy żyć się nie da, żyć tylko dla nich i dla tego co dają – to raczej też mało twórcze. Dobrze znaleźć złoty środek – ale o niego zwykle najtrudniej. Dobrze, że jesteśmy tam, gdzie jesteśmy i robimy, co możemy – zawsze może być gorzej, a rzadko bywa znacznie lepiej.

To jest niestety ten kraj sukna, które każdy ciągnie w swoją stronę. Układy towarzysko-biznesowe to nasza smutna, dziedziczona przypadłość i cała sztuka w tym, żeby ani się nie zeszmacić, ani nie dać zepchnąć do narożnika. No i problem w tym, że nie potrafi się (albo i nie chce) za cholerę ocenić faktycznej wartości danych przedsięwzięć. W każdym razie: prędzej znudzą się ludziom „krzywe plamy”, niż Pańska praca.

Krzysztof Wołodźko

Bardzo się cieszę, że Pana wystawa jest znana coraz szerszym kręgom. Zrobił Pan wspaniałą rzecz nie tylko dla Nowej Huty ale i dla Krakowa, a może przede wszystkim dla tych ludzi, którzy dożyli czasów, gdy ktoś zainteresował się ich dawnymi losami. Gdy mogą przyjść na wystawę i stojąc przed zdjęciami opowiedzieć swoim wnukom o tamtych czasach. Jeszcze raz gratuluję wspaniałej wystawy. Cały czas ten temat pojawia się w prasie. W ostatnim „KRAKOWIE” poświęcona jest mu cała szpalta. Ciekawe czy wciąż przybywa Panu zdjęć? Czy są jeszcze miejscowości nie udokumentowane w Pańskich zbiorach?

Antoni Łapajewski

Album bardzo się nam wszystkim podoba. Chyba każdy powinien mieć taką „częstkę” pradziadków chociaż w biblioteczce, bo niestety ich nie pamiętamy. Dzięki tej publikacji możemy próbować wyobrazić sobie dawne czasy w których żyli.

Renata Adamczyk wraz z Rodziną z Pleszowa

Od kilku lat śledzę Twoją pasję... Ten album wydaje się jej ukoronowaniem, ale... Z tego co przeczytałem wynika, że nie zamierzasz poprzestać na jednym. Zatem nie jest to jeszcze zwieńczenie Twojego dzieła. Pozostaje mi jedynie pogratulować podjętego trudu. Właśnie jestem w trakcie lektury albumu. Nie mogę powstrzymać się przed wyrażeniem podziwu dla tego co zrobiłeś, i co zapewne robisz nadal. Po przeczytaniu wstępu tyle myśli się nasuwa, tyle refleksji, że nie sposób wyrazić to w krótkich, zwężonych słowach. Dzięki Tobie inaczej rozumiem całość zjawisk i zdarzeń na tamtych terenach. (No cóż, lata indoktrynacji zrobiły swoje.)

Zachwycam się Twoim językiem, porywa mnie Twoja pasja... I za to Ci dziękuję... Po raz pierwszy ktoś się upomniał o pierwotnych mieszkańców. Nb. przewodnik w HTS (i nie tylko) zawsze mówił o „ziemiach”, „terenach” – ale nigdy o ludziach! I faktycznie, właśnie w ten sposób powstawały mity o biednych wiejskich terenach. Pośrednio o zacofanych mieszkańcach, w domyśle wyglądających jak Kargul i Pawlak, jeszcze przed przesiedleniem. Na drugim biegunie były Bronowice, bo to i „Wesele” i Wyspiański, Rydel i Tetmajer. Nikt nie śmiałby powiedzieć że na tamtych terenach była bieda i zacofanie. A z Twojej lektury wprost wynika, że na terenach zabranych pod hutę, byli tacy sami ludzie jak w Bronowicach... Pracujący na roli, uprawiający jakieś rzemiosło; w sposób świadomy pracujący nad poprawą swojego bytu. I dopiero teraz uświadamiam sobie, jak wielka rana rozdarła tę ziemię. Smutne to.

Robert Baś, artysta fotografik

Przeczytałem Pański wstęp do albumu „Czas zatrzymany”. Podpisuję się pod nim obiema rękami. To właśnie chodzi o odkłamanie krzywdzących mitów i przybliżenie zapomnianej rzeczywistości. Na takie przybliżenie jest ogromne zapotrzebowanie – znam to z własnego podwórka, bowiem czy to gazety lokalne, czy osoby prywatne dosyć często zwracają się do mnie z prośbą o pomoc w przybliżeniu dziejów naszego podkrakowsko – nowohuckiego regionu, ponieważ brakuje publikacji na ten temat. Są dwory, wsie dawne i dzisiejsze lecz brak monografii.

A sąsiedni stary Kraków aż tłuszczeniem opływa w publikacje na swój temat.

Mateusz W.

Serdecznie dziękujemy za piękny album. To cenny prezent dla mieszkańców tych terenów, a także – jak napisano w „Głosie. Tygodniku Nowohuckim” – kopalnia wiedzy o życiu i kulturze ludzi, którzy tu mieszkali przed wybudowaniem Nowej Huty. Jest to cenna pozycja również dla szkół. Pozostaje nam tylko pogratulować pomysłu i jego realizacji. Sam układ książki jest bardzo ciekawy, przejrzysty, interesujący. Nie można się od niej odebrać. To naprawdę satysfakcja stworzyć coś tak interesującego i potrzebnego w tak krótkim czasie. Tego mógł dokonać tylko taki pasjonat jak Pan. Dziękujemy za przesyłane „linki” i wiadomości, zawsze chętnie wszystko oglądamy i przekazujemy innym zainteresowanym.

Nie zdążyłam jeszcze Panu pogratulować i podziękować za ciekawe i bardzo udane spotkanie w Bunkrze Sztuki, a już jest nowy powód do satysfakcji. Prezentacja zdjęć z cyklu „Czas zatrzymany” z Pana komentarzem była prawdziwą przyjemnością. Nie wspominając już, że była to bardzo wygodna forma oglądania. Przy każdym kolejnym oglądaniu zdjęć z tego cyklu dostrzega się i odkrywa na nich coś nowego, nie mówiąc już o tym, że przez kilkakrotne oglądanie zapadają głęboko w pamięć. Artykuł z Pragi to niespodzianka, z przyjemnością obejrzałam zdjęcia.

Z całego serca gratulujemy sukcesu. Dzięki Panu tyle się mówi o Nowohuckim Centrum Kultury.. Bardzo się cieszymy, że pomysł się udał, chyba w najśmielszych oczekiwaniach nie wyobrażał Pan sobie takiego odzewu, takiej radości ludzi, takiej popularności i wdzięczności. To jest naprawdę wielka sprawa i ogromna satysfakcja dla Pana.

Bardzo dziękujemy także za przesłany „projekt wstępu” do książki „Czas zatrzymany 2”. Zaraz go sobie wydrukowałyśmy, bo tak się wygodniej czyta i natychmiast oddaliśmy się lekturze. Przeczytałyśmy kilka razy z dużą przyjemnością. Jest, naszym skromnym zdaniem, świetnie napisany, wzruszający, chwytający za serce, chociaż tak inny od wstępu pierwszej części książki. Pan wie, że my Pana podziwiamy nie tylko za pomysły, ale przede wszystkim za ich realizację, bo Pan dokonuje rzeczy niemożliwych. Muszę się Panu przyznać, że byliśmy sceptycznie nastawione do tej „akcji” pomimo, że było w Panu tyle zapału i wiary, że się uda. Ale to wszystko i tak przerosło oczekiwania i takiego sukcesu i zainteresowania chyba nikt się nie spodziewał.

Maria Kosieradzka z córką Weroniką i siostrą Ireną Borowiec

Dwa dni temu nabyłem album „Czas Zatrzymany”...

Zdjęcia, obrazy i wspomnienia tam zawarte są bliskie mojemu sercu, ponieważ moja rodzina ma korzenie mogiło-pleszowskie, a sam urodziłem się tuż obok Kopca Wandy i tutaj mieszkam. Po wstępnej lekturze książki, a zwłaszcza jej części dotyczącej Mogiły i Pleszowa odkryłem, że zamieścił Pan także zdjęcie mojej śp. Babci Wiktorii Stefańskiej. I dlatego książka ta stała się dla mnie jeszcze cenniejsza. Teraz żałuję, że umknął mi jakoś czas zbierania do niej materiałów, bo sądzę, iż jakieś zdjęcie z mojego albumu mogłoby się zakwalifikować.

Niech wolno mi będzie napisać coś jeszcze o rodzinie Stefańskich z Kujaw-Kępy. Dziadek Jan był bardzo ciekawą postacią. Urodził się na Kujawach w roku 1883. Gdy miał 16 lat, zmarł jego ojciec a mój pradziadek Piotr. Wieloletnia rodzina została bez środków do życia. Szczęśliwym zrzędzeniem losu, udało się dziadkowi objąć posadę strażnika wodnego jaką piastował wcześniej jego ojciec. Wymagało to małego oszustwa, bo pracodawca musiał zostać przekonany, że bardzo młody Jan Stefański jest znacznie starszy. Jako strażnik wodny dziadek Jan przepracował od 1899 roku aż do emerytury wliczając w to dwie wojny światowe. W kilka lat po objęciu tego urzędu, dziadek bierze za żonę zaledwie 16-to letnią Wiktoria Salwińską z Kujaw – moją babcię. Mieli dziewięć dzieci: córki – Katarzynę, Marię, Zofię, Janinę, Wiktoria oraz synów: Kazimierza, Władysława, Jana i Józefa. Do obowiązków dziadka należało doglądanie wałów wiślanych pomiędzy Wolica a Łęgiem, koszenie traw i zbiór siana z wałów, zbiór wikliny a także przewożenie osób na drugi brzeg, gdy była taka potrzeba. Dodatkowo musiał dokonywać pomiarów stanu wody w rzece. Na co dzień dziadek występował w specjalnym mundurze. W domu na Kujawach charakterystyczna była biblioteka wypełniona książkami i stary tykający zegar, który pamiętają starsi członkowie mojej rodziny. Dziadek cieszył się dużym szacunkiem na Kujawach. Pomagał wielu osobom w pisaniu pism urzędowych a często też załatwiał sąsiadom w urzędach różne sprawy. Obok domu na Kujawach była pasieka oraz sad a w nim kilkadziesiąt drzew. Ten sad był ciągle powiększany i miał być jednym ze źródeł utrzymania licznej rodziny. Wiktoria i Jan Stefańscy prowadzili skromne i spokojne życie a swoim dzieciom starali się wpoić najlepsze wartości. Gdy zaczęła się budowa Nowej Huty, to sad dziadka został wielokrotnie spustoszony przez junaków SP i wiem z opowiadań, że dziadek ciężko to przeżywał. Zmarł w październiku 1951 roku na atak serca, w domu na Kujawach po powrocie z nabożeństwa różańcowego w pleszowskim kościele.



Na fotografii powyżej widzimy mojego dziadka Jana z synami, za nim od lewej: Władysław, Kazimierz, a poniżej Jan junior oraz Józef. Zdjęcie pochodzi z końca lat 30-tych XX wieku.



Na kolejnej fotografii, wykonanej kilka lat później, którą także wykonano na Kujawach-Kępie stoją od lewej: mój dziadek Jan Stefański, wujek Kazimierz, ciocia Wiktoria, moja mama Janina oraz wujek Jan.

Obydwie fotografie wykonał prawdopodobnie fotograf Jan Kul z Pleszowa, który podobno aparat fotograficzny miał zawsze przy sobie i pozostało po nim mnóstwo zdjęć. Minęło kilkadziesiąt lat, nie ma już Kujaw-Kępy, a z osób jakie widzimy na zdjęciach żyje jeszcze tylko wujek Józef Stefański. Wnukowie i prawnukowie dziadka Jana mieszkają w różnych miejscach Polski i świata. Babcia Wiktoria Stefańska dożyła sędziwego wieku i zmarła w roku 1977 w Pleszowie, bo ich dom rodzinny na Kujawach-Kępie zniknął zalany wodą i popiołami hutniczymi i dobrze, że dziadek Jan już tego nie widział.

Wracając do tematów mogińskich to chciałbym dodać, że na zdjęciu przedstawiającym śp. Kłękową z rodziną („Czas zatrzymany” strona 130) – jest kilku mężczyzn podpisanych jako nieznanych z nazwiska. Otóż pierwszy z lewej jest ś.p. Jan Początek z Branic. To był dobry znajomy mojego dziadka Wincentego Cyganika, dlatego też go znam.

Pozdrawiam i bardzo dziękuję za ten album i pracę nad nim, bo jest to album o nas, ludziach stąd.

Waldemar Jan Cyganik z Mogiły

Słuchałem wczoraj w Radiu Kraków reportażu, którego byłeś głównym bohaterem. Bardzo lubię te Twoje opowieści o prostych ludziach. Są mi tym bardziej bliskie, że większość z nich słyszałem od Ciebie „na żywo”. Choć jestem sporo młodszy, to tak samo jak Tobie trudno jest mi pogodzić się z tym, jak dużo rzeczy, jak dużo spraw, wartości, znika na naszych oczach bezpowrotnie i niezauważenie. Była w tym reportażu wypowiedź kobiety, której słowa szczególnie zapadły mi w pamięć: „Ja już siedzę na walizkach, mam paszport i wizę”. Takie niesłychane pogodzenie się z losem, ze śmiercią, z czasem, z wiekiem, z Panem Bogiem, ze światem – coś niewyobrażalnego dla mnie. Ciekaw jestem bardzo, czy dzisiejsi młodzi ludzie, wychowani w kulcie młodości, urody, zdrowia zdobędą się na taką postawę, na takie zrozumienie siebie? Myślę często o moich córkach (bo mam już dwie!). Chciałbym je jakoś przygotować na zderzenie ze światem, nie chcę im wcale mówić, że wszystko jest w nim piękne i dobre. Z Olą często rozmawiam o złych ludziach, o zagrożeniach – musi o tym wiedzieć, trudno jednak znaleźć równowagę, a to przecież bardzo ważne.

Trochę mi żal, że nasza znajomość się nie rozwinęła jakoś bliżej, a ostatnio zupełnie prawie nie mam z Tobą kontaktu. Prawie wszystko co wiem o fotografii, wiem od Ciebie. Przede wszystkim nauczyłeś mnie tego co w fotografii najważniejsze – kontaktu z drugim człowiekiem, że reportażu nie robi się lufą 300 mm zza węgła, że trzeba podejść i przywitać się, pogadać... Bardzo Ci za to dziękuję.

Jacek Taran

Dobrze się zaczął nowy sezon. W piątek zagrałem recital w ramach IV Nowohuckiego Maratonu Filmowego. Zaprosił mnie Jerzy Ridan – znany scenarzysta, reżyser, producent i pedagog. Projekcje filmów odbywały się w sali Kina Studyjnego Sfinks, zaś recital w przylegającej do kina kawiarence. Była to 27 rocznica podpisania „Porozumień Sierpniowych”, jednakże grałem i śpiewałem przede wszystkim o sprawach aktualnych, „o sprawach, które wszyscy znamy”.

Przepięknie zapowiedział mnie znakomity fotografik – Adam Gryczyński. Atmosfera wielkiego porozumienia. Czułem zatroskanie słuchających sytuacją w kraju. Żegnając się z Publicznością powiedziałem, że praca filmowców, fotografików, poetów i pieśniarzy nie miałaby najmniejszego sensu, gdyby nie zajmowała czulej przestrzeni w sercach tych, którzy oglądają, czytają i słuchają.

3.09.2007

Leszek Wójtowicz

Drogi Adasiu, znowu mnie zaskoczyłeś! Bardzo żałuję że nie spotkaliśmy się wcześniej, a teraz niestety mogę Cię już jedynie wspierać tylko duchowo. Robisz wspaniałe rzeczy!

Serdecznie Cię pozdrawiam.

Leszek Dziedzic
Artysta fotografik

Pięknie, znalazłeś swoją misję życia – gratuluję i życzę dalszych sukcesów.

Jan Berdak
Artysta fotografik

Witam, dziękuję za przesyłkę i gratuluję.

To wielka satysfakcja dla autora gdy jego dzieło zostaje docenione. Już to Panu mówiłam, że podziwiam Jego zaangażowanie w gromadzeniu zdjęć i śledzeniu losów ich bohaterów, dlatego bardzo się cieszę, że książka wzbudziła tak duże zainteresowanie (nawet za oceanem).

Maria Cichocińska
wnuczka Franciszka Ptaka z Bieńczy

W Pana książce pokazano nam fotografię ze sceny filmu kręconego w Polsce (w 1931 r. w Pleszowie – dop. red.) przez firmę „amerykańską”. My uważamy, że to było nakręcone przez „polsko-amerykańską” firmę. Czy Pan ma więcej informacji na ten temat? To co my posiadamy to nie jest film, lecz 16 stron dźwiękowych pl. „Krakowskie Wesele” i wydane przez amerykańską firmę Columbia przez ich wydział etniczno – polski. Płyta została wydana w 1929 roku, więc dlaczego nie można było wysłać ekipę filmową do Polski dwa lata później i sfilmować „prawdziwe wesele”? Teraz jest potrzebna praca detektywa. Czy ówczesna prasa krakowska pisała o firmie lub ekipie polonijnej, która przyjechała do Polski aby kręcić ten film? Myśmy zaczęli przeglądać nasze mikrofilmy, lecz nic (dotychczas) nie odkryliśmy. Proszę pamiętać, że inne skupiska polonijne posiadały wytwórnie filmowe (np. Halka była nagrana w wersji niemieckiej w Milwaukee) i była słynna firma Hoffman w Detroit. Dziękujemy za zainteresowanie. Spróbujemy się skontaktować z innymi archiwami filmowymi tu w USA.

Łączę pozdrowienia,

2007.03.12

Jan M. Loryś
Dyrektor Muzeum Polskiego w Ameryce

Wystawę obejrzałem. Jest super, zwłaszcza niesamowita etnografia wsi podkrakowskich.

Serdecznie gratuluję sukcesu. Ta książka warta nagrody, tak jak i cały Pański trud włożony w ten projekt.

2007.03.10

Marek Grabski – kustosz
Muzeum Etnograficzne w Krakowie

Moi rodzice zamieszkali w Nowej Hucie w połowie lat 70. – ja urodziłem się wkrótce potem i prawie całe swoje (niezbyt jeszcze długie) życie mieszkam na terenie Bieńczy. Pamiętam z dzieciństwa stare domy czy inne obiekty, po których już dawno nie zostało śladu. Wtedy wydawało mi się dziwne – skąd obok bloków wzięły się domy, sady, zwierzęta hodowlane. Z biegiem lat docierały jakieś informacje z przeszłości – jednak tak naprawdę to do niedawna niewiele wiedziałem o tym co było „przed”. Od jakiegoś czasu bardzo mnie zainteresował ten temat – i m.in. dzięki Pańskim albumom mam możliwość chociaż w części poznać historię tych terenów.

Zgadza się z Pańskim zdaniem dotyczącym podejścia do obchodów 60-lecia Nowej Huty i mam nadzieję, że będzie to okazja do pokazania prawdziwej i pełnej historii Nowej Huty bez pomijania tematu jej wcześniejszych mieszkańców.

Co do „Czas zatrzymanego” to szkoda, że jest już niedostępny, cieszy mnie jednak, że przygotowuje Pan kolejną – obszerniejszą edycję tego albumu. Będę śledził temat i jak tylko pojawi się nowe wydanie – z pewnością skorzystam z okazji.

2008.07.16

Marcin Cichoński

Żar w oku

Niewątpliwie cieszy fakt, że z takim zainteresowaniem został przyjęty Album. Muszę powiedzieć, że podczas zajęć, jakie w ramach praktyk prowadzę ze studentami historii na Akademii Pedagogicznej, pokazuję „Czas Zatrzymany”, i moi podkomendni bardzo wnikliwie zagłębiają się w dziedzinę historii, zwanej historią lokalną; wiszą nad zdjęciami Bieńczy, Mogilan, a w oku ich błysk się żarzy. Dla historyków-regionalistów tego typu wydania są zastrzykiem mocy i dają poczucie, że w dziejach nie wszystko jeszcze zostało powiedziane. Że zamiast pisać setną książkę o sznurówce Stalina lub czołgach niemieckich jest potrzeba odtworzenia „swojskości”, której nikt nie musi się wstydić.

Poza tym studenci uczą się doceniać siłę źródła historycznego, jakim jest stara fotografia, która rozbudza wyobraźnię o przeszłości niczym płótna Mistrzów. Ufam i wiem, że przed nami, historykami, jeszcze wiele pozostało do odkrycia i opublikowania.

Mateusz Wyżga
doktorant historii, Akademia Pedagogiczna

Z wielką przyjemnością oglądałem wystawę na Placu Centralnym. Gratulacje!

Dr Remigiusz Kasprzycki
Muzeum Armii Krajowej

Pragnę gorąco Panu podziękować za publikację. To co Pan zrobił to niezwykle ważne zachowanie pamięci, tożsamości, samoświadomości. Jestem z Bieńczy, wszystko to co znalazło się w publikacji żyło w przekazie ustnym w mojej rodzinie, ale świadkowie już nie żyją, dzięki tej książce są znowu z nami.

Serdecznie pozdrawiam.

Dr Maria Stinia z domu Krawczyk
wnuczka Andrzeja Krawczyka „Garusa” i Wiktorii z Ciepielów „Landausów”

Szanowny Panie,

Nazywam się Teresa Sawicka. Jestem aktorką Teatru Polskiego we Wrocławiu oraz wykładowcą na stanowisku profesora nadzwyczajnego w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Krakowie wydz. zamiejscowy we Wrocławiu. Urodziłam się i wychowałam w Mogile.

Zdecydowałam się napisać do Pana, ponieważ jestem po dużym wrażeniu przedsięwzięcia, którego jest Pan autorem. Niestety, nie zdążyłam obejrzeć wystawy na Pl. Centralnym, ale wiele o niej słyszałam i czytałam w ogólnopolskiej prasie. Z ostatniego pobytu w Krakowie przywiozłam albumy „Czas zatrzymany”, „Nowa Huta-najmłodsza siostra Krakowa”, a także dwie książki o Pleszowie.

Jak już wspomniałam, urodziłam się w Mogile. Przez pierwsze dwa lata życia mieszkałam przy ul. Klasztornej. Szkoła Podstawowa nr.37, Opactwo Cystersów, kopiec Wandy, Liceum przy Teatrze Ludowym, aleja Lenina, kina: Świt i Światowid, Pleszów, Krzesławice, Bieńczyce i wiele innych miejsc to moje dzieciństwo, moja młodość, moja tożsamość. I najważniejsze z tych miejsc – Huta im. Lenina. Dlaczego najważniejsze? Ponieważ na jej tle i razem z nią wzrastałam. Urodziłam się w czerwcu 1949r, Huta Lenina i Nowa Huta miesiąc później. Mieszkałam zaś w dolinie, na Błoniach, tych samych co mój krewny Henio Bugajski. A z tego błonia był doskonały widok na Hutę. Chciałabym opisać nasze Błonie i Mogiłę. Całą Mogiłę, która dzieliła się na Błonie, Wikle i Kopaniec. Poniżej pozwoliłam sobie zacytować fragment impresji sprzed kilku lat dotyczącej mojego dzieciństwa: „Gościńiec. Gościńiec w Mogile. Prześwietlony, popołudniowy, pod słońce. Zakurzony. Jasnozielono-białopiaskowy. Po lewej dom Rosółka, co malował konie jak Matejko, trochę wyżej dom Szoszulki, a dalej, pod górkę w prawo – Cyganiki i ciocia Sudrowa. I ciocin sad!... pod sam kopiec Wandy...Jabłka. Gruszki. Wieczność. Przy gościńcu, po którym zimą pędził ksiądz po kolędzie, wiosną zakwitła »gałąź różowej wiśni, co kwitła w mym ogrodzie«, latem czarował wąż zatłoczony marzeniami, a wczesną jesienią pan Rosółek, dumnie rozparty na drabinia-stym wozie, otoczony mogiłską młodzieżą przebraną za Krakowiaków, rozpoczynał dożynki. To dopiero było!...”

Pozdrawiam najserdeczniej i jeszcze raz dziękuję za tę niezwykłą inicjatywę, która zasługuje na najwyższe uznanie i podziw! Mnie zaś i mojej rodzinie dostarczyła tak wielu wzruszeń. Z całego serca DZIĘKUJEMY.

Z wyrazami szacunku

Prof. Teresa Sawicka

Szanowny Panie, dziękuję za e-list a przede wszystkim za piękną inicjatywę wydania albumu pod jakże trafnym tytułem „Czas zatrzymany”. Serdecznie gratuluję tak udanego przedsięwzięcia. Dla mnie i moich siostr to prawdziwa podróż sentymentalna w przeszłość. Także moi znajomi bardzo chwalą album.

Łączę pozdrowienia

Prof. Halina Florkowska-Francić

We wstępie książki „Czas zatrzymany” jej redaktor i autor Adam Gryczyński przedstawia dziesięć powodów, dla których powstała ta książka. Wszystkie są bardzo ważne i dotyczą dokumentacji korzeni rodzin, których losy były często tragiczne w tworzącej się rzeczywistości Nowej Huty. Świadomość posiadania korzeni jest ważna dla każdego człowieka. Widać to szczególnie wyraźnie u dzieci adoptowanych, które często w pełni utożsamiają się z rodziną przybranych rodziców. Pokazuje to także wielkie zainteresowanie stronami internetowymi dotyczącymi genealogii rodzin.

Dla obszaru takiego jak Nowa Huta, gdzie przez wiele lat władze komunistyczne planowo starały się pozbawić ludzi ich korzeni, książka ta ma ogromną wartość. Zebrane zdjęcia pokazują nie tylko portrety ludzi mieszkających wcześniej na tej ziemi, ale również całe ich życie codzienne i odświętne. Pokazują również zdolność do samoorganizacji społeczeństwa mimo przeszkód ze strony kolejnych zaborców, okupantów i w końcu narzuconego systemu.

Książka ta, jak sądzę, może mieć również duże znaczenie dla osób przyjezdnych na teren Nowej Huty. Pozwoli ona łatwiej zrozumieć mentalność ludzi miejscowych, którzy mieszkając obecnie w wielkich blokowiskach przechowują jednak wiele zwyczajów i tradycji wyniesionych z domów rodzinnych, własnych gospodarstw i własnej ziemi.

Książka „Czas zatrzymany” to mądre, dobre, piękne i pożyteczne dzieło.

Prof. Elżbieta Mycielska Dowgiałło

Szanowny Panie Adamie,

Piszę z serdecznym podziękowaniem i głębokim uznaniem za wszystko co Pan stworzył dla nas związanych z Luboczą i ludźmi którzy żyli (i nadal żyją) w tych starych osiedlach otaczających Kraków; być może nawet starszych (jak Mogiła) niż miasto. I także dla Nowej Huty, dla której Pan robi tak wiele.

A szczególnie, dziękuję za zainteresowanie moja rodzina; moim kochanych Dziadziem, Babcią i moją Matką, którzy skromnie wpisali się w historię tych miejsc o których Pan tak wspaniale, serdecznie pisał i fotografował. Pana publikacje (a zwłaszcza moja ulubiona: „Franciszek Twaróg –nauczyciel z Luboczy”) są ze mną zawsze kiedy wspominam swoje dzieciństwo. Dziękuję serdecznie!

Moje środowisko w Ameryce zostało natychmiast poinformowane o Pana pracach (INTERNET), a zdjęcia oraz komentarze zostały przesłane moim przyjaciołom w Pennsylvanii, Nowym Jorku, New Jersey, Illinois, Californii, Arizonie, Florydzie, a także w Anglii (UK-Cambridge), w Niemczech, Włoszech, Francji i w Australii.

Zrobił Pan bardzo wiele dla ludzi, trochę już zapomnianych, w wioskach w których życie było może bardzo proste i twarde, a jednak dobre, życzliwe i ciepłe. Ja i moja rodzina wyszliśmy z tego środowiska, i jesteśmy z tego bardzo dumni. Żyliśmy wśród dobrych ludzi, których teraz, dzięki Pana talentowi, nikt już dzisiaj nie zapomni. Choćby przez Pana piękne zdjęcia i komentarze...

Z całego serca dziękuję. I mam nadzieję na spotkanie w Polsce – w Krakowie, Nowej Hucie, Luboczy, Grebałowie, Pleszowie, i może wielu innych miejscach gdzie czas – dzięki Pana wyjątkowej pracy i talentowi – został zatrzymany.

Prof. Jerzy S. Zderkowski

Lead Faculty, Marketing & Global Management

University of Phoenix

Sprawa, której poświęcił Pan tak wiele energii i serca, jest mi bliska, bo należę do pokolenia, na oczach którego wszystko to się działo, choć nie mieliśmy długo świadomości skutków, a przede wszystkim ceny „przemian w Polsce”. Ma Pan oczywiście rację, że dotyczy to nie tylko ludności wsi podkrakowskich, ale stanowi wymowny symbol brutalnego deptania zastanych tradycji i ludzkich korzeni przez samozwańczą władzę i system, jaki na pół wieku wdarł się w naszą historię.

Dotknął Pan bardzo doniosłej kwestii, która powinna podjąć cała Polska, nie tylko Kraków z okolicami, skutków trwania „Polski Ludowej” dla naszej mentalności, kultury i środowiskowych tradycji.

Pańska wystawa powinna krążyć po kraju, obejmując wszystkie główne środowiska, bo przecież proces, jaki Pan uchwycił, miał miejsce nie tylko w jednym miejscu, a dotknął wielu środowisk.

Powinni to ujrzeć i pojąć ludzie młodzi, bo w sumie powrót do „pokrakowskiej Atlantydy” uczy zarówno patriotyzmu, antykomunizmu i konieczności obrony wszystkiego, co nasze własne.

Życzę Panu dalszego propagowania wątku „Czasu zatrzymanego” w Polsce, gdzie powrót do losów ludzi i środowisk tragicznie doświadczonych w latach dewastowania wszystkiego, co zastane – ma właśnie dziś wielki sens metaforyczny, mobilizowania do ochrony własnego narodowego środowiska.

Solidaryzuję się w pełni ze sprawą, jaką Pan ruszył, i dziwiłbym się, gdyby wciąż nie było ludzi i środowisk, którym to nadal nie w smak, ponieważ ponosili za to wszystko winę.

Nie ulega kwestii, że potrzebuje Pan medialnych sprzymierzeńców dla dalszego nagłośnienia sprawy. Przydałby się program TV, a może film o całej inicjatywie z otwarciem pytania „kiedy upomną się inne środowiska w kraju” o podobną krzywdę i zbrodnię. Naturalnym sojusznikiem powinien być ruch partii chłopskich i inteligencji wiejskiej ale dotyczy to w jednakowej mierze wszystkich środowisk, które angażowały się po stronie solidarnościowej odnowy. Nie jestem w kraju od 30 lat i nie mam w tej mierze dostatecznego rozeznania, choć czuję, że sojuszników powinien Pan mieć wielu wśród całej, trzeźwo myślącej, konserwatywnej inteligencji. W Krakowie, ale także poza Krakowem.

Raz jeszcze: idea Pańskiego „czasu zatrzymanego” jest doskonała, ale wymyślono to długo przed Panem. Fotografia jako ślad życia w przeszłości była rewelacją dla filozofów i teoretyków jeszcze w XIX wieku. Zajmowałem się w Polsce dziejami polskiej myśli filmowej i przygotowałem w PWN – ie antologię w 1971 r. („Polska myśl teatralna i filmowa do 1939 r.”). Nasz rodak Matuszewski, działający we Francji, poświęcił całe artykuły i studia temu czym jest fotografia jako „żywy czas zatrzymany”, zapis który rzucony na ekran znowu powraca do życia... Obsesyjnie analizował ten aspekt duchowy ojciec francuskiej „nowej fali” i Amerykanin Siegfried Kracauer („krakauer”.. od Krakowa!). Dużo by można na ten temat mówić...

Trzeba pilnie rozejrzeć się i skrzyknąć ludzi, którzy wciąż jeszcze sami mają porachunki z „minionym czasem”, który wykoleił życie ich rodzin i środowisk, wykarczował całą ich tradycję i kulturę, bo to narodowa zbrodnia. Powinien się Pan zwrócić do Andrzeja Wajdy, aby udostępnił Panu autorską wersję „Człowieka z marmuru” ze wszystkimi sekwencjami z Nowej Huty jako księżycowego miasta zła, na którym ciąży przekleństwo „czarnego kruka” (tak pokazany jest tam pomnik Lenina!). To jedna z najśmielszych prób powiedzenia tego, co Polacy myśleli o Nowej Hucie w tamtych latach (wycięła to wszystko cenzura). Nie wątpię jednak, że Wajda ma swój film w pierwotnej wersji, którą należałoby zrekonstruować i pokazywać na nowo!

Życzę raz jeszcze pełnego powodzenia we wszystkich podejmowanych przez Pana akcjach.

Jestem b. wdzięczny za nadesłany mi album o Nowej Hucie, „najmłodszej dzielnicy Krakowa”. Rozumiem cel takiego wydawnictwa, życiową konieczność, zarazem dziejową mądrość. Zdjęcia są w nim wprost przepiękne, będę z nich miał pociechę w przypadku potrzeby reprodukcji, choćby do zilustrowania Apelu.

Uruchomił Pan wstecz moją pamięć, zdjęcia podziały jak spłonka. Teraz przypomniałem sobie różne wizyty w Nowej Hucie od lat pięćdziesiątych (z ojcem) aż po sześćdziesiąte, kiedy stale przyjeżdżałem tam niemal na każde nowe przedstawienie teatru Krasowskiego i Skuszanki. Zdjęcia przypominały mi wiele miejsc i sytuacji z nimi związanych. Ciekawe, wcześniej w pamięci mojej była tylko biała plama.

W Pańskim albumie (konceptyjnie b. różnym od „Czasu zatrzymanego”) znalazłem wiele rzeczy pięknych i poruszających, znakomite zdjęcia barwne i powietrzne dzielnic Nowej Huty, pokazujących jak „ziemia zabliznia rany”, a drzewa zmieniają oblicze tej betonowej, ponurej wcześniej, pustyni.

To słowa uznania – zdołał Pan wizualnie obronić temat, ocieplić stosunek do tego miasta, po latach, niezależnie od leżącej u jego narodzin, ludzkiej tragedii.

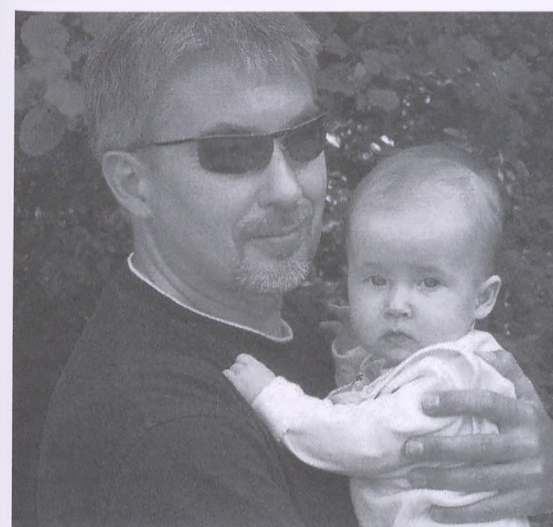
2008.01.21

Dr Wojciech A. Wierzewski
redaktor naczelny „Zgody”,
Związek Narodowy Polski w Chicago

*Za świata minionego reaktywowanie,
za historii zafalszowanej odłamywanie,
za utraconej godności ludzkiej nam przywracanie,
za album, wystawy, pokazy slajdów na ścianie,
dające drugie życie zmarłym przodkom naszym,
których komuna niszczyła tak samo, jak faszyzm,
za falę wzruszeń i serca poruszeń...
za wszystko, czego nie wyrażą słowa...
pragniemy gorąco z serca podziękować.*

„Nowohuccy Indianie”

Wigilijna opowieść



Pół wieku temu u podnóża pnących się ku niebu kominów wielkiego kombinatu, mieszkał sobie mały chłopczyk, który marzył aby Święta Bożego Narodzenia trwały przez cały rok. Sądził, że Święta zawdzięczają swą wyjątkową magiczną atmosferę pachnącej lasem choince, którą z odległego i tajemniczego świata przynosił zimą jego tato.

Składał do skarbonki drobne pieniążki, które dawała mu babcia na cukierki. Kiedy uezbiarał ich wystarczająco dużo, kupił w sklepie ogrodniczym małą choinkę i posadził ją w przydomowym ogródku.

Nie zadziało. Ludzie nie chcieli być dla siebie na co dzień mili, dobrzy, serdeczni i uprzejmi... jak w wigilię. Zanikały i zamierały wiążące ich do tej pory więzi i zażyłości. Ulegali jakimś dziwnym wpływom przenikającym z miasta budowanego po drugiej stronie dymiących kominów.

Widocznie jedna choinka to za mało, myślał chłopiec. Kiedy skończył szkołę podstawową, chciał zostać leśniczym. Myślał, że choinki zgromadzone w lesie mają większą moc. Kochał też zwierzęta i miał z nimi lepszy kontakt niż z rówieśnikami. W pobliskim wielkim mieście nie było odpowiedniej szkoły, a rodzice nie zgodzili się na szkołę z internatem znajdującą się daleko od miejsca zamieszkania. Chłopczyk zamykał się w świecie książek i trudno mu było znaleźć swoje miejsce w świecie.

Książki to też las, tylko przetworzony, więc kiedy dorósł, zaczął pracować w ogromnej naukowej bibliotece, w której zgromadzone były książki o wszystkich trapiących ludzi chorobach, sposobach ich leczenia i opiece nad tymi, których nie da się już wyleczyć. Znał wszystkie ścieżki w tym lesie książek i bez trudu umiał znaleźć każdy potrzebny podręcznik. Pozostał idealistą, romantykiem i marzycielem. Do każdej książki dokładał uśmiech i kawałek swego gorącego i wielkiego serca. Myślał, że studenci, lekarze i pielęgniarki zanoszą ten kawałek serca do klinik, do szpitali i przekazują go chorym. Tak się też działo. Boże Narodzenie trwało w bibliotece i w szpitalach przez cały rok.

Nie podobało się to złym mocom, które postanowiły oddać bibliotekę we władanie złej czarownicy. Czarownica uznała, że nie ma potrzeby dodawania serca do książek i umieściła dorosłego chłopca w małym pokoiku do którego prowadził labirynt korytarzy. Tam okrutne wiedźmy bez serc i bez ducha zmuszały go do oznaczania książek zawiłymi sygnaturami, aby trudniej je było znaleźć. Małego Elfa, który trafił tam z innej bajki i zaczął pomagać chłopcu, wyrzuciła za wielką i głęboką wodę. Zło zataczało coraz szersze kręgi. Bez kawałka serca dodawanego do podręczników, lekarze i pielęgniarki nie chcieli się uczyć, leczyć chorych, strajkowali i chcieli tylko zarabiać dużo pieniędzy.

Dorosły chłopiec usychał zapomniany, jego serce skurczyło do rozmiarów małego twardego orzeszka. Pewnego razu kupił w księgarni książkę „Czas zatrzymany”, w której odnalazł zaginiony świat: czysty i radosny strumyk z dzieciństwa szmerzący wśród jaskrów na łąkach, kapliczki i krzyże przydrożne, domy z czerwoną dachówką, ludzi o oczach jasnych i czystych wśród których byli jego przodkowie. Opowiadania o życiu ludzi z tej książki poruszyło jego skamieniałe serce. Duży chłopiec chciał jakoś odwdziżyć się autorowi tej książki, którego nazywał w myślach „Czasowstrzymywaczem”. Przechytrzył pilnujące go wiedźmy i napisał to opowiadanie. Może autor zechce zamieścić go gdzieś na końcu swojej książki, aby również dzieci znalazły w niej coś dla siebie. Może też ta opowieść poruszyłaby i zawstydziła czyjeś dorosłe serce, nie tylko w magicznym czasie Świąt Bożego Narodzenia???

Mały Elf odnalazł drogę zza siedmiu gór i mórz i powrócił. Nosi na palcu złotą obrączkę i wychowuje ich małą córeczkę Justynkę, która urodziła się pewnego letowego poranka. Widok dziecka wzrusza ludzi, więc duży chłopiec ma nadzieję, że może dzięki niemu uda się naprawić i odbudować miniony świat. Bardzo chciałby zdobyć tyle pieniędzy, aby odkupić i wyremontować rodzinny dom i pielęgnować dawne tradycje patriotyczne, religijne i rodzinne...

Tadeusz Maroszek

Muzeum Historyczne Miasta Krakowa, oddział „Dzieje Nowej Huty”

os. Słoneczne 16
31-958 Kraków

Kierownik: kustosz Leszek J. Sibila

Muzeum Historyczne Miasta Krakowa oddział Dzieje Nowej Huty zajmuje się badaniem, opracowywaniem i udostępnianiem informacji o Nowej Hucie od prehistorii do współczesności. Organizuje wystawy tematyczne, lekcje muzealne, wykłady i konferencje naukowe, a także przygotowuje naukowe i popularyzatorskie publikacje dotyczące dziejów Nowej Huty. Dodatkowo urządza wycieczki umożliwiające poznanie m.in. architektury i urbanistyki starej części Nowej Huty wraz z Placem Centralnym i Centrum Administracyjnym kombinatu, nowoczesnej architektury sakralnej, wpisanej w historię walki mieszkańców tej dzielnicy z systemem komunistycznym, a także obiektów i zespołów zabytkowych, istniejących na tym terenie przed powstaniem Nowej Huty.

Oddział mieści się na parterze bloku mieszkalnego, wybudowanego w 1957 roku na os. Słonecznym (dawniej B-33), gdzie urządzono nowoczesną salę wystawienniczo-audiowizualną. Posiada m.in. kolekcje fotografii Nowej Huty autorstwa znanych krakowskich fotografów m.in.: Henryka Hermanowicza, Stanisława Gawlińskiego, Wojciecha Łozińskiego, Mieczysława Gładysa. Dzięki darowiźnie Marty Ingarden w jego zbiorach znalazły się projekty architektoniczne budynków nowohuckich wykonane przez Janusza Ingardena, jednego z głównych architektów Nowej Huty. Gromadzone są tu też pamiątki dokumentujące dzieje nowohuckiej Solidarności (ulotki, wydawnictwa drugiego obiegu, znaczki, plakaty itp.), a także życie codzienne mieszkańców, w tym obiekty z okresu przed powstaniem miasta i kombinatu. Można je zobaczyć na wystawach czasowych związanych z historią i zabytkami Nowej Huty.

Oddział działa w formie Muzeum Rozproszzonego Nowej Huty (Nowa Huta Ecomuseum), mającego przybliżyć wartości kulturowe i historyczne Nowej Huty w ich naturalnym kontekście, we współpracy z instytucjami oraz osobami tworzącymi lokalną społeczność.

kontakt i rezerwacja dla grup zorganizowanych: tel/fax. 0 12 425 97 75, e-mail: nowahuta@mhk.pl

godziny otwarcia:

maj-październik: wtorek-sobota oraz druga niedziela miesiąca: 9.30-17.00

listopad-kwiecień: wtorek, czwartek, piątek oraz druga niedziela miesiąca: 9.00-16.00, środa: 10.00-17.00



NOWA HUTA
KRAKÓW



www.zyciekrakowa.pl



Wydawnictwo zostało sfinansowane ze środków Dzielnic: XIV, XV, XVI, XVII i XVIII Miasta Krakowa oraz Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa



Wśród wielu stron internetowych poświęconych Nowej Hucie, jedna w sposób szczególny przybliżyła obiekty nie do końca odkryte i rzadko opisywane. Na stronie „Nowa Huta mniej znana” redagowanej jednoosobowo przez Antoniego Łapajerskiego, zafascynowanego przede wszystkim kapliczkami, odnaleźć można liczne fotografie i szczegółowe opisy mało znanych zabytków na terenie Nowej Huty. Autor pokazuje zaskakującą ilość zachowanych kapliczek i krzyży przydrożnych, a także ginące drewniane domy i cenne drewniane kościoły.

Na stronie „NHmz” umieszczone są fragmenty dawnych przewodników turystycznych i stare mapy wschodnich okolic Krakowa. Tutaj także można przeczytać wspomnienia, legendy i historie rodzinne, oraz odnaleźć artykuły poświęcone kulturze, zabytkom i mieszkańcom miejsc, na których powstała Nowa Huta. Adres tej strony to: www.nhmz.go.pl



SPIS TREŚCI

Świadkowie minionego czasu	3
Stanisław Senisson	9
Jerzy Suberlak	14
Witold Michalik	16
Roman Wesołowski	18
Witold i Jan Gajdzińscy	23
Robert Kosieradzki	27
Czesław Odo Mostowski	36
Jan Zych	42
Jestem stąd	46
Nowa Huta – kamienie węgielne	55
W zwykłej rudzie życia	57
Krótkie refleksje na temat Nowej Huty	61
Wspomnienia Marii Kościelniak	63
W cieniu kominów	66
Tygiel	69
Makatki kucharki	73
Jestem dziedzicem tej ziemi	75
Nowa Huta – kresy Krakowa	78
Byt określa nieświadomość	82
Fotografie	85
Wystawy	163
Listy	171
Reklamy	192

Redakcja:

Adam Gryczyński

Współpraca:

Anna Bubula,
Grzegorz Boniowski,

Opracowanie komputerowe zdjęć:

Adam Gryczyński

Projekt katalogu:

Grzegorz Boniowski,
Adam Gryczyński

Skład i przygotowanie do druku:

Grzegorz Boniowski

Druk:

PremiumPartner
ul. Kraszewskiego 27
30-108 Kraków
www.premiumpartner.pl

Wydawca:

Nowohuckie Centrum Kultury ©
Al. Jana Pawła II 232
31-913 Kraków
0 12 644 02 66
www.nck.krakow.pl

Wydanie I; grudzień 2008

Nakład 1000 egz.

ISBN 978-83-88832-57-4

Zamieszczone zdjęcia pochodzą głównie z archiwów rodzinnych mieszkańców terenów, na których zbudowano Nową Hutę i kombinat metalurgiczny.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także skanowanie lub kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Na okładce „Piękna Zośka” (Zofia z Franczaków Paluchowa), mal. Piotr Stachiewicz.

W książce „Czas zatrzymany 2” znalazły się teksty i fotografie w większości opublikowane po raz pierwszy. Są one plonem trzech lat gromadzenia zdjęć, opisów, opracowań, wywiadów terenowych i wspomnień, jakie napłynęły w odpowiedzi na apel skierowany w styczniu 2006 r. do dawnych i obecnych mieszkańców Nowej Huty. Potomkowie rodzin pochodzących z Mogiły, Bieńczy, Czyżyn, Pleszowa, Krzesławic, Grębałowa, Luboczy, Wadowa, Łuczanowic, Ruszczy i Kościelnik, podejmując solidarną inicjatywę wskrzeszenia własnej godności, dumy i barw lokalnej przeszłości, zademonstrowali ofiarność w rekonstruowaniu wizerunku świata swoich przodków. Dzięki temu, ukazując indywidualne losy wpisane w dzieje narodu, poznajemy głębszy wymiar życia, widzimy znacznie więcej a syntezując dawne wydarzenia wpływamy na zachowanie pamięci i własnej tożsamości. W sytuacji wynikającej z integracji europejskiej, stojąc wobec nowych szans, a zarazem wyzwań – warto czerpać z dobrych, sprawdzonych wzorców i wartości, ale i z uwagą spoglądać w nadchodzącą przyszłość.



Niech zatem doświadczenia pokoleń i wyciągnięte wnioski będą dla nas – cieszących się życiem – lekcją rozważań i zadumy. Zapytajmy kim byli nasi przodkowie, jak żyli, w jakim duchu wychowali potomstwo. Poodychajmy nieco innym światem, w którym mimo siermiężnych warunków wszystko miało jednak pewien swój ład i porządek. Niech stare pamiątki „przeniosą naszą duszę utęsknioną do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych”... Są w nich bowiem treści radosne, wzniosłe i piękne, ale też bolesne chwile zapisane na pożółkłych kartkach papieru i wyblakłych zdjęciach. Można je także odkryć w naszych sercach, duszy i umyśle. Razem wzięte potrafią mocno przemówić.

Nowa Huta, listopad 2008 r.

Adam Gryczyński